



ŚWIEŻA KREW

KURS DLA
CYWILÓW,
KTÓRZY
CHCĄ ZOSTAĆ
KOMANDOSAMI

CYBERBEZPIECZEŃSTWO

OBRONA W SIECI

AMERYKAŃSKI MEDEVAC

ONI MAJĄ JEDEN CEL -
RATOWAĆ LUDZKIE ŻYCIE

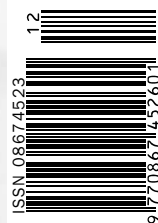


**PIOTR
TRABIŃSKI**
*Dziś cała
cyberprzestrzeń
to Dziki Zachód*

SARENKA

**DANUTA
SZYKSZNIAN**

OPOWIADA
O KOLEGACH Z AK,
KONSPIRACJI
I SOWIECKICH
KAZAMATACH



POLSKA ZBROJNA



PRENUMERATA
ROCZNA:
12 WYDAŃ
W CENIE
10

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2017 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 20 stycznia 2017 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” ”
CYBERATAKI NA INFRASTRUKTURĘ
KRYTYCZNĄ, BLOKOWANIE
SERWERÓW BANKOWYCH CZY
INFEKOWANIE PORTALI RÓŻNYCH
INSTYTUCJI TO REALNE ZAGROŻENIA,
Z KTÓRYMI CORAZ CZĘŚCIEJ MIERZĄ
SIĘ PAŃSTWA NA CAŁYM ŚWIECIE.

W 2017 roku Najwyższa Izba Kontroli planuje ogólnopolską kontrolę systemów teleinformatycznych infrastruktury krytycznej w Polsce pod kątem zagrożenia terrorystycznego. Jest ono dostrzegane i bardzo poważnie brane pod uwagę przez obecny rząd. To między innymi resort obrony narodowej dynamizuje działania obronne w kontekście cyberzagrożeń. Kontrola, reakcja, wdrażanie coraz nowocześniejszych rozwiązań to jedyna droga do zapewnienia bezpieczeństwa najważniejszych instytucji państwowych. W tej dziedzinie najistotniejsze są czas i innowacyjne rozwiązania. Ofiarą cyberataku może być bowiem konkretne państwo, a także każdy z nas. Zachęcamy zatem do wnikliwego zapoznania się z tematem niniejszego numeru. Wiedza oznacza bezpieczeństwo.

W imieniu całej redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” życzę Czytelnikom zdrowych, spokojnych, błogosławionych Świąt Narodzenia Pańskiego. Mam nadzieję, że nowy, 2017 rok będzie dla nas wszystkich łaskawy, obfitujący w dobre decyzje, sukcesy, ciekawe spotkania i inspirujące rozmowy.



KADR



95
LAT **PolskaZbrojna**

Choinka dla dzieci w koszarach
6 Pułku Artylerii Lekkiej w Krakowie.
Grudzień 1938 roku

FOT. NARODOWE
ARCHIWUM CYFROWE



*
*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

ANTONI MACIEREWICZ

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

***DRODZY ŻOŁNIERZE!
PRACOWNICY WOJSKA!
WETERANI!***

Z okazji Bożego Narodzenia życzę Wam błogosławionych, pogodnych świąt spędzonych w gronie rodzinnym. Niech ten czas przyniesie odpoczynek i napełni nas radością, miłością i wiarą. Niech będzie to czas refleksji i zadumy.

Za nami rok wyteżonej służby dla dobra naszej Ojczyzny. Wspólnie podjęliśmy mnóstwo działań, które sprawiają, że nasza Ojczyzna jest bezpieczniejsza. Dziękuję za wysiłek, jaki wkładaliście w swoją pracę.

W nadchodzącym 2017 roku życzę Państwu i Waszym bliskim Bożego błogosławieństwa oraz wielu powodów do radości, satysfakcji i dumy z tego, że wspólnie działamy dla dobra Polski.

Niech Wam Bóg błogosławi.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

GEN. MIECZYŚLAW GOCUŁ

**SZEF SZTABU GENERALNEGO
WOJSKA POLSKIEGO**

Przed nami Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Pragnę złożyć wszystkim żołnierzom oraz pracownikom Wojska Polskiego najlepsze świąteczne życzenia. Dziękuję Państwu za pełną poświęcenia służbę i pracę. Moje myśli kieruję do żołnierzy czuwających nad bezpieczeństwem Polski. Wielu z Was spędzi święta, pełniąc dyżury bojowe i warty. Pozdrawiam żołnierzy wykonujących zadania poza granicami, w ramach sojusznicznych i międzynarodowych zobowiązań.

Rodzinom żołnierskim życzę wytrwałości, harmonii oraz ciepła w gronie najbliższych. Świątecznie pozdrawiam kombatanów, weteranów i żołnierzy rezerwy.

Niech Święta Bożego Narodzenia będą czasem spokoju i radości. Życzę, aby rok 2017 obfitował w osiągnięcia i szczęście w życiu osobistym oraz zawodowym.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

GEN. BRONI DR MIROŚLAW RÓŻAŃSKI

**DOWÓDCA GENERALNY
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH**

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia Wszystkim żołnierzom, weteranom, kombatanom, pracownikom wojska oraz ich rodzinom życzę wielu radosnych spotkań w gronie najbliższych, spokoju, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Dziękuję za kolejny rok intensywnego szkolenia, skuteczne i bezpieczne wykonywanie zadań służbowych oraz pełną trudów służbę i pracę dla Ojczyzny.

Niech świąteczny czas będzie okazją do odpoczynku oraz refleksji nad osiągnięciami mijającego roku, a nadchodzący rok dostarczy wielu powodów do radości i satysfakcji z realizowanych planów i zamierzeń.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

GEN. BRYG. BP JÓZEF GUZDEK

BISKUP POŁOWY WOJSKA POLSKIEGO

*„CHWAŁA BOGU NA WYSOKOŚCIACH,
A NA ZIEMI POKÓJ LUDZIOM JEGO
UPODOBANIA”. (ŁK 2, 14)*

Odległość dzieli fizycznie, ale nie przeszkadza w przeżywaniu bliskości duchowej. Zasiądźmy więc razem w wojskowej rodzinie do wigilijnego stołu. Niech zagospczą przy nim życzliwość i wzajemny szacunek, wyrażane gestem łamania się opłatkiem i słowem dobrych życzeń.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia czytelnikom „Polski Zbrojnej” pragnę przekazać znak pamięci i najlepsze życzenia. Niech Nowo Narodzony Książę Pokoju napełnia nasze serca miłością i sprawi, abyśmy stawali się zwiastunami nadziei na pojednanie i pokój w Nowym 2017 Roku. Z darem modlitwy i pasterskim błogosławieństwem.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

GEN. BRONI DR MAREK TOMASZYCKI

**DOWÓDCA OPERACYJNY
RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH**

Święta Bożego Narodzenia to w polskiej tradycji szczególny okres, zwłaszcza dla nas, żołnierzy, którzy często z dala od rodzin i bliskich pełniemy dyżury bojowe oraz służymy w składzie zagranicznych kontyngentów, by wypełnić wyjątkową misję – misję zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom naszego kraju i społeczności międzynarodowej.

Szczególne życzenia świąteczne kieruję do weteranów poszkodowanych oraz do rodzin tych, których bliscy oddali życie, przywracając pokój i nadzieję w różnych rejonach świata. Niech puste miejsce przy wigilijnym stole będzie symbolem naszej pamięci o Nich i wspólnoty.

Wszystkim żołnierzom Wojska Polskiego, służącym w kraju i za granicą, pracownikom resortu obrony narodowej oraz ich bliskim życzę wielu radosnych chwil spędzonych w rodzinnym gronie, dużo zdrowia, jak również wszelkiej pomyślności. Niech nadchodzący rok będzie dla Was szczęśliwy i przyniesie wiele satysfakcji z własnych dokonań.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

GEN. BRYG. TOMASZ POŁUCH

**KOMENDANT GŁÓWNY
ŻANDARMERII WOJSKOWEJ**

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia wszystkim żandar-
mom i pracownikom wojska oraz ich bliskim pragnę
złożyć życzenia pogodnych i radosnych chwil, spędzo-
nych w rodzinnej atmosferze. Bożonarodzeniowe życze-
nia składam także zaprzyjaźnionym służbom i instytu-
cjom, które wspierają nasze działania.

W imieniu własnym oraz całej żandarmerskiej społeczno-
ści życzę wszystkim polskim żołnierzom spokojnych i ro-
dzinnych świąt. Niech 2017 rok będzie dla Was czasem
bezpiecznej, pełnej nowych wyzwań i satysfakcji, służby.

Dziękując za dotychczasowe zaangażowanie i profesjo-
nalizm, chciałbym wyrazić uznanie dla Waszej codziennej
pracy na rzecz Ojczyzny. Niech trudna i odpowiedzialna
służba będzie dla Was źródłem dumy i zadowolenia,
a wszystkim Waszym działaniom towarzyszy ludzka przy-
chylność i życzliwość



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

**GEN. BRYG.
WIESŁAW KUKUŁA**

**DOWÓDCA WOJSK
OBRONY TERYTORIALNEJ**

Nadchodząca Wigilia to nie tylko okres ra-
dości, rodzinnych spotkań przy świą-
tecznym stole, pierwszej gwiazdki, prezentów
pod choinką i śpiewu kołęd... To również
czas zadumy nad tym, co minęło, co jest i nad
tym, co nas czeka.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Na-
rodzenia pragnę życzyć wszystkim obecnym
oraz przyszłym żołnierzom i pracownikom wojsk
obrony terytorialnej niezwykłych wrażeń, niezapo-
mnianych i cudownych chwil oraz nowych, wspa-
nianych możliwości w nadchodzącym Nowym Roku.

Dużo optymizmu i wiary w pogodne jutro.



*Radosnych Świąt
Bożego Narodzenia*

GEN. BRYG. ROBERT GŁĄB

DOWÓDCA GARNIZONU WARSZAWA

**PANIE I PANOWIE OFICEROWIE! PODOFI-
CEROWIE, ŻOŁNIERZE! PRACOWNICY DO-
WÓDZTWA GARNIZONU WARSZAWA I JED-
NOSTEK PODLEGŁYCH!**

Koniec roku to najlepszy moment na podsumowa-
nie całorocznego wysiłku, a także podkreślenie
sukcesów i osiągnięć w służbie. Dziś pragnę podzięko-
wać Wam za bardzo dobrą służbę i pracę, dyscyplinę
i olbrzymie zaangażowanie, a także pełną dyspozycy-
jność, dzięki którym możliwe było wykonanie wszyst-
kich postawionych nam przez przełożonych zadań
z tak dobrym skutkiem.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia
oraz Nowego Roku życzę Państwu wszelkiej pomyśl-
ności. Niech świąteczny okres będzie wypełniony spo-
kojem, życzliwością oraz rodzinnym ciepłem. Niech
nadchodzący rok będzie kolejnym udanym i obfitują-
cym w sukcesy oraz powody do satysfakcji, zarówno
w służbie, jak i życiu osobistym.





Zdjęcie na okładce:
Photo_Ma/Fotolia,
Giovanni Cancemi/
Fotolia, MD/dział
graficzny

NR 12 (848)
GRUDZIEŃ 2016

TEMAT NUMERU

[MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER](#)

12 / Obrona w sieci

Najważniejsze założenia doktryny i strategii cyberbezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej.

[MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER](#)

18 / Opanować Dziki Zachód

Rozmowa z Piotrem Trąbińskim o przestępczości w sieci i zagrożbie wirtualnych ataków.

[MARCIN NOWAK](#)

23 / Partnerzy czy rywale

Czy Rosja i Chiny wspólnie chronią własną cyberprzestrzeń, czy raczej się zwalczają? Odpowiedź nie jest oczywista.

[KAMIL GAPIŃSKI](#)

26 / Agresor nieznan?

Sieć jest jednym z narzędzi do prowadzenia działań hybrydowych.

[MAGDALENA MIERNICKA](#)

28 / Wirtualne manewry

Tajemniczy epizod „Anakondy”.

ARMIA

[MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK](#)

30 / Świeża krew

W Ośrodku Szkolenia Komandosów 120 osób walczyło o możliwość wstąpienia do specjednostki w Lublińcu.

[EWA KORSAK](#)

[MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK](#)

36 / Szczęśliwa trzynastka

Bieszczadzka selekcja do Jednostki Wojskowej Agat.

[MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER](#)

41 / Jedna drużyna

O tym, jak rozwija się współpraca między jednostkami z Polski i z Niemiec.

[BOGUSŁAW POLITOWSKI](#)

44 / Dusza wojownika

Gen. bryg. Maciej Jabłoński o minionym roku szkoleniowym i przyszłych zadaniach 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

[BOGUSŁAW POLITOWSKI](#)

47 / Cztery dni wojny

Ćwiczenia „Borsuk ‘16” na poligonie w Żaganii.

[ŁUKASZ ZALESIŃSKI](#)

50 / Misje bliskie i dalekie

Rozmowa z kmdr. Krzysztofem Zdonkiem, dowódcą 8 Flotyli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu, o nowej misji „Czernickiego” i minionym roku.

[IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA](#)

54 / Wojskowy rytm

W cyklu „Wojsko od kulis” Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego.

[MATEUSZ WALCZAK](#)

60 / Jak zostałem oficerem

Obowiązkowa lektura dla tych, którzy chcą studiować w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łądowych we Wrocławiu.

[MICHĄŁ ZIELIŃSKI](#)

64 / Nadrzędny cel

Amerykańscy medycy linii wojny opowiadają o swojej służbie na polu walki.

ARSENAŁ

[TADEUSZ WRÓBEL](#)

78 / Fiński kwartet

Nowe korwety dla Skandynawów.

STRATEGIE

[TOMASZ OTŁOWSKI](#)

90 / Jemen wykrwawia się po cichu

Jemeńska wojna pod znakiem Saudów.

[WITOLD REPETOWICZ](#)

96 / Na Mosul

Jest szansa, że w 2017 roku Państwo Islamskie zniknie z Iraku. Czy jednak na zawsze?

[ROBERT SENDEK](#)

100 / Milo znów na fali

Czarnogóra po wyborach parlamentarnych.

[TADEUSZ WRÓBEL](#)

104 / Nieczysta gra

Antyamerykańskie deklaracje i prowschodnie sympatie Rodriga Dutertego.

Znajdziesz nas tutaj:



HISTORIA

[PIOTR KORCZYŃSKI](#)

108 / Po dwóch stronach barykady

Polacy walczący w Jugosławii w czasie II wojny światowej.

[ROBERT CZULDA](#)

114 / Szturm na meczet

Co łączy oblężenie meczetu w Mekce w 1979 roku z Al-Kaidą?

[TADEUSZ WRÓBEL](#)

120 / Z ręki do ręki

Dzieje okrętu USS „Wake”.

[TADEUSZ WRÓBEL](#)

124 / Okrety i dyplomacja

W cyklu „Niezwyczajne maszyny” – kanonierki rzeczne.

HORYZONTY

[MARCIN GÓRKA](#)

128 / Będiesz miała pseudonim Sarenka

Niezapomniane spotkanie z Danutą Szykshnian, łączniczką AK w Wilnie, więźniem sowieckiego łagru.

[DARIUSZ SZYMANOWSKI](#)

136 / Tajemnica Hubala

Czy na cmentarzu w Inowłodzu odnaleziono szczątki mjr. Dobrzańskiego?



Powietrzna nauka

W Dęblinie są już pierwsze samoloty szkoleniowe M-346.

Z Włoch przyleciały do 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie dwa z ośmiu zamówionych przez wojsko samolotów szkolenia zaawansowanego M-346 Master produkowanych przez włoską firmę Alenia

Aermacchi (od stycznia 2016 roku część koncernu Finmeccanica). Zanim mastery rozpoczną służbę, muszą przejść testy sprawdzające, czy samolot w konfiguracji przeznaczonej dla polskich sił powietrznych spełnia wy-

magania zawarte w umowie. Testowane będą m.in. właściwości pilotażowe, osiągi samolotu i jego wyposażenie. Dzięki nowym maszynom Polska będzie mogła samodzielnie szkolić przyszłych pilotów F-16. PG, MKS ■

Pierwsze kraby

Wojsko odebrało dziewięć modernizowanych armatohaubic Krab kalibru 155 mm. „Najbardziej cieszę się, że mają one donośność ponad 40 km. To daje nam możliwość skutecznej obrony”, mówił minister Antoni Macierewicz w Hucie Stalowa Wola. Szef MON-u chwalił HSW za sprawną wymianę podwozi w 16 wyprodukowanych działach. Pierwsze armatohaubice miały krajowe podwozie, które okazało się wadliwe. HSW miała dostarczyć poprawione wozy, ale podczas kolejnych prób pojawiały się problemy. W 2014 roku Huta kupiła od koreańskiego Samsunga licencję na układ jezdnym i ruszyły prace związane z jego wymianą w wyprodukowanych krabach. Minister zapowiedział podpisanie kontraktu na dostawę 96 armatohaubic kalibru 155 mm. Wartość umowy to 4 mld zł. PZ, KW ■



Drony dla wojska

Armia będzie miała nowe bezałogowce.

Nawet tysiąc bezałogowych zestawów trafi do wojsk operacyjnych oraz do żołnierzy obrony terytorialnej – zapowiedział Antoni Macierewicz podczas pokazu polskich dronów w Wojskowym Instytucie Technicznym Uzbrojenia w podwarszawskiej Zielonce.

„Dzięki bezałogowym statkom powietrznym będziemy w stanie obronić się przed każdym zagrożeniem. Zamierzamy kupić tyle systemów bezałogowych, ile będzie potrzebnych do działania naszych for-

macji”, mówił minister. Z kolei wiceminister Bartosz Kownacki otworzył w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 2 SA w Bydgoszczy Centrum Kompetencyjne Systemów Bezałogowych Statków Powietrznych, które ma koordynować prace spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej nad systemami bezałogowymi.

Zadaniem Centrum będzie m.in. projektowanie, prowadzenie prac badawczo-rozwojowych, produkcja i serwisowanie oraz modernizacja tych systemów. PZ, MM ■

Intensywny rok

Minister Antoni Macierewicz podsumował rok działań resortu.

Do największych osiągnięć wojska w czasie ostatnich 12 miesięcy minister obrony zaliczył przygotowanie i przeprowadzenie szczytu państw NATO w Warszawie. Podczas obrad zostały podjęte kluczowe dla naszego bezpieczeństwa decyzje, zgodnie z którymi w styczniu 2017 roku w Polsce rozpocznie się rozlokowywanie około 6 tys. żołnierzy NATO i USA. Szef MON-u podkreślił też, że zniesiono prawne bariery, które uniemożliwiały rozwój polskiej armii: przepis ograniczający służbę szeregowych do 12 lat i limity awansów dla oficerów i podoficerów. Do sukcesów zaliczył również tworzenie piątego rodzaju sił zbrojnych. Do końca tego roku mają powstać trzy brygady wojsk obrony terytorialnej, a w 2019 roku ma w nich służyć ponad 50 tys. żołnierzy.

Szef MON przypomniał też o najważniejszych programach modernizacyjnych armii. Zapowiedział, że resort zamierza jeszcze w 2016 roku podpisać kontrakt na zakup systemu obrony powietrznej Wisła. Mówił o uruchomieniu programu armatohaubic Krab, do których do tej pory brakowało amunicji, zakupie pocisków JASSM o zasięgu do 1000 km oraz finalizacji przetargu na samoloty do przewozu najważniejszych osób w państwie. Minister podkreślał, że duże znaczenie miała też reforma uczelni wojskowych – przekształcenie Akademii Obrony Narodowej w Akademię Sztuki Wojennej i powołanie nowych rektorów szkół – w Dęblinie i we Wrocławiu. Wspomniał również o sprawach społecznych w armii i przyznaniu podwyżek dla pracowników wojska. PZ, ŁZ ■



Latające salonki

Zgodnie z kontraktem podpisanym między Inspektorem Uzbrojenia MON a amerykańskim koncernem Gulfstream Aerospace, do końca sierpnia 2017 r. roku dwa samoloty **Gulfstream G550** trafią do 1 Bazy Lotnictwa Transportowego w Warszawie. Za maszyny Polska zapłaci 440 mln zł. Te tzw. małe samoloty zostaną wyposażone m.in. w zaawansowane systemy łączności satelitarnej, identyfikacji swój-obcy oraz EVS (enhanced vision system), umożliwiające lądowanie w bardzo trudnych warunkach pogodowych. Z 14 pasażerami na pokładzie będą one mogły na jednym tankowaniu pokonać dystans około 12,5 tys. km. Resort obrony w sierpniu 2016 roku ogłosił przetarg na zakup pięciu samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie. MON planuje kupić dwa małe i dwa średniej wielkości nowe samoloty oraz jeden używany. PZ, KW ■

Generalskie szlify

Prezydent awansował 15 oficerów na stopnie generalskie. Dwóch oficerów zostało mianowanych przez prezydenta Andrzeja Dudę na stopień generała dywizji: gen. bryg. prof. Grzegorz Gielerak, dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego, oraz gen. bryg. Sławomir Pączek, dyrektor Departamentu Budżetowego Ministerstwa Obrony Narodowej. Jak podaje Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, na stopień generała brygady zostali awansowani dowódcy dwóch brygad: 15 Brygady Zmechanizowanej – płk Jarosław Gromadziński oraz 6 Brygady Powietrznodesantowej –

płk Grzegorz Hałupka, natomiast na stopień kontradmirała – kmdr Krzysztof Jaworski, dowódca 3 Flotylli Okrętów. Generałem brygady został także zastępca dowódcy 12 Dywizji Zmechanizowanej płk Tomasz Piotrowski. Na pierwszy stopień generalski awansował płk Wiesław Kukuła, dowódca tworzonych wojsk obrony terytorialnej.

W Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych generałami brygady zostali: płk Cezary Wiśniewski, inspektor sił powietrznych, płk Krzysztof Radomski, zastępca inspektora wojsk lądowych i szef Zarzą-

du Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych, oraz płk Sławomir Owczarek, szef Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii. Na taki sam stopień zostali mianowani także płk Tomasz Połuch, komendant główny Żandarmerii Wojskowej, oraz jego zastępca płk Robert Jędrychowski. Pierwsze generalskie szlify otrzymali też komendanci uczelni wojskowych: płk Ryszard Parafianowicz z Akademii Sztuki Wojennej, płk Piotr Krawczyk z Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych i płk Dariusz Skorupka z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych. AD ■

TEMAT NUMERU

/ CYBERBEZPIECZEŃSTWO

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

OBRONA W SIECI

Zbudowanie systemu idealnego, który rozwiąże problem cyberataków, jest iluzją. Możemy jednak zwiększyć nasze bezpieczeństwo w sieci, ale konieczne jest strategiczne podejście do tego zagadnienia, bo obrona indywidualna się nie sprawdza.



ARTEM SAM / FOTOLIA,
MD / DZIAŁ GRAFICZNY



Sojusz północnoatlantycki już kilka lat temu zwrócił uwagę na bezpieczeństwo w cyberprzestrzeni. Decyzja o tym, że obrona przed atakami w sieci powinna stać się wspólnym obszarem działania państw członkowskich, zapadła w 2008 roku na szczycie w Bukareszcie. Rok później w Tallinie w Estonii rozpoczęło działalność Centrum Współpracy Cybernetycznej NATO (Polska przyłączyła się do niego w 2011 roku). Zadaniem tej placówki jest rozwijanie zdolności obronnych, współpracy i wymiany informacji między członkami sojuszu i jego partnerami w dziedzinie bezpieczeństwa cybernetycznego.

Na szczycie w Wielkiej Brytanii w 2014 roku NATO uznało cyberataki za ataki zbrojne, które uruchamiają mechanizmy kolektywnej obrony. Dwa lata później na szczycie w Warszawie sojusz dopisał cyberprzestrzeń do swoich obszarów działań (obok lądu, morza, powietrza i kosmosu). Pojawiły się też głosy, że kolejnym krokiem powinno być utworzenie sojuszniczego dowództwa cybernetycznego. Czy mogłoby ono znaleźć się w Polsce? Niektórzy eksperci nie wykluczają takiego rozwiązania, przypominając, że nasz kraj dysponuje sporym potencjałem w rozwoju technologii kryptograficznych, a polskie zespoły informatyczne odnoszą sukcesy podczas międzynarodowych ćwiczeń cybernetycznych.

Przywiązywanie przez NATO coraz większej wagi do cyberzagrożeń nie powinno dziwić, bo, jak stwierdził płk Zbigniew Klonowski, zastępca szefa Zarządu Łączności i Informacji Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, na konferencji „Cyber Security – bezpieczeństwo ponad granicami”, działaniami w cyberprzestrzeni można osiągać już prawie takie same efekty, jak z wykorzystaniem wojskowych środków konwencjonalnych”. Przypominał, jak w 2010 roku wirus komputerowy Stuxnet zakłócił funkcjonowanie tysięcy wirówek używanych przez Iran do wzbogacania uranu. Ten „robak” został wówczas uznany za „ukierunkowaną broń cybernetyczną”. Płk Klonowski przyznał jednak, że czasem trudno określić, kiedy działania w cyberprzestrzeni należy traktować jako wojenne. Tymczasem wiele państw rozwija własne militarne zdolności do działania w sieci. Brytyjskie ministerstwo obrony zainwestowało w rozwój cyberbezpieczeństwa ponad ćwierć miliarda funtów. Oddziały do zwalczania takich zagrożeń istnieją już m.in. w strukturach Bundeswehry (do 2021 roku niemiecka cyberarmia ma liczyć ponad 13 tys. specjalistów od IT). Żołnierze cyberdowództwa USA (United States Cyber Command – USCYBERCOM) prowadzą natomiast w sieci wojnę z Państwem Islamskim. Na konferencji „Cyber Security – bezpieczeństwo ponad granicami” również gen. broni Mirosław Różański, dowódca generalny ro-



AMERYKANIE DO ATAKÓW W SIECI UŻYWAJĄ M.IN. OKRĘTÓW PODWODNYCH, KTÓRE PODPŁYWAJĄ BLISKO DANEGO TERYTORIUM I PODŁĄCZAJĄ SIĘ DO SIECI WROGA

dzajów sił zbrojnych, zauważył, że jest to właściwy kierunek rozwoju. „Powinniśmy szukać rozwiązań, które umożliwią bezpieczne przetwarzanie informacji, gdyż to one stają się cenniejsze niż liczba posiadanych czołgów, okrętów czy samolotów. Z drugiej strony, musimy też zapewnić bezpieczeństwo działania samych sił zbrojnych, tak by w razie awarii sieci nadal mogły funkcjonować”.

ZMIANY NA LEPSZE

„W ostatnich miesiącach zaobserwowałem kilka pozytywnych zmian dotyczących cyberbezpieczeństwa Polski”, ocenia Robert Kośla, dyrektor Sektora Bezpieczeństwa Narodowego i Obronności na Region Europy Środkowej i Wschodniej Microsoft Europe i były oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Powstało Ministerstwo Cyfryzacji, które koordynuje inicjatywy związane z cyberbezpieczeństwem, oraz Narodowe Centrum Cyberbezpieczeństwa, zajmujące się zbieraniem informacji o zagrożeniach od różnych podmiotów, przetwarzaniem ich i przekazywaniem do zainteresowanych. Także kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej uznało działania w cyberprzestrzeni za jeden z priorytetów modernizacji technicznej sił zbrojnych (w resor-

KOMENTARZ



MICHAŁ JACH

Zapewnienie cyberbezpieczeństwa to nie tylko obrona przed atakiem teleinformatycznym na kluczową infrastrukturę krytyczną. Ważna jest też debata na temat projektowania systemów wojskowych, w tym uzbrojenia, które można wykorzystać w ataku cybernetycznym, a także stworzenie takich zabezpieczeń, które czyniłoby to uzbrojenie odpornym na tego rodzaju zagrożenia. ■

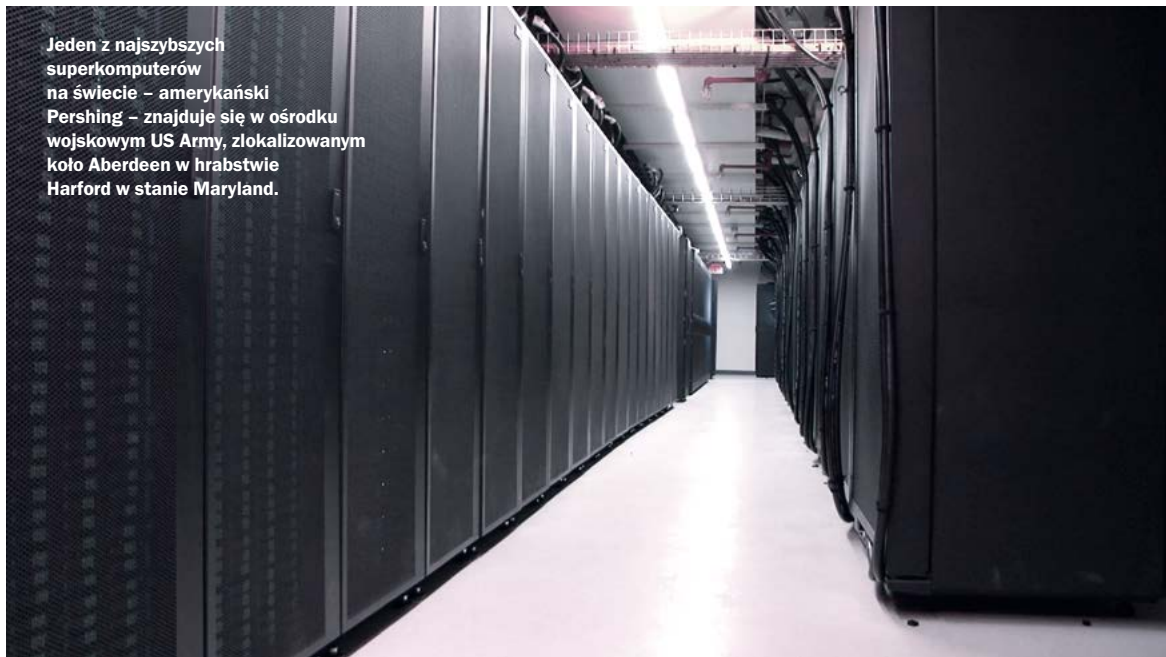
MICHAŁ JACH jest przewodniczącym sejmowej Komisji Obrony Narodowej.

cie sprawami cyberbezpieczeństwa zajmuje się wiceminister Bartłomiej Grabski).

Od dwóch lat mamy też doktrynę cyberbezpieczeństwa RP, w której wskazano takie zagrożenia, jak ataki na systemy łączności, od których zależy kierowanie bezpieczeństwem narodowym, a w odniesieniu do obywateli – kradzieże danych i tożsamości oraz przejmowanie kontroli nad prywatnymi komputerami. Zwrócono też uwagę na szpiegowanie w sieci przez inne państwa i organizacje pozapaństwowe oraz ataki organizacji terrorystycznych. Aby im skutecznie zapobiegać, potrzebne są działania instytucji państwowych, sektora prywatnego i wszystkich obywateli. Doktryna za konieczne uznaje też „prowadzenie aktywnej cyberobrony – i w jej ramach działań ofensywnych w cyberprzestrzeni – oraz utrzymanie gotowości do cyberwojny”.

STRATEGIA JAK INSTRUKCJA

Doktrynę opracowaną przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego rozwija przygotowana w Ministerstwie Cyfryzacji „Strategia cyberbezpieczeństwa RP na lata 2016–2020”. Nowy dokument uwzględnia wymogi unijnej dyrektywy o bezpieczeństwie sieci i informacji (Network and Information Security – NIS), którą →



Jeden z najszybszych superkomputerów na świecie – amerykański Pershing – znajduje się w ośrodku wojskowym US Army, zlokalizowanym koło Aberdeen w hrabstwie Harford w stanie Maryland.

US ARMY RESEARCH LABORATORY

ROZWÓJ CYFRYZACJI TO NIE TYLKO SAME KORZYŚCI DLA PAŃSTWA I OBYWATELI, LECZ TAKŻE SPORO ZAGROŻEŃ

POLSKA OBYWATELSKA CYBEROBRONA

W 2015 roku na warszawskiej konferencji „Security Case Study” padła zapowiedź powołania ochotniczej cyberarmii. Inicjatorem przedsięwzięcia był Mirosław Maj, prezes Fundacji „Bezpieczna Cyberprze-strzeń”. Dziś Polska Obywatelska Cyberobrona jest już stowarzyszeniem zatwierdzonym przez MON. Działa w niej ponad 30 ochotników: programistów, menedżerów, prawników i dziennikarzy. Spotykają się regularnie za pomocą łącz informatycznych, bo nie wszyscy mieszkają w Polsce.

w lipcu 2016 roku przyjął Parlament Europejski. NIS zakłada współdzielenie się informacjami o zagrożeniach nie tylko z podmiotami sektora publicznego, lecz także z dostawcami usług i dysponentami infrastruktury krytycznej. Ta lista obejmuje energetykę, transport, bankowość, infrastrukturę rynków finansowych (np. giełdy papierów wartościowych), służbę zdrowia, wodociągi oraz infrastrukturę cyfrową.

Według strategii cyberbezpieczeństwa, powinien powstać trzypoziomowy system, który będzie obejmował ochronę nie tylko instytucji państwowych, lecz także sektora prywatnego i obywateli. Autorzy projektu zauważyli bowiem, że zainfekowane złośliwym oprogramowaniem komputery indywidualnych użytkowników mogą stanowić zagrożenie dla systemów państwowych. Anna Streżyńska,

minister cyfryzacji, zapowiada budowę takiego wielowarstwowego systemu bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni. Przyznaje jednak, że jesteśmy załedwie na początku tej drogi.

Rządowym organem koordynującym taką strukturę na poziomie polityczno-strategicznym będzie właśnie minister odpowiadający za informatyzację, ale jej częścią staną się także pozostałe ministerstwa, zgodnie z zakresem ich kompetencji, a także Narodowe Centrum Cyberbezpieczeństwa, sektorowe zespoły reagowania na incydenty (CSIRT) oraz kierownicy urzędów i instytucji. Strategia zakłada, że powstaną klastry bezpieczeństwa, obejmujące administrację rządową oraz samorządy. Mają one zapewnić dodatkową ochronę danych oraz niezbędną infrastrukturę techniczną. Ze względu na specyfikę działań, zarówno ABW, jak i MON nie zostaną włączone do struktur klastra bezpieczeństwa.

„Skuteczne i szybkie wdrożenie strategii cyberbezpieczeństwa jest istotne dla Polski, ponieważ za kilka lat liczba urządzeń podłączonych do sieci komputerowej wzrośnie ponadczterokrotnie i wówczas może być za późno na porządkowanie tego obszaru”, mówi gen. Włodzimierz Nowak, pełnomocnik ministra cyfryzacji ds. cyberbezpieczeństwa.

W strategii zwraca się także uwagę na powszechną edukację społeczną (należy ją rozpocząć już w szkole podstawowej) oraz przygotowanie wykwalifikowanych kadr. Jej autorzy postulują uruchomienie w szkołach wyższych nowych kierunków studiów, w których będzie się kładło większy nacisk na zagadnienia związane z cyberbezpieczeństwem. Zakłada się również szkolenia dla pracowników organów ścigania i administracji publicznej.

CYBERBEZPIECZEŃSTWO KOSZTUJE

Anna Streżyńska zapowiedziała, że w kwietniu 2017 roku do Sejmu trafi projekt ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. „Uporządkuje ona kompetencje wszystkich podmiotów zaangażowanych w proces zapewnienia bezpieczeństwa na szczeblu strategicznym i operacyjnym. Dzisiaj w wielu aktach

KOMENTARZ



DARIUSZ GWIZDAŁA

Cyberbezpieczeństwo to jedno z najbardziej palących wyzwań, przed którymi stoi administracja publiczna, bo podstawowym zadaniem państwa jest zapewnienie bezpieczeństwa obywateli, także w wirtualnym środowisku. Niezbędne jest rozbudowanie zasobów i zdolności technologicznych na potrzeby cyberbezpieczeństwa poprzez uruchomienie projektów wykorzystujących informatyczny potencjał kraju. ■

DARIUSZ GWIZDAŁA jest zastępcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

prawnych są elementy odnoszące się do bezpieczeństwa w sieciach komputerowych, ale regulacje te nie zawsze są spójne”, mówi gen. Nowak.

Wprowadzenie w życie zmian proponowanych przez Ministerstwo Cyfryzacji musi jednak kosztować. W przyszłym roku resort wyda na ten cel 60 mln zł. Na co zostaną przeznaczone te pieniądze? „Na najpilniejsze sprawy”, odpowiada gen. Nowak i wylicza. Po pierwsze, na wdrożenie systemu wczesnego ostrzegania, który pozwala na monitorowanie sytuacji na granicach sieci oraz zablokowanie niepożądanego ruchu przychodzącego, co w sposób systemowy będzie chroniło państwo polskie przed bezpośrednimi atakami z zagranicy. Po drugie, na rządowy klastr bezpieczeństwa, który zapewni dodatkowe zabezpieczenie rejestrów państwowych i serwisów rządowych oraz pozwoli na segmentację sieci, czyli możliwość izolowania źródła zagrożenia.

I wreszcie po trzecie, pieniądze zostaną wydane na bezpośrednią ochronę danych. Chodzi m.in. o tworzenie i przechowywanie w bezpieczny sposób danych z rejestrów państwowych, tj. umieszczania kopii zapasowych i danych archiwalnych w miejscu oddalonym geograficznie od systemu głównego.

„Rozwój cyfryzacji to nie tylko same korzyści dla państwa i obywateli, lecz także sporo zagrożeń, które są nieodłączną częścią postępu. Zwiększające się uzależnienie procesów gospodarczych i społecznych od dostępu do usług cyfrowych wymaga skutecznych mechanizmów zapobiegania, reagowania i przeciwdziałania pojawiającym się zagrożeniom. To jest odpowiedzialność państwa, by dać obywatelom możliwość korzystania z usług cyfrowych w sposób bezpieczny. Wymaga to jednak skoordynowanych działań na poziomie administracji państwowej, samorządowej i wszystkich uczestników procesu zapewnienia bezpieczeństwa”, podsumowuje gen. bryg. Włodzimierz Nowak. Od tego, jak zrealizujemy w praktyce postanowienia strategii, będzie zależeć nasze bezpieczeństwo w cyberprzestrzeni. ■

WSPÓŁPRACA:
MAGDALENA MIERNICKA

Różne badania pokazują, że rośnie liczba cyberataków. Eksperti ds. bezpieczeństwa ostrzegają przed tzw. cyfrowym Pearl Harbor – cyberatakiem, który rzuciłby konkretny kraj na kolana, np. niszcząc jego system bankowy. To realne?

Przykład Pearl Harbor idzie za daleko. Takiego porównania użyto po raz pierwszy w USA publicznie w 1991 roku i jest przywoływane za każdym razem, kiedy pojawiają się większe problemy w sieci. Gdyby doszło do takiego ataku, to byłoby dość oczywiste, kto go przeprowadził, co przełożyłoby się na relacje między stronami. Ataki w cyberprzestrzeni są efektywne w kilku wypadkach. Po pierwsze, wtedy gdy państwa są już w stanie konfliktu – przypomnę atak Rosji na węzły energetyczne na Ukrainie. Po drugie, kiedy jest prowadzona działalność szpiegowska, której celem jest pozyskanie informacji i pozostawienie jak najmniejszych śladów – przykładem są tu chińskie działania wobec przemysłu zbrojeniowego USA. I wreszcie po trzecie, gdy chodzi o celową eskalację napięcia między państwami i demonstrację siły – jako przykład może posłużyć atak na Estonię w 2007 roku czy ostatnie ataki na siedzibę Partii Demokratycznej w USA. Oczywiście w przyszłości ktoś może dojść do wniosku, że należy zorganizować coś na kształt Pearl Harbor, ale de facto strona atakująca ryzykuje, że dojdzie do akcji odwetowej, która może przynieść konsekwencje podobne do wybuchu bomby nuklearnej. Dlatego uważam, że każda ze stron dobrze się zastanowi, zanim podejmie taką decyzję.

Jakiego rodzaju ataki zatem nam grożą?

Na co dzień jako obywatele jesteśmy narażeni na działalność grup przestępczych, których celem jest uzyskanie w sposób nielegalny

OPANOWAĆ DZIKI ZACHÓD

Z Piotrem Trąbińskim
o Pearl Harbor w sieci, o tym, jak lingwista walczy z cyberprzestępcami oraz kiedy jesteśmy skazani na porażkę rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.

Każdy atak w sieci można zidentyfikować i dotrzeć do miejsca, z którego był prowadzony

źródeł przychodu, np. przez kradzież numerów kart płatniczych lub danych logowania do systemów bankowych. Zagrożeniem są także coraz popularniejsze ataki ransomware, które kodują dostęp do plików znajdujących się na komputerze, a ich odblokowanie wiąże się z zapłaceniem okupu. Nie zapominajmy o całej gamie wirusów umożliwiających hakerom zdalne kierowanie naszymi urządzeniami. Spora część ataków, tzw. phishing, polega na zastosowaniu wobec użytkowników prostych narzędzi socjotechnicznych, które zachęcają ich do podzielenia się z hakerami danymi dostępu. Celem innych będzie z kolei stworzenie tzw. tylnych drzwi (backdoor), które umożliwią hakerom powrót za każdym razem, kiedy będzie to im potrzebne.

Państwa są narażone głównie na działania szpiegowskie, których celem jest zgromadzenie informacji na dany temat oraz uzyskanie dostępu do systemów komputerowych lub systemów infrastruktury krytycznej. Cyberprzestrzeń jest wykorzystywana do prowadzenia wojny informacyjnej.

Z innymi zagrożeniami w sieci muszą się zmierzyć instytucje administracji państwowej, a z innymi firmy prywatne?

Zwykle firmy są bardziej narażone na działania zorganizowanych grup przestępczych i pojedynczych hakerów, administracja publiczna natomiast jest częściej celem ataku ze strony innego państwa. Nie jest to jednak reguła i czasem te granice się zacierają. Rosja na przykład często korzystała z usług grup przestępczych działających w sieci, także podczas ataku na Gruzję. Państwa częściej są na celowniku hakerów, których celem jest realizacja konkretnych postulatów politycznych. Każde państwo powinno stworzyć własny, silny ośrodek analityczny, który odróżni działania jednych grup od innych, tak aby dostarczyć decydentom informacje niezbędne do podjęcia strategicznych decyzji.

Czy jesteśmy w stanie rozpoznać cyberagresora?

Każdy atak w sieci można zidentyfikować i dotrzeć do miejsca, z którego był prowadzony. Aby rozpoznać agresora, potrzebna jest analiza danych związanych z atakiem, co zwykle trwa od kilku dni do kilku tygodni. Dlatego w USA, w zespołach do walki w cyberprzestrzeni pracują osoby o różnych kompetencjach, będące w stanie na podstawie wielu informacji ocenić najbardziej prawdopodobne źródło ataku. Upraszczając, możemy powiedzieć, że najmocniejszymi adwersarzami Zachodu w cyberprzestrzeni

są Rosja, Chiny, Korea Północna i Iran. Te państwa prowadziły już operacje przeciwko krajom zachodnim i odniosły spory sukces. Olbrzymim potencjałem w cyberprzestrzeni dysponuje także Izrael, a coraz większym Japonia, Pakistan i Indie. Ponieważ ta sfera jest nieograniczona i czasem ciężko jest precyzyjnie określić, kto jest odpowiedzialny za

atak, państwa budujące strategię cyberbezpieczeństwa powinny wdrożyć niestandardowe sposoby walki oraz rozbudowywać bazę wiedzy o sposobach walki atakujących.

Co sami możemy zrobić, żeby zmniejszyć takie zagrożenie?

Każdy z nas powinien zachować zdrowy rozsądek, nie otwierać podejrzanych e-maili i nikomu nie podawać swoich danych do logowania. Należy również rozważyć, jakie informacje umieszczamy w mediach społecznościowych, bo cyberprzestępcy mogą je wykorzystać do przeprowadzenia ataku. To spore wyzwanie, bo niemal całe nasze życie przenosi się do cyberprzestrzeni.

Kilka zadań związanych z bezpieczeństwem w sieci spoczywa na państwie, które powinno zadbać o edukację w szkołach związaną z cyberzagrożeniami. Do niego należy też ochrona infrastruktury krytycznej, stworzenie jednostek zbierających informacje o zdarzeniach oraz gotowych bronić suwerenności państwa w sieci. Im silniejsze państwo i im poważniej podchodzi do swoich strategicznych celów, tym większa będzie jego ekspozycja w cyberprzestrzeni, i tym większe będą jego zdolności ofensywne.

Dlaczego postuluje Pan budowę zespołów do walki z cyberzagrożeniami?

W zespołach chroniących cyberprzestrzeń powinny istnieć trzy pionierzy. Pierwszy, techniczny, w którym znajdują się inżynierowie i informatycy, aktywnie przeciwdziałają atakom. To zespół pracujący na poziomie operacyjnym, który można porównać do strażaków jadących ugasić pożar. Drugi pionier to grupa analityczna. Jej zadaniem jest zbieranie danych dotyczących chronionego podmiotu – od wydarzeń o charakterze geopolitycznym do analizy tzw. dark web, czyli części internetu ukrytego, pozwalającego zachować anonimowość i zawierającego dane, których nie znajdzie się przez standardowe wyszukiwanie. Można ją porównać do dyspozytorni zbierającej informacje o wszystkich zdarzeniach oraz potrafiącej prawidłowo ocenić zagrożenia i przedstawić propozycję przeciwdziałania atakom. Trzeci pionier to C+, z menedżerami podejmującymi ostateczne decyzje.



W skład tych zespołów mają wchodzić eksperci z różnych dziedzin. Jak na przykład lingwista może powstrzymać hakerów?

W zespołach analitycznych są potrzebne osoby o różnym wykształceniu: specjaliści ds. bezpieczeństwa, prawnicy, lingwiści. Dzięki tej różnorodności łatwiej prawidłowo rozpoznać hakerów. Przesłany z różnych krajów działają na swój sposób. Amerykanin, szukając informacji w sieci, będzie posługiwał się nie tyle innym językiem niż np. Hiszpan, ile specyficzną składnią. Użycie konkretnych zwrotów też wiele powie o autorze. Dla dobrego lingwisty jest to łatwe do odgadnięcia, ale niekoniecznie będzie zrozumiałe dla inżyniera czy technika. W zespołach są potrzebne także osoby myślące strategicznie. Ekspertcy mający wiedzę o aktualnej sytuacji geopolitycznej, rozumiejący specyfikę i kulturę środowisk, z których pochodzą przestępcy. Sztuką jest pełna współpraca między pionem analitycznym i technicznym. Tak długo, jak nie wykształcimy zintegrowanych zespołów specjalistów z różnych dziedzin, nie zrozumiemy szerszego kontekstu ataku. A bez tego będziemy skazani na porażkę.

Skąd wziąć fachowców do takich zespołów?

Przygotowanie odpowiednich kadr będzie najtrudniejszym zadaniem, jakie stanie przed nami. Nie mamy jeszcze dobrych szkół kształcących ludzi w zagadnieniach strategicznych, nie mamy więc odpowiedniej liczby specjalistów. Część osób można przeszkolić za granicą, ale o wiele lepiej byłoby stworzyć odpowiednie warunki nauki w kraju. Nie jest to problem jedynie Polski. Szacuje się, że do 2020 roku w USA będzie brakowało około miliona specjalistów. Mamy jednak świetnych programistów, inżynierów i informatyków – to nasza strategiczna przewaga.

Podobno Finlandia jest uważana za państwo, w którym poziom bezpieczeństwa jest najwyższy. Dlaczego?

Państwami o wysokim poziomie bezpieczeństwa sieci są także Szwecja, Izrael, Wielka Brytania. Mają one spójne systemy i procedury w sektorze prywatnym i publicznym. Ich obywatele są przeszkoleni, istnieją także instytucje, do których mogą zwrócić się o wsparcie. Jest podział kompetencji – wiadomo, kto za co odpowiada, realizowane są cykliczne testy penetracyjne sieci i symulacje bardziej złożonych ataków, sporo czasu poświęca się też innowacjom w dziedzinie cyberbezpieczeństwa.

Jaki rodzaj cyberataku byłby równoznaczny z wypowiedzeniem wojny? Na razie termin „cyberwojna” jest stosowany dość dowolnie.

Mamy wiele definicji tych samych terminów związanych z cyberprzestrzenią i nawet ona nie jest jednoznacz-

*Mamy świetnych
programistów,
inżynierów
i informatyków
– to nasza
strategiczna
przewaga*

nie interpretowana. Dzisiaj możemy jedynie domniemywać, kiedy moglibyśmy mieć do czynienia z cyberwojną. Prawdopodobnie jedną z przesłanek byłby atak w sieci, w wyniku którego powstałyby trwałe szkody w świecie realnym: zniszczenie mienia, śmierć ludzi. Jak jednak podejść do kradzieży danych wartych miliony? Jak wycenić szkody powstałe w wyniku penetracji systemów, co spowodowało, że przez wiele miesięcy trzeba było utrzymywać w pogotowiu zespoły specjalistów? Dziś cała cyberprzestrzeń to Dzikie Zachód i wielu państwom taki stan rzeczy odpowiada, gdyż pozwala na realizację własnych celów strategicznych. Długofalowo, wraz ze wzrostem liczby i jakości cyberataków, stan prawny zacznie ulegać zmianie.

Jakie kwestie miałyby uregulować międzynarodowe prawo dotyczące cyberprzestrzeni.

Powinno regulować wzajemne działania państw i organizacji międzynarodowych. Musi także określać dozwolone i zabronione działania w sieci oraz minimum definicyjne, niezbędne do precyzyjnego formułowania pojęć prawnych. Do katalogu zagadnień, które powinny być przez takie zapisy regulowane, można jeszcze dodać wiele kwestii, ale te przedstawione to minimum potrzebne do ucywilizowania cyberaktywności.

Widzi Pan zagrożenie cyberwojną hybrydową?

Myślę, że wojna hybrydowa w pewnym aspekcie toczy się cały czas, a cyberprzestrzeń jest jednym z elementów prowadzenia kampanii hybrydowych. Niektóre państwa utrzymują zespoły, które penetrują obce sieci. Jest to dzia-

łanie długofalowe. Wszystkie kraje zachodnie są celem ataków o charakterze szpiegowskim, wiele z nich musi się zmagać również z pokrewnym zagrożeniem, jakim jest prowadzenie wojny informacyjnej, która w obecnym świecie toczy się głównie w cyberprzestrzeni. Jeśli prześledzimy ostatnie 30 lat prowadzenia działań w cyberprzestrzeni – licząc od czasu operacji „Cukoo’s Egg”, pierwszego odnotowanego przypadku szpiegowania USA przez internet w celu pozyskania danych o charakterze militarnym, wykonanego przez niemieckich hakerów na rzecz KGB – zauważymy pewną prawidłowość: większość działań w cyberprzestrzeni sprowadzała się do szpiegostwa. Tylko niektóre miały charakter ofensywny, tak jak Stuxnet, lub zmierzały do prowadzenia akcji politycznej, jak to było w czasie ataku na Estonię, kiedy chodziło o reakcję na przeniesienie pomnika żołnierzy Armii Czerwonej.

Jakie mogą być cele w wojnie hybrydowej?

Wojna hybrydowa zakłada takie działania państwa, które pozwoli mu osiągnąć stawiane cele, bez prawnego przypisania agresji konkretnemu państwu. Najczęściej chodzi o dostęp do informacji związanej z bezpieczeństwem, danymi technologicznymi, schematami działania systemów albo o uzyskanie dostępu do systemów i zdobycie strategicznej kontroli nad systemami teleinformatycznymi czy przemysłowymi lub doprowadzenie do ich uszkodzenia. Czasem cyberagresor dąży do zdobycia danych osobowych lub przeprowadzenia kampanii dezinformujących atakowane społeczeństwo. Celem może być również uzyskanie wpływu na politykę państwa lub czasowe odcięcie danego kraju od informacji przez coraz bardziej popularne ataki DDoS.

Czy, Pana zdaniem, następuje u nas poprawa w dziedzinie bezpieczeństwa w sieci?

Widzę, że władze państwowe poważnie traktują tę kwestię, choć nie jestem jeszcze pewien, jaki będzie ostateczny kształt polityki cyberbezpieczeństwa Polski. Dotychczas mieliśmy oddolnie ukształtowany model odpowiedzialności rozproszonej, gdzie było dużo podmiotów odpowiedzialnych za wąski zakres spraw. Pierwsze oznaki zmiany widać zarówno w Ministerstwie Cyfryzacji, jak i Ministerstwie Obrony Narodowej. Za wcześniej jednak na szczególną ocenę proponowanych rozwiązań.

Jak Pan ocenia opublikowane ostatnio przez Ministerstwo Cyfryzacji założenia strategii cyberbezpieczeństwa oraz rolę i udział w niej MON?

W dokumencie przedstawionym przez Ministerstwo Cyfryzacji nie widzę strategicznego spojrzenia. Jest to dobry plan taktyczny dotyczący zagospodarowania spraw związanych z cyberbezpieczeństwem. Jednak jeśli tworzymy

strategię, musimy zadać sobie pytanie, jakie cele w cyberprzestrzeni zamierza realizować Polska. Przed takimi pytaniami stało każde państwo. Izrael uznał, że chce oprzeć rozwój gospodarczy na świadczeniu usług z dziedziny cyberbezpieczeństwa, USA traktują cyberprzestrzeń jako piąty sposób prowadzenia wojny, po działaniach na lądzie, w wodzie, powietrzu i kosmosie, i są gotowe odpowiedzieć na każde wyzwanie w cyberprzestrzeni wymierzone w Stany Zjednoczone lub ich obywateli. W strategii zaprezentowanej przez ministerstwo brakuje długofalowych założeń. Nie jest również jasna rola, jaką strategia przypisuje resortom siłowym, jako podrzędnym wobec tworzonego podmiotu odpowiedzialnego za cyberbezpieczeństwo Polski. W USA za bezpieczeństwo państwa w cyberprzestrzeni odpowiada Departament Bezpieczeństwa Krajowego (Department of Homeland Security), będący odpowiednikiem polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, w ramach którego działa CERT oraz FBI jako agencja odpowiedzialna za realizację części operacyjnej działań wobec grup i jednostek, które zagrażają bezpieczeństwu USA. Polska nie musi oczywiście powielać modelu jakiegokolwiek państwa zachodniego, ale resorty powinny ustalić zakres kompetencji oraz stworzyć efektywny model kooperacji. Dotychczasowe doświadczenia współpracy międzyresortowej w Polsce nie napawają optymizmem, ale budowa zdolności w cyberprzestrzeni może stać się okazją do wypracowania nowych wzorców.

Jak, według Pana, wygląda w Polsce współpraca między sektorem prywatnym a publicznym w dziedzinie ochrony przed zagrożeniami cybernetycznymi?

Sektor prywatny jest zdecydowanie lepiej przygotowany na odpowiedź w razie cyberataku, a jego ochrona przed tego typu zagrożeniami jest znacznie bardziej zaawansowana. Podobnie jest na całym świecie i dlatego w większości zachodnich państw rozwój cyberzdolności opiera się na bazie modelu partnerstwa publiczno-prywatnego. Jest to prawdopodobnie najefektywniejszy sposób wdrażania rozwiązań, które mogą dać danemu państwu przewagę nad adwersarzami. W Polsce kilkakrotnie przystępowano do tworzenia wspólnych projektów – przez biznes prywatny i sektor państwowy, ale na razie wszystko jest na bardzo wczesnym etapie. Na pewno ten kierunek jest przyszłościowy i warto w niego inwestować. ■

PIOTR TRĄBIŃSKI jest absolwentem Wydziału Prawa na Uniwersytecie Warszawskim, ekspertem ds. cyberbezpieczeństwa oraz menedżerem wywodzącym się z sektora finansowego. Obecnie w trakcie studiów z bezpieczeństwa narodowego i stosunków międzynarodowych w The Institute of World Politics w Waszyngtonie.

JACEK JARMAKIEWICZ, KRZYSZTOF PAROBCZAK



BIPSE TO SYSTEM OCHRONY CYBERPRZESTRZENI INFRASTRUKTURY TELEINFORMATYCZNEJ DLA ELEKTROENERGETYKI – Z POWODZENIEM SPRAWDZONY W WARUNKACH OPERACYJNYCH



Dzięki staraniom Polskich Sieci Elektroenergetycznych SA został sfinansowany ze środków publicznych zaawansowany technologicznie system zapewnienia bezpiecznej komunikacji IP w obszarze zarządzania siecią elektroenergetyczną (**BIPSE**). **BIPSE** opracowało konsorcjum naukowo-przemysłowe w składzie: Wojskowa Akademia Techniczna, Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa, Asseco Poland SA oraz Wojskowy Instytut Łączności. System uzyskał VIII poziom gotowości technologicznej i nie ma odpowiednika wśród oferowanych komercyjnie rozwiązań z zakresu cyberbezpieczeństwa na świecie. **BIPSE** kompleksowo integruje technologie bezpieczeństwa, uwzględniając jednocześnie wymagania i warunki pracy polskich sieci sterowania.

BIPSE w systemie sterowania wykrywa zaawansowane długotrwałe ataki APT podobne do tych, które w konsekwencji spowodowały blackouty na Ukrainie. Wykrywane są ataki na infrastrukturę sterowania pochodzące zarówno z zewnątrz, jak i z wnętrza systemu sterowania. System **BIPSE** kontroluje wszelkie zmiany, które są wprowadzane do mechanizmów sterowania. Opracowane rozwiązanie wpisuje się w dyrektywę Parlamentu Europejskiego w sprawie środków zapewnienia wspólnego wysokiego poziomu bezpieczeństwa sieci i informacji. Własności funkcjonalne systemu przedstawiono na konferencji „Cyber Security – bezpieczeństwo ponad granicami”, w trakcie której zwrócono uwagę uczestników na osiągnięty cel, tj. podniesienie poziomu bezpieczeństwa infrastruktury krytycznej kraju.

System **BIPSE** został zaprojektowany, by umożliwić wymianę informacji o atakach pomiędzy różnymi podmiotami tworzącymi domeny biznesowe. W ten sposób udało się osiągnąć niespotykaną dotąd synergię w zakresie bezpieczeństwa. Modułowa architektura systemu umożliwia do-

stosowanie go do różnych sieci przemysłowych – od gazownictwa aż po wodociągi i transport. Obraz sytuacji bezpieczeństwa umożliwia personelowi śledzenie rejestrowanych zdarzeń, reagowanie na nie w czasie rzeczywistym, a także wymianę alarmów do wskazanych służb bezpieczeństwa i zespołów reagowania na incydenty komputerowe. Zakres wymienianych danych jest dostosowywany poprzez konfigurowalne reguły – politykę bezpieczeństwa. Dla **BIPSE** został opracowany moduł SIEM (Security Information Event Management), który przetwarza dane pochodzące z systemu sterowania i modułów **BIPSE**. Przewidziano także możliwość przyłączenia zainstalowanych i wykorzystywanych już elementów infrastruktury bezpieczeństwa teleinformatycznego – m.in. firewalli oraz systemów typu IDS i IPS. Ze względu na wymagania PSE SA w zakresie sterowania, nie zostały wykorzystane mechanizmy filtrowania, choć **BIPSE** umożliwia zautomatyzowaną generację reguł dla firewalli i IPS. System **BIPSE** jest bezpieczny dla chronionego systemu, gdyż nie oddziałuje aktywnie na jego elementy. Wewnątrz systemu **BIPSE** wbudowane są mechanizmy samozabezpieczeń, w tym nadzór wewnętrznych procesów systemowych, integralności systemu (heartbeat) oraz szyfrowanie komunikacji wewnętrznej.

System **BIPSE** został z sukcesem zweryfikowany w warunkach operacyjnych w stacji sterowania i nadzoru Polskich Sieci Elektroenergetycznych SA oraz w Laboratorium Generacji Rozproszonej Instytutu Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej. Dzięki wykorzystaniu **BIPSE** elektroenergetyka polska ma szansę ochronić swe systemy sterowania przed zagrożeniami cybernetycznymi. ■

Dr inż. JACEK JARMAKIEWICZ
i mgr inż. KRZYSZTOF PAROBCZAK są pracownikami
naukowymi Wojskowej Akademii Technicznej.

MARCIN NOWAK

Partnerzy czy rywale?

Wydaje się, że Rosja i Chiny ściśle ze sobą współpracują w kwestii bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni. Ostatnio jednak wzrasta liczba chińskich ataków wymierzonych w sieci rosyjskich instytucji.

Rosję i Chiny łączy w kwestii zagadnień dotyczących cyberprzestrzeni przede wszystkim ideologiczne podejście do zarządzania nią.

Oba kraje promują ideę suwerenności w świecie wirtualnym oraz dążą do wzmocnienia roli państw i organizacji międzynarodowych w tym środowisku. Ta koncepcja jest zupełnie inna niż formuła promowana przez Stany Zjednoczone i państwa zachodnie, które dążą do zachowaniu modelu internetu opartego na nieskrępowanej wolności, w którym duże znaczenie mają podmioty prywatne i organizacje pozarządowe.

PRZYKŁAD ROSJI I CHIN POKAZUJE, ŻE NIEZALEŻNIE OD PODPISANYCH POROZUMIEŃ, BĘDĄ ZDARZAŁY SIĘ WZAJEMNE ATAKI HAKERSKIE

ZACIEŚNIENIE WSPÓŁPRACY

W 2009 roku, w ramach Szanghajskiej Organizacji Współpracy, Chiny i Rosja uchwaliły traktat o bezpieczeństwie informacyjnym, który powinien się przyczynić do tworzenia politycznych, prawnych oraz organizacyjnych fundamentów wzmocnienia bezpieczeństwa informacyjnego oraz do rozwoju współpracy między państwami członkowskimi w tej dziedzinie. Tyle że tak naprawdę chodziło o kontrolowanie treści w cyberprzestrzeni. Dwa lata później oba kraje przedłożyły do Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych „Kodeks bezpieczeństwa informacyjnego”

(Code of Conduct for Information Security; w 2015 roku zaktualizowany dokument ponownie przesłano do sekretarza generalnego ONZ).

Po aneksji Krymu w 2014 roku nastąpiła intensyfikacja relacji rosyjsko-chińskich. Przykładem jest 30-letnie porozumienie w sprawie dostaw gazu. Ponadto Rosja zobowiązała się dostarczyć partnerowi zespół systemów antyrakietowych S-400 oraz samoloty bojowe Su-35. Współpraca nie wygląda jednak tak dobrze, jak mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka. Po pierwsze, są problemy z ustaleniem ceny za gaz. Po drugie, nie postanowiono, jaka wersja systemu S-400 ma zostać dostarczona Chinom.

Podobną sytuację obserwujemy w cyberprzestrzeni. Chiny i Rosja podpisały memorandum, na mocy którego nie będą przeprowadzały ataków w sieci przeciwko sobie, a także wspólnie będą zwalczały technologię mogącą zdestabilizować wewnętrzną sytuację kraju oraz zaszkodzić systemowi społeczno-ekonomicznemu, zakłócić ład społeczny czy pozwolić na ingerencję w wewnętrzne sprawy danego państwa. Dodatkowo Pekin i Moskwa zgodziły się na bliższą współpracę w zwalczaniu cyberprzestępczości oraz podjęcie wspólnych wysiłków w celu poprawy ochrony informacyjnej →

infrastruktury krytycznej w obu państwach. Dla Państwa Środka był to kolejny krok w promowaniu jego idei suwerenności w internecie i w zwalczaniu zachodniej, traktowanej jako przejaw amerykańskiej, hegemonii.

Obie strony zobowiązały się również do zwiększenia działań na rzecz przyjęcia przez ONZ kodeksu działania w cyberprzestrzeni przedstawionego przez oba państwa sekretarzowi generalnemu w 2015 roku. To porozumienie jest podsumowaniem dekady starań obu państw o utworzenie specjalnych narzędzi służących do koope-

Kolejnym przejawem zacieśniania się współpracy państw w cyberprzestrzeni było spotkanie prezydentów Rosji i Chin w Pekinie. Obie strony zobowiązały się wówczas, że będą stały na straży bezpieczeństwa w sieci, żeby stworzyć nowy światowy porządek w cyberprzestrzeni. Zgodziły się wtedy również, że zapisy „Karty Narodów Zjednoczonych” dotyczące użycia siły, poszanowania suwerenności oraz nieingerencji w wewnętrzne sprawy innych państw powinny mieć zastosowanie w cyberprzestrzeni.

CZY STRATEGICZNY SOJUSZ MIĘDZY **ROSJĄ** A **CHINAMI** JEST TAKTYCZNYM POROZUMIENIEM WYMIEJRZONYM W AMERYKAŃSKĄ DOMINACJĘ W PRZESTRZENI WIRTUALNEJ?



racji w zarządzaniu cyberprzestrzenią. Miało również na celu wzmocnienie ich pozycji w walce z dominacją amerykańską w tej dziedzinie. Przy czym nie można zapominać, że zarówno Rosja, jak i Chiny nie postrzegają cyberspiegostwa czy działań przygotowujących do wojny w cyberprzestrzeni jako bezprawnych. Ich zdaniem, są to normalne, ogólnodostępne narzędzia realizacji polityki.

Moskwa i Pekin uznały wówczas za swoją strategiczną misję internacjonalizację zarządzania internetem, której celem jest sprawiedliwe rozdzielanie podstawowych zasobów sieci globalnej przez promowanie demokratycznego oraz transparentnego systemu zarządzania systemem internetowym. W celu realizacji tych postanowień ustalono

cykliczne spotkania osób odpowiedzialnych za cyberbezpieczeństwo. Ta deklaracja tak naprawdę była w znacznej mierze powtórzeniem wielu poprzednich inicjatyw i pomysłów. Ostatnie wydarzenia pokazują jednak, że mimo deklaracji, współpraca w cyberprzestrzeni nie przebiega tak pomyślnie, jak mogłoby się wydawać.

CHIŃSKIE ATAKI

Analitycy firmy Kaspersky podają, że od początku 2016 roku aktywność chińskich hakerów wzrosła trzykrotnie – zaatakowali 35 przedsiębiorstw i instytucji, m.in. siedem zakładów wojskowych specjalizujących się w produkcji rakiet, radarów, technologii morskiej, pięć instytucji rządowych, cztery firmy lotnicze oraz dwie zajmujące się energią nuklearną. Przy czym prawdopodobnie takich ataków na rosyjskie podmioty jest znacznie więcej, ponieważ tylko 10% korporacji współpracuje z firmą Kaspersky.

Według niepotwierdzonych informacji w ten sposób uderzono w zakłady rosyjskich helikopterów oraz Urządowozawod, odpowiedzialny za produkcję m.in. czołgów T-90. Ani przedsiębiorstwa, ani przedstawiciele Federalnej Służby Bezpieczeństwa nie potwierdzili jednak, że takie ataki się pojawiły. I choć identyfikacja sprawców pozostaje wciąż wyzwaniem, to z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że te działania zostały albo zlecone przez władze Państwa Środka, albo odbywały się za ich cichą zgodą.

Hakerom nie chodziło o zyski finansowe, lecz o zdobycie informacji. Zdaniem Aleksandra Gostewa, eksperta bezpieczeństwa jednej z moskiewskich firm, hakerzy działali jak odkurzacz – pobierali wszystkie pliki, bez rozróżniania na te istotne i mniej ważne, aby później poddać je analizie. W całym procederze miały uczestniczyć setki ludzi.

Zwiększenie liczby ataków można zaobserwować od czasu podpisania porozumienia między Stanami Zjednoczonymi i Chinami w 2015 roku. Obie stro-

ny zobowiązały się wówczas do powstrzymania od szpiegowania prywatnych przedsiębiorców. Nie jest to jednak jedyny powód. Po pierwsze, należy pamiętać o geopolitycznym wymiarze stosunków rosyjsko-chińskich. Relacje między obu państwami wydają się bardzo dobre, ale tak naprawdę jest wiele obszarów będących źródłem konfliktu, począwszy od Azji Centralnej, na Syberii skończywszy. Cyberataki natomiast są wykorzystywane do osiągnięcia konkretnych celów politycznych. Po drugie, łatwo jest dotrzeć do rosyjskich komputerów, często wyposażonych w przestarzałe i pirackie wersje programów, w których nie załatano dobrze znanych luk. Potencjalni atakujący nie muszą więc szukać błędów, których wykorzystanie wymaga wiele wysiłku. Trzecim powodem jest rosyjska przewaga technologiczna w niektórych obszarach zbrojeniowych. To dlatego jest tak wiele cyberataków wymierzonych w instytucje związane z wojskiem. Po czwarte, wpływ na nowy kierunek działania chińskich hakerów ma również porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi. Widocznie groźba nałożenia sankcji na chińskie firmy skutecznie zmniejszyła aktywność Chińczyków w przestrzeni wirtualnej i wymusiła znalezienie nowego celu.

Przykład Rosji i Chin pokazuje, że niezależnie od podpisanych porozumień, będą zdarzały się wzajemne ataki hakerskie. Wynika to z ich specyfiki – przeprowadzenie cyberataku jest relatywnie tanie, istnieje wysokie prawdopodobieństwo powodzenia oraz niewielkie ryzyko wykrycia sprawcy i powiązania z rządem. Dlatego wydaje się, że liczba ataków będzie wzrastać. Jednocześnie jednak oba państwa będą współpracowały w promowaniu własnej koncepcji cyberprzestrzeni oraz zwiększenia roli aktorów państwowych i organizacji międzynarodowych. ■

MARCIN NOWAK jest absolwentem Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych w Łodzi. Niezależny dziennikarz zainteresowany nowymi technologiami i ich wpływem na bezpieczeństwo państwa.



KAMIL GAPIŃSKI

AGRESOR NIEZNANY?

Coraz częściej za spektakularnymi cyberatakami stoją państwa, a nie grupy hakerów.

Wszystkie istotne wydarzenia międzynarodowe z ostatnich miesięcy w pewnym stopniu miały ukryty, dodatkowy wymiar, jakim jest walka o wpływ w cyberprzestrzeni. Z drugiej strony, istotnym problemem wciąż pozostaje zapewnienie bezpieczeństwa, zarówno na poziomie państwowym, jak i międzynarodowym. Unia Europejska wdraża np. specjalną dyrektywę dotyczącą bezpieczeństwa sieci teleinformatycznych (security of network and information systems), dzięki której państwa będą zobligowane m.in. do zintensyfikowania współpracy w tej dziedzinie, a osoby odpowiedzialne za infrastrukturę krytyczną – do wymiany doświadczeń i informacji o incydentach. Pojawiają się również kolejne inicjatywy NATO w tej sferze. Nic dziwnego, skoro na szczycie w Warszawie podjęto decyzję o włączeniu działań w cyberprzestrzeni do planowania operacyjnego sojuszu.

KODY PISANE CYRYLICĄ

Istotnym graczem w wykorzystywaniu sieci jako narzędzia do prowadzenia działań hybrydowych jest Federacja Rosyjska, która zaktywizowała się w czasie ostatnich wyborów prezydenckich. Zgodnie z doniesieniami amerykańskiego Federalnego Biura Śledczego (FBI) od września 2016 roku hakerzy afiliowani przy Kremlu mieli przeprowadzać cyberataki na amerykański system wyborczy. Jak poinformowało FBI, uzyskali oni dostęp do bazy

danych osób głoszących w obwodach wyborczych w Illinois i Arizonie. Konsekwencje tej operacji nie były jednak dotkliwe, bo nie naruszono struktury systemów teleinformatycznych. Inaczej wygląda kwestia poufności, bo hakerzy najprawdopodobniej skopiowali części rekordów w bazie systemu.

Od strony technicznej ta operacja nie była skomplikowana. Cyberprzestępcy posłużyli się metodą ataku komputerowego wykorzystującego błąd bądź lukę w zabezpieczeniach aplikacji, powstałych na skutek nieodpowiedniego filtrowania danych użytkownika (tzw. SQL injection). W ostatnich latach używanie tego rodzaju złośliwych kodów stało się jedną z najczęstszych metod atakowania danych.

O ile skradzione dane nie stanowią, według ekspertów, dużej wartości merytorycznej w rękach potencjalnego przeciwnika politycznego (ich wpływu nie da się porównać np. z rewelacjami Edwarda Snowdena), o tyle FBI oceniło operację na osiem w dziesięciopunktowej skali zagrożenia. Prawdopodobnie zostaną również podjęte dodatkowe kroki w celu ukarania sprawców. Rząd amerykański jest bowiem przekonany o tym, że atak przeprowadzili Rosjanie (podobne wnioski płyną również z wszczętego międzynarodowego śledztwa w tej sprawie). W ramach odwetu administracja Baracka Obamy zobligowała się do opracowania dokumentu nakładającego sankcję na Federację Rosyjską.



**AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA
KRAJOWEGO (National Security
Agency – NSA) opracowuje
kody do hakowania systemów
komputerowych państw
wrogich wobec USA.**

Podobny scenariusz działania wobec cyberprzestępców Amerykanie już kiedyś zastosowali – po ataku Koreańczyków na korporację Sony Pictures w grudniu 2014 roku. Wówczas Stany Zjednoczone po raz pierwszy w historii wprowadziły sankcje w odwecie za cyberatak. Są tylko dwa znaki zapytania. Amerykanie nie mają przekonujących dowodów, podobnie zresztą jak po ataku Koreańczyków na Sony. Pod znakiem zapytania stoi także kontynuacja tego procesu ze względu na powiązania nowo wybranego prezydenta z Moskwą.

Nowe światło na sierpniowe i październikowe cyberataki rzuca także incydent, do którego doszło 5 października w jednym z praskich hoteli. Zgodnie z doniesieniami czeskiej policji i Interpolu udało się zatrzymać osobę zamieszana w cyberoperację wymierzona w systemy wyborcze USA. Rosjanina oskarżono o przestępstwa wobec amerykańskiego rządu i w ciągu następnych tygodni zostanie ekstradowany. Po tym incydencie politycy z Kremla zażądali bowiem, by obywatel Federacji został przekazany władzom rosyjskim.

MIĘDZYNARODOWA WSPÓLPRACA

Akcja Rosjan i podobne wydarzenia (w 2015 roku został pojmany szef grupy hakerskiej Cyber-Kalifat) mogą służyć za przyczynek do dalszego rozwijania współpracy międzynarodowej w celu zwalczania cyberprzestępczości. Nie zawsze jednak pozwalają na to kwestie prawne i organizacyjne, w szczególności gdy hakerzy są podejrzewani o działania na rzecz konkretnego rządu.

Nie jest to jednak jedyna przeszkoda. W systemie ochrony cyberprzestrzeni każdego państwa funkcjonują specjalnie utworzone jednostki reagowania na incydenty kompu-

terowe (Computer Security Incident Response Teams – CSIRTs). W Polsce taką rolę odgrywają m.in. Rządowy Zespół Reagowania na Incydenty Komputerowe CERT.GOV.PL, działający przy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, oraz w resorcie obrony system reagowania na incydenty komputerowe. O ile jednak zespoły te wykonują swoją pracę zadowalająco, często zresztą mimo ograniczonych środków, o tyle nie mogą w pełni wykorzystać swojego potencjału w wymiarze międzynarodowym z uwagi na ich położenie prawno-instytucjonalne w systemie bezpieczeństwa państwa. Poza tym część prac rządowych zespołów jest poufna, co utrudnia działania na rzecz wspólnego bezpieczeństwa i współpracy transgranicznej. Istotne są zatem aktywność zespołów działających na zasadach komercyjnych oraz platformy współdziałania, takie jak np. amerykański First. Współpraca w dziedzinie cyberbezpieczeństwa może się rozwinąć dzięki tworzonej od niedawna CSIRTs narodowym, które obejmują wszystkie systemy teleinformatyczne w jurysdykcji państwowej. W Polsce właściwym ruchem będzie zatem rozwijanie m.in. Narodowego Centrum Cyberbezpieczeństwa.

Wygląda na to, że w przyszłości państwa będą przeznaczać coraz więcej środków finansowych na rozbudowę cyberzdolności ofensywnych, zarówno jeśli chodzi o wzmacnianie struktur wojskowych, jak i korzystanie z umiejętności cyberprzestępców. W obu wypadkach konkretne kraje oraz środowisko międzynarodowe muszą być przygotowane na takie wyzwania, także na współpracę. Ważne w tym kontekście będą działania NATO, Unii Europejskiej oraz prace legislacyjne rządów krajowych. ■

KAMIL GAPIŃSKI jest ekspertem ds. cyberbezpieczeństwa Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.



MAGDALENA MIERNICKA

Wirtualne manewry

Na ćwiczeniach „Anakonda” symulowano cyberataki, które miały utrudnić żołnierzom działania na poligonie.

Cyberprzestrzeń została uznana na szczycie NATO w Warszawie za pole walki, ale żołnierze z państw sojuszu już miesiąc wcześniej połączyli ćwiczenia na poligonie z manewrami w sieci. Podczas „Anakondy ’16” po raz pierwszy wojsko nie tylko dbało o funkcjonowanie systemów dowodzenia i tych umożliwiających komunikację, lecz także prowadziło działania operacyjne w sieci, którą stworzono na potrzeby manewrów. Za cyberepizod odpowiadał zespół Polish Mission Network Operations Center, który składał się z przedstawicieli Węgier, Estonii, Łotwy, Stanów Zjednoczonych i Hiszpanii. Pieczę nad całością sprawowali jednak Polacy. Osoby działające w tym centrum łączności przydzielono do zespołów zadaniowych, monitorujących działanie sieci, obserwujących zachowania użytkowników, a także... odpierających ataki.

W manewrach Czerwoni (red team) atakowali, czyli np. wprowadzali do sieci wirusy, które zaburzały działanie zarówno infrastruktury, jak i systemów dowodzenia. Niebiescy (blue team) natomiast bronili się przed taką inwazją. Nad przebiegiem wszystkich działań, tak jak w manewrach poligonowych, czuwał rozjemca, czyli Biali (white team), pełniący funkcję kierownictwa ćwiczeń. To oni opracowywali scenariusze, z którymi ćwiczący musieli się zmierzyć w sieci.

POLSKA GOLA

Czerwoni stosowali w czasie ćwiczeń takie metody socjotechniczne, jakimi posługują się cyberprzestępcy.

Użytkownicy sieci wojskowej dostawali np. e-maile z zainfekowanymi plikami lub gdy wchodzili na konkretną stronę, byli przekierowywani na inną, imitującą tę prawdziwą. Do jednego ze scenariuszy wykorzystano nawet trwające wówczas mistrzostwa Europy w piłce nożnej. „Wysłaliśmy do użytkowników wiadomość z prośbą o wytypowanie wyniku meczu Polska – Irlandia. Każdy, kto próbował udzielić odpowiedzi, aktywował załączonego do komunikatu wirusa”, wyjaśnia płk Mirosław Gruszka, komendant Centrum Wsparcia Systemów Dowodzenia DGRSZ, zastępca szefa zespołu zabezpieczenia teleinformatycznego ćwiczeń „Anakonda ’16”. Podkreślił także, że nikt nie powinien reagować na takie e-maile: „Przecież zgodnie ze scenariuszem manewrów trwała wówczas wojna”. Tajemnicą pozostaje, ilu żołnierzy złapało się w tę pułapkę. „Możemy tylko powiedzieć, że solidarnie typowali zwycięstwo Polski”, żartował zastępca kierownika łącznościowców.

Przedstawiciel Polish Mission Network Operations Center zaznacza także, że używali metod, które pomogły uświadomić żołnierzom, w jakim stopniu błąd każdego z nich wpływa na działanie całego systemu. „Często mówi się, że sieć funkcjonuje dzięki komponentom, z których jest zbudowana. Oczywiście jest to bardzo ważne, ale znacznie więcej zależy od osób, które w niej pracują”, mówi. „Użytkownicy często się zmieniają, a ich wiedza z dziedziny cyberbezpieczeństwa nie zawsze jest wystarczająca. Przy czym należy pamiętać, że

rola konkretnego użytkownika w systemie określa też dostęp do jego zasobów – im jest ona większa, tym więcej jeden człowiek może wyrządzić szkód”, zaznacza.

SIŁA SOJUSZU

Konieczne było utworzenie specjalnej sieci, aby w ogóle te manewry mogły dojść do skutku. I nie była ona zwyczajna, bo kierownictwo zdecydowało, że wojsko nie będzie korzystało ze standardowych rozwiązań. Postanowiono zbudować z zasobów państw biorących udział w manewrach federację, będącą najwyższą formą działania w cyberprze-strzeni (Polish Mission Network – PMN). „Idea sieci federacyjnych jest taka, aby utworzyć je jak najmniejszym nakładem finansowym. Wojska, które by do nas przyjechały, w zwyczajnych warunkach musiałyby działać z wykorzystaniem naszego sprzętu lub mieć własny tożsamy z polskim. Dzięki federacji natomiast każdy używał swoich zasobów, co znacznie zmniejszyło koszty całej operacji”, mówi płk Gruszka.

Zbudowana przez sojusznicy wojska PMN zasięgiem obejmowała cały kraj. Do jej zbudowania użyto fizycznie 283 serwerów (jeden serwer to 38 maszyn wirtualnych) i 3 tys. stacji roboczych. Dzięki temu zapewniono obsługę systemów wykorzystywanych na polu walki oraz umożliwiono dowódcom bieżący wgląd w to, co dzieje się na poligonach. Z sieci federacyjnej korzystali też wszyscy uczestnicy manewrów. Na ich potrzeby utworzono 4,5 tys. kont e-mailowych, wyszukiwarke, komunikator oraz portal, na którym zamieszczano wszystkie dokumenty związane z przebiegiem ćwiczeń.

Podczas budowania sieci federacyjnej żołnierze opierali się na swoich wcześniejszych doświadczeniach, m.in. z Afganistanu. Uczestniczyli tam bowiem w tworzeniu struktur organizacyjnych i sieci teleinformatycznej Afghanistan Mission Network (AMN) oraz sieci White Eagle Network (WEN) na potrzeby sił wydziałanych w ramach polskiego kontyngentu wojskowego. Skala tego przedsięwzięcia była jednak o wiele mniejsza niż w czasie „Anakondy” – wówczas wojska pracowały zaledwie na 30 fizycznych serwerach. „Poza tym w Afganistanie byliśmy tylko częścią federacji, a tu nią dowodziliśmy”, podkreśla komendant centrum. Chociaż PMN musiała sprostać potrzebom 30 tys. żołnierzy, kwestie techniczne nie sprawiały organizatorom proble-

ZE WZGLĘDU NA KLAUZULĘ TAJNOŚCI WYNIKI CYBERNETYCZNEGO EPIZODU „ANAKONDY” SĄ OWIANE TAJEMNICĄ

mów. „Żołnierze z naszego centrum są bardzo dobrze wyszkoleni, bo budują takie sieci od lat. Tym razem, ze względu na liczbę wykorzystanych komponentów, musieliśmy po prostu zaangażować więcej osób do jej obsługi”, tłumaczy pułkownik. Przyznaje także, że najtrudniejsze okazały się... formalności.

KŁOPOTLIWE PROCEDURY

Ponieważ w sieci przetwarzano informacje niejawne, konieczne było zawarcie wielu umów i porozumień. A wszystko dlatego, że poszczególne państwa nie mają tożsamych klauzul bezpieczeństwa.

„U Amerykanów nie istnieje np. klauzula »zastrzeżone«, a NATO posługuje się certyfikatami »NATO restricted«. Wszystko zostało zatem ujednolicone”, wyjaśnia pułkownik. Dodaje, że „ostatecznie na manewrach posługiwano się informacjami niesklasyfikowanymi, czyli jawnymi do użytku służbowego, oraz sklasyfikowanymi, które oznaczały dokumenty niejawne, od klauzuli »zastrzeżone« wzwyż”.

Podczas „Anakondy” pierwszy raz wszyscy użytkownicy pobierali też mapy ze specjalnych geoserwerów, a te zostały ujednolicone i przystosowane do systemów używanych przez żołnierzy. „Dotychczas mapy, z których korzystano na ćwiczeniach, pochodziły z różnych źródeł i nie zawsze były takie same. Teraz na nasze potrzeby specjalnie zmieniliśmy nazwy i granice państw, tylko teren pozostawiliśmy bez zmian”, wyjaśnia płk Gruszka.

Ze względu na klauzulę tajności rezultaty cybernetycznego epizodu „Anakondy” są owiane tajemnicą. „Mamy szczegółowe statystyki z wynikami ćwiczeń, ale nie będziemy ich na razie upubliczniać”, mówi płk Gruszka. Wyjaśnia także, że „Anakonda” to były pierwsze ćwiczenia przeprowadzane na taką skalę, więc analizowanie wyniku nie byłoby miarodajne: „Raport z tych manewrów porównamy z wynikami »Dragona '17«. Dopiero po zestawieniu rezultatów będziemy wiedzieli, na czym stoimy”. Przy czym już samo zbudowanie i utrzymanie wspólnej sieci pułkownik uznaje za sukces: „To pierwsza taka federacja na ścianie wschodniej NATO”, podkreśla. „Poza tym ona cały czas funkcjonuje, a żołnierze korzystają z jej zasobów. Nam pozostaje tylko dalej ją rozwijać”.

ARMIA

/ WOJSKA SPECJALNE

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ŚWIEŻA KREW

Ponad 120 cywilów walczyło o miejsce na kursie Jata w Ośrodku Szkolenia Jednostki Wojskowej Komandosów. Szansę na włożenie munduru specjalsa ma tylko najlepsza trzydziestka.

MICHAŁ ZIELIŃSKI



N

ajpierw krótka rozgrzewka: podskoki, przysiady, kilka pompek i kilkanaście brzuszków. Dwudziestu dziewięciu kandydatów na żołnierzy wojsk specjalnych czeka na sygnał do rozpoczęcia egzaminu. „Dlaczego tu jestem? Bo marzę o służbie z najlepszymi żołnierzami w kraju. Chcę być komandosem”, na chwilę przed rozpoczęciem sprawdzianu mówi Marek. Ma

27 lat, niedawno skończył studia w Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, ale nie myśli o karierze trenerskiej. Podobnie jak jego koleżanki i koledzy, walczy o miejsce na kursie dla przyszłych żołnierzy wojsk specjalnych. W Ośrodku Szkolenia Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu pod koniec października do egzaminu przystąpiło ponad 120 osób. Najlepsza trzydziestka w lutym rozpocznie półroczny kurs służby kandydackiej, przygotowujący do wstąpienia w szeregi specjalsów.

SIÓDME POTY

„Musicie zdjąć wszystkie łańcuszki, wisiorki i bransoletki. Od tej chwili nie wolno wam samodzielnie oddalać się z hali sportowej, bez powiadomienia instruktora. Zaczynamy!”, mówi Krzysztof, instruktor wychowania fizycznego z Jednostki Wojskowej Komandosów. Kandydaci najpierw słuchają krótkiego instruktażu, a później, podzieleni na grupy, przystępują do testów.

Muszą się sprawdzić w trzech konkurencjach: podciąganie na drążku wysokim (kobiety – ugięcia ramion na ławeczce), skłony tułowia w przód, tzw. brzuszki, oraz bieg wahadłowy (kobiety – bieg zygzakiem). „Konkurencje sprawnościowe nie są zaskoczeniem

dla kandydatów. Chętnych informowaliśmy o wymaganiach, a dokładny opis sprawdzianu jest dostępny na naszej stronie internetowej. Za każdą konkurencję można dostać maksymalnie dziesięć punktów”, mówi instruktor z JWK.

Przy pierwszym stanowisku gromadzi się grupa kilkunastu cywilów, którzy mają sprawdzić siłę swoich mięśni brzucha. „Na komendę »gotów« kładziecie się na materacu. Zaczepiacie nogi o drabinki, ręce splecione za głowę, łopatki przylegają do podłoża. Na komendę »ćwicz« podrywacie się do góry i łokciami dotykacie kolan, ale nie wolno odrywać bioder od materaca”, poucza kandydatów instruktor. By zaliczyć konkurencję, trzeba zrobić minimum 60 brzuszków w ciągu dwóch minut. „30, 31, 32...”, głośno liczy instruktor. „To już koniec? Nie zrobisz więcej?”, pyta opadającego z sił mężczyznę.

Kondycji nie wystarczyło m.in. 30-letniemu Michałowi, który jest wykładowcą w Akademii Wychowania Fizycznego. „Zabrakło mi kilku powtórzeń, by zaliczyć brzuszki. Sportem zajmuję się na co dzień, ale wiedziałem, że efekt końcowy egzaminu może nie być dla mnie dobry. W niektórych dyscyplinach jestem mocny, ale tu był potrzebny trening siłowy, na który po prostu zabrakło mi czasu. Podszedłem do egzaminu z marszu i to się na mnie zemściło”, przyznaje. „Mimo że inaczej poukładałem swoje dotychczasowe życie zawodowe, to chciałbym służyć w wojsku. W dzisiejszych czasach zmiana zawodu nie jest problemem. Widzę się w mundurze, dlatego w przyszłości po raz kolejny podejść do kwalifikacji”.

Nie najlepiej radzą sobie kandydaci podczas podciągania na drążku wysokim. Tu jednak nie czas jest ważny, lecz liczba prawidłowo wykonanych powtórzeń. Instruktorzy uznają próbę, jeśli broda ćwiczącego podniesiona jest powyżej drążka, a ręce w stawie łokciowym są

Testy w hali sportowej pozytywnie kończy zaledwie kilkunastu kandydatów. Ich kolejnym zadaniem jest bieg na 3 tys. m (kobiety biegają 1000 m). Dystans ten muszą pokonać w czasie nieprzekraczającym 14 minut. Ostatnim etapem jest sprawdzian pływacki. By go zaliczyć, trzeba przepłynąć 50 m.

OKO W OKO Z KOMISJA

„Kondycja fizyczna kandydatów pozostawia wiele do życzenia”, podsumowuje egzamin mjr Paweł Wronka, komendant ośrodka szkolenia JWK. „Największym problemem jest to, że większość osób na egzamin przychodzi bez przygotowania. Są tacy, którzy tylko raz podciągają się na drążku i liczą, że jakoś to będzie. My jednak nie będziemy nikogo przepychać na siłę. Nie wystarczy patrzeć w komputer i korzystać z superaplikacji, by przygotować się do biegu na 3 km. Trzeba po prostu ćwiczyć! Przez sześć dni oceniliśmy kondycję ponad 120 kandydatów. Ponad 60% z nich nie zdało egzaminów sprawnościowych”, dodaje oficer.

Zaliczenie sprawdzianu z WF-u nie oznacza jednak, że kandydaci dostają zielone światło i mogą się szkolić w Lublińcu. Pozostałe dwa etapy rekrutacji to ocena i analiza świadectw gimnazjalnych (odbywa się bez udziału kandydatów) oraz rozmowa kwalifikacyjna. Na spotkaniu z pięciosobową komisją chętni do służby kandydackiej musieli odpowiadać na pytania dotyczące ich wykształcenia, kwalifikacji zawodowych, motywacji i zainteresowań. Wyjaśniali, dlaczego chcą służyć w wojskach specjalnych. Sprawdzana była także ich podstawowa wiedza historyczna oraz stosunek do postaw prospołecznych i proobronnych.

„O miejsce w ośrodku szkolenia mogą się ubiegać osoby pełnoletnie, niekarane, legitymujące się wykształceniem co najmniej gimnazjalnym. To nie są wygórowane wymagania, więc jeśli ktoś pyta, co trzeba zrobić, by dostać się na szkolenie w Lublińcu, mówię krótko »trzeba po prostu chcieć«,” przyznaje mjr Paweł Wronka. „Zgłosili się do nas ludzie młodzi, urodzeni w latach dziewięćdziesiątych, o wiele rzadziej w osiemdziesiątych ubiegłego wieku. To najczęściej osoby z wyższym wykształceniem, przynajmniej pierwszego stopnia”, opisuje prof. dr hab. Barbara Wiśniewska-Paź, kierownik Zakładu Socjologii Edukacji Instytutu Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego i konsultant lublinieckiego ośrodka. „Podczas rozmowy sprawdzamy, jak wygląda sprawność umysłowa kandydatów, zdolność kojarzenia, sposób wyśławiania się. Takie spotkanie to dobra sposobność, by ocenić ich zbornosć myśli, umiejętnosć koncentracji, a także wiedzę na temat polskich wojsk specjalnych”, dodaje prof. Wiśniewska-Paź.

Komisja kwalifikacyjna weryfikuje także dodatkowe uprawnienia kandydatów, różnego rodzaju certyfikaty ukończonych szkoleń i kursów. Dodatkowe punkty można dostać m.in. za znajomosć języków obcych, honorowe oddawanie krwi, zaangażowanie w działalnosć proobronną lub prospołeczną, posiadanie uprawnień zawodowych, np. informatycznych, medycznych czy prawo jazdy kategorii C+E. „Zgłosili się do nas ludzie, którzy mają uprawnienia do pracy na wysokościach, ratownicy medyczni, wyszkoleni nurkowie, instruktorzy różnych sportów, kandydaci po kursach preselekcyjnych do jednostek specjalnych”, uzupełnia mjr Wronka.

O wynik rozmowy kwalifikacyjnej może być spokojny m.in. Andrzej z okolic Lublińca. „Rozmowa, moim zdaniem, wypadła niezłe. Musiałem powiedzieć, dlaczego chcę służyć w wojskach specjalnych i która jednostka jest mi najbliższa”, opowiada i dodaje. „No, wiadomo, że chcę do komandosów. Jestem z okolic Lublińca, dlatego marzę o służbie właśnie w JWK. To najstarsza polska jednostka specjalna, znana na całym świecie. Kiedyś postawiłem sobie za cel, że dostanę się do specjalsów przed trzydziestymi urodzinami. Skończyłem niedawno 27 lat, a informacja o naborze cywilów pojawiła się w samą porę”, mówi z uśmiechem.

Duże szanse na mundur komandosa ma także 28-latką z Tarnowa. Katarzyna jest nauczycielem akademickim, prowadzi zajęcia z wychowania fizycznego i jest instruktorem pływania. Podczas egzaminów zgarnęła niemal maksymalną liczbę punktów. Jest pewna siebie i stanowcza. Tuż przed wejściem na rozmowę kwalifikacyjną opowiada, że niedawno zdobyła mistrzostwo Polski w pływaniu stylem klasycznym na 200 m. Mundur chciała nosić od dziecka. Początkowo jednak myślała o pracy w straży pożarnej, dziś nie ma już wątpliwości – chce służyć wśród specjalsów. „Moim żywiołem jest woda, więc marzenia o służbie są związane z morską jednostką specjalną. Myślę, że w Formozie czułabym się najlepiej”, mówi.

Ostateczne wyniki rekrutacji będą znane pod koniec roku. Kandydaci, którzy pomyślnie przeszli przez sito komisji kwalifikacyjnej, będą teraz za pośrednictwem WКУ kierowani przed komisje lekarskie i do pracowni psychologicznych. „Na podstawie ocen z egzaminów oraz uzyskanych wyników badań stworzymy listę rankingową i wyłonimy najlepszą trzydziestkę”, zapowiada mjr Wronka.

UCHYLONE DRZWI

Jata – tak będzie się nazywać półroczny kurs w Lublińcu dla cywilów. Początkowo mówiło się o kursie commando, ale dowództwo JWK zmieniło koncepcję nazwy. Podczas nauki kandydaci na specjalsów będą mieć status służby kandydackiej i zostaną skoszarowani na te-



„NA KOMENDĘ »ĆWICZ« PODRYWACIE SIĘ DO GÓRY I ŁOKCIAMI DOTYKACIE KOLAN, ALE NIE WOLNO ODRYWAĆ BIODER OD MATERACA”, POUCZA KANDYDATÓW INSTRUKTOR

MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

PIERWSZE KROKI

Ośrodek szkolenia w JWK powstał w 2015 roku i jeszcze do niedawna prowadził szkolenia na potrzeby wewnętrzne lublinskiej jednostki. Odbywały się w nim m.in. kursy adaptacyjne działań specjalnych, czyli wyrównujące poziom umiejętności osób powołanych do służby w JWK z wojsk lądowych, sił powietrznych, a także z instytucji podległych MSWiA.

renie jednostki. Po około czterech tygodniach cywile złożą przysięgę wojskową. „Szkolenie będą prowadzić kadra ośrodka oraz instruktorzy Jednostki Wojskowej Komandosów. Kurs został podzielony na trzy etapy. Składa się z części adaptacyjnej, szkolenia podstawowego oraz specjalistycznego typowego dla wojsk specjalnych, a każdy etap kończy się egzaminem”, tłumaczy komendant ośrodka. W czasie zajęć kursanci będą wyposażeni w sprzęt używany przez komandosów (np. karabinek HK416, pistolet HK USP), wezmą też udział w szkoleniu na poligonie. „Nasi elewi będą umundurowani zgodnie z zasadami służby kandydackiej, czyli w mundury i berety wojsk lądowych. Na włożenie multicamów i ciemnozielonych beretów będą musieli sobie zasłużyć”, dodaje mjr Wronka.

Oficer wyjaśnia, że rozpoczęcie kursu nie oznacza, iż wszyscy jego uczestnicy zostaną komandosami. Na każdym etapie nauki umiejętności kandydatów będą weryfikowane. Osoby, które odpadną w trakcie nauki lub nie zdadzą egzaminów końcowych, zostaną zwolnione do rezerwy. Ci natomiast, którzy ukończą szkolenie, zostaną powołani do służby w wojskach specjalnych (o przydziałach do konkretnej jednostki zadecyduje inspektor wojsk specjalnych). Żołnierze po kursie będą służyć na stanowiskach zabezpieczających. Dopiero po kilku latach służby, ukończeniu selekcji oraz kursu bazowego będą mogli ubiegać się o przyjęcie na stanowiska operatorów w zespołach bojowych.

O potrzebie stworzenia placówki, w której odbywałoby się szkolenie specjalsów, mówiono niemal od początku istnienia wojsk specjalnych jako odrębnego rodzaju sił zbrojnych. Na początku 2013 roku w Jednostce Wojskowej Komandosów powstała koncepcja ośrodka szkolenia, którą później dopracowano w ówczesnym Dowództwie Wojsk Specjalnych. Prace nad szkołą komandosów zbiegły się z inspekcją Najwyższej Izby Kontroli, którą w wojskach specjalnych przeprowadzono w marcu 2013 roku. Mimo pozytywnej oceny inspektorzy NIK-u w swoim raporcie sugerowali modyfikacje systemu naboru do specjalsów, tak aby do służby mogli aplikować także cywile.

Opinia publiczna o koncepcji utworzenia ośrodka szkolenia, który przygotowywałby cywilów do służby we wszystkich jednostkach wojsk specjalnych, usłyszała w 2014 roku. Wiadomość o uchyleniu drzwi do specjalnostek zelektryzowała mnóstwo osób. Wojskowe komendy uzupełnień, Jednostka Wojskowa Komandosów, a nawet redakcja „Polski Zbrojnej” zostały zasypane listami z pytaniami w sprawie naboru. Kandydaci chcieli przede wszystkim się dowiedzieć, kiedy rozpoczną się egzaminy. Szczegóły naboru miały być ujęte w decyzji szefa resortu obrony narodowej.

Ostatecznie drogę cywilom do Lublińca otworzył minister Antoni Macierewicz. Wiosną 2016 roku wydał decyzję o naborze kandydatów na żołnierzy zawodowych w wojskach specjalnych. „Przygotowując się na współczesne wyzwania, musimy mieć dobrze wyselekcjonowane, wyszkolone i wyposażone kadry. Z pewnością rozszerzenie naboru o kandydatów bezpośrednio z cywila nas wzmocni”, mówił w kwietniu tego roku płk Wiesław Kukuła, ówczesny dowódca JWK.

Komendant ośrodka szkolenia w Lublińcu przyznaje, że z nadzieją czeka na rozpoczęcie pionierskiego kursu. „Mamy pozytywne nastawienie, bo jesteśmy pewni, że przygotujemy dobrych żołnierzy. Wojska specjalne potrzebują świeżej krwi”, kwituje. ■

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA

Na chwilę przed startem każdy z uczestników selekcji do Agatu ma wypisaną na twarzy pewność siebie. Powtarzają jak mantrę, że dadzą radę, że przyszli tu, by zostać żołnierzami jednostki specjalnej. Już kilka minut po starcie tej pewności jest coraz mniej.

Dwa razy w roku odbywa się w Bieszczadach selekcja do gliwickiej Jednostki Wojskowej Agat. To pięciodniowy sprawdzian, który muszą zaliczyć wszyscy chętni do służby w zespole bojowym specjednostki. O egzaminie w górach krążą legendy i choć nie wszystkie są prawdziwe, to jedno jest pewne: selekcję przechodzą tylko najlepsi.

Tym razem w Bieszczadach stawiło się 19 mężczyzn. To służący w innych jednostkach żołnierze, rezerwiści, policjanci, strażnicy, pogranicznicy i żołnierze NSR-u. Żeby dostać się na selekcję, wszyscy wcześniej musieli zaliczyć kwalifikacje w jednostce. Podczas tego pierwszego sprawdzianu w Gliwicach trzeba było wykazać się sprawnością fizyczną, porozmawiać z psychologiem i stanąć przed komisją kwalifikacyjną.

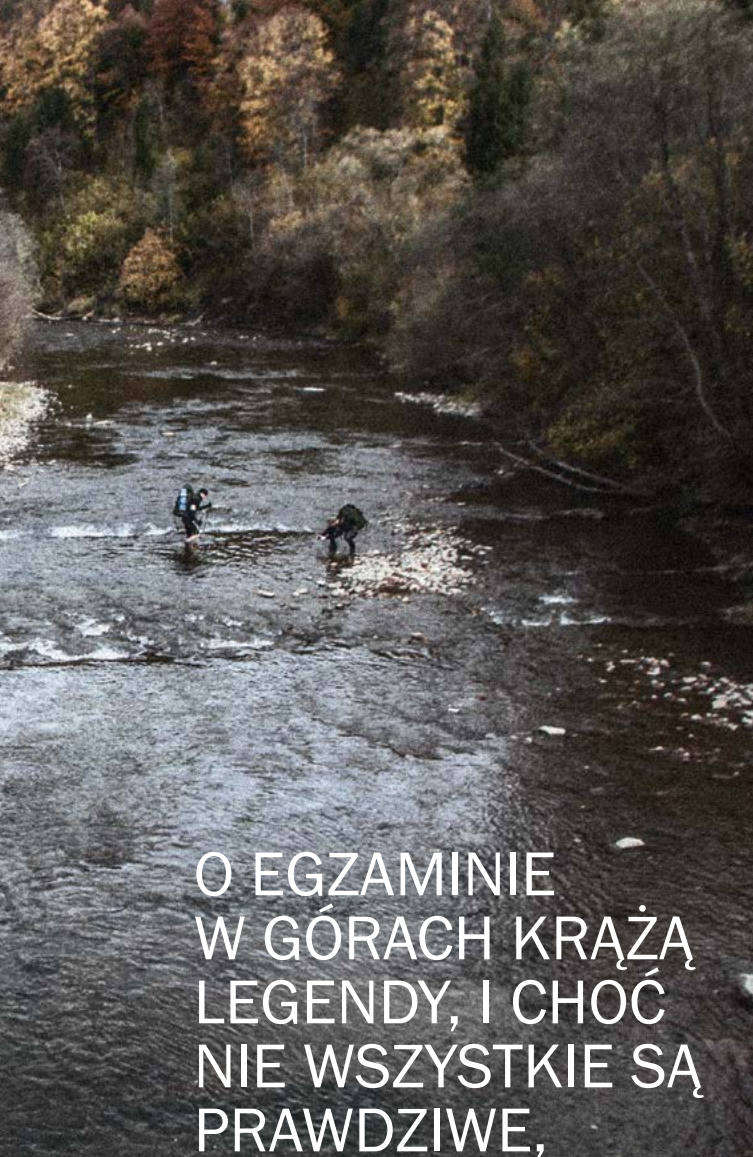
Gdy kandydaci na specjalsów pojawiają się w Bieszczadach, humory im dopisują. Są pewni swoich umiejętności i kondycji. Rezon zaczynają jednak tracić już na pierwszej zbiórce. Instruktorzy pozbawiają ich imienia i nazwiska oraz stopnia. W zamian każdy z uczestników dostaje opaskę z numerem, którą przez pięć dni musi no-



sić na ramieniu. Podczas selekcji nikt bowiem nie zwróci się do nich inaczej, jak „piątka”, „czternastka” czy „dwójka”. Zgubienie opaski z numerem oznacza dla kandydatów koniec selekcji, więc pilnują jej jak oka w głowie. „Dlaczego nadajemy im numery? Oczywiście wiemy, kim są, jakie stanowiska zajmują, gdzie służą. Ale tu, w Bieszczadach, obchodzi nas zupełnie co innego: czy są zmotywowani, czy potrafią być liderami, czy są koleżeńscy i jak sobie radzą podczas morderczego wysiłku fizycznego i psychicznego? A czy są szeregowymi, czy kapitanami... to dla nas nieistotne”, mówi „Zachar”, szef Grupy Szkolenia Bazowego jednostki Agat oraz kierownik selekcji.

REGULAMIN RZECZ ŚWIĘTA

W górach najważniejsi są instruktorzy. To oni dają kandydatom zadania do wykonania, oceniają, wyłapują błędy i bacznie obserwują każdy krok. Mają wieloletnie doświadczenie w służbie, od lat pracują z rekrutami do jednostki, sami też przechodzili selekcję. Wiedzą, kiedy mogą podnosić poprzeczkę, a kiedy powinni odpuścić.



O EGZAMINIE W GÓRACH KRAŻĄ LEGENDY, I CHOĆ NIE WSZYSTKIE SĄ PRAWDZIWE, TO JEDNO JEST PEWNE: SELEKCJĘ PRZECHODZĄ TYLKO NAJLEPSI

„Instruktorzy nie są potworami, którzy znęcają się nad ludźmi. Owszem podczas selekcji nie sprawiają wrażenia kumpli kandydatów, ale też nie chodzi tu o to, by się zaprzyjaźnić, ale by sprawdzić, kto się na przyjaciela nadaje”, przyznaje Maciek, instruktor i zastępca kierownika selekcji.

Pierwszym zadaniem jest sprawdzenie ekwipunku kandydatów. Podzieleni na trzy grupy rekruci pod kierunkiem swoich instruktorów stają na zbiórce na jednej z górskich ścieżek. Na rozkaz muszą rozpakować plecaki. Instruktorzy sprawdzają, czy ekwipunek jest zgodny z regulaminem selekcji. Co mogli zabrać kandydaci na specjalsów? Pośród rzeczy obowiązkowych



NAJLEPSZE WZORCE

Program dzisiejszej selekcji opiera się na pomysłach twórcy i pierwszego dowódcy jednostki Agat ptk. Sławomira Berdychowskiego (oficer zmarł w lutym tego roku), który miał ogromne doświadczenie w tej dziedzinie, bo wcześniej współtworzył podobne programy selekcyjne dla jednostki GROM. Wzorował się także na elitarnych specjaldnostkach: amerykańskiej Delta Force i brytyjskiej Special Air Service.

MICHAŁ NIWICZ (2)

są m.in. dwie butelki wody, dwie kurtki, dwie pary butów, ołówek, ekierka, kompas. „Kandydaci muszą mieć wszystko, co jest wymienione w regulaminie i ani jednej rzeczy więcej”, wyjaśnia „Zachar”. Dodaje również, że kategorycznie jest zabronione zabieranie GPS-u, suplementów diety, odżywek, batoników energetycznych, dodatkowej wody i posiłków. Podczas sprawdzania plecaków okazuje się, że „dwunastka” ma tylko jedną butelkę wody. By ciężar plecaka się zgadzał, instruktor daje kandydatowi kamień. Ma go nosić w plecaku do końca górskiego testu.

Na zbiórce są sprawdzane nie tylko plecaki, lecz także ubranie każdego z chłopaków. Rozbierają się do bielizny, nie ma więc szans, że przemycą coś w skarpetkach czy kieszeniach spodni. Podobną weryfikację przejdą jeszcze kilkanaście razy podczas selekcji. „Zdarzały się sytuacje, że kandydaci przyjeżdżali w Bieszczady wcześniej i zakopywali na trasie zabronione przez regulamin rzeczy. To nie ma najmniejszego sensu, bo o wszystkim prędzej czy później się dowiemy”, mówi „Zachar”. Rzeczywiście dokładnie przeszukują rzeczy uczestników selekcji: →

zaglądają nawet do pudełek z plastrami na odciski. Skąd ta nadgorliwość? Podobno kilka lat temu jeden z kandydatów na żołnierza Agatu schował suplementy diety w rolkę papieru toaletowego.

MASZ WĄTPLIWOŚĆ? ZREZYGNUJ!

Jest zimno. Po zachodzie słońca temperatura spada do 4°C, a uczucie zimna potęguje przeszywający wiatr. Kandydaci na specjalsów ponownie stają na zbiórce. Z pełnym wyposażeniem, plecakami ważącymi ponad 25 kg, uważnie słuchają rozkazów. Mają biec górskim szlakiem przez 15 km. Nie są przerażeni ani dystansem, ani warunkami atmosferycznymi. Instruktorzy zapewniają nas, że to dopiero rozgrzewka. 15 km to niewielki dystans, ale wystarczy, by zaobserwować zachowanie kandydatów. Dwóch wyraźnie odstaje od reszty, biegną wolniej niż pozostali. „Zauważyliśmy, że cała grupa zaczęła zwalniać, może pomyśleli, że wszystkich nie wyrzucimy z selekcji po dwóch godzinach? Spryt podczas sprawdzianu jest ważny, ale cwaniaków wyłapujemy szybko”, mówi „Zachar”. Wszyscy dostają karę – na początek kilkadziesiąt pompek.

Tuż o świcie, po nocy spędzonej w lesie, instruktorzy na powitanie pytają: „Czy ktoś chce zrezygnować? Czy komuś marzy się ciepłe łóżko?”. Ponieważ nikt nie zgłasza chęci powrotu do domu, wszyscy dostają nowe zadanie. Kiedy instruktorzy rozdają kandydatom wojskowe mapy, na twarzach niektórych osób pojawiają się wątpliwości. Za pomocą kompasu i ekierki muszą wskazać na mapie konkretne punkty. Większość wykonuje to zadanie dobrze, ale kilku mężczyzn ma spory problem. Przyznają się, że nigdy nie pracowali z wojskowymi mapami i nie korzystali z kompasu. Instruktorzy nie kryją zaskoczenia, ale przeprowadzają krótkie szkolenie na ten temat. W górach poradzą sobie ci, którzy szybko się uczą. Pozostali... odpadną. Umiejętność poruszania się w terenie za pomocą kompasu i mapy jest niezbędna. „Wystarczyło zajrzeć do internetu, poczytać, by wiedzieć, że to istotny punkt selekcji. Zresztą nie bez powodu kazaliśmy im zabrać mapniki i kompas”, dziwi się „Zachar”. „Nie radzą sobie z kompasem, bo to ludzie z ery GPS-u”, dodaje „Bodzio”, kolejny z instruktorów.

Trzydziestopięciokilometrowy marsz na azymut to dla instruktorów kolejna okazja do obserwacji kandydatów. Uczestnicy selekcji mogą bowiem sami zdecydować, którądy dotrą do celu. To ich sprawa, czy pójdą dłuższą trasą, ale po wyznaczonych szlakach, czy zdecydują się na wędrowkę na przełaj, po bieszczadzkich bezdrożach. Nad dyscypliną grupy bez przerwy czuwa instruktor. Kandydatom nie wolno ze sobą rozmawiać ani zbyt wolno maszerować.



Tu nie mają imienia i nazwiska oraz stopnia. Dostają opaskę z numerem.



Kandydaci na komandosów za pomocą kompasu i ekierki muszą wskazać na mapie konkretne punkty.

Po kilkunastu kilometrach słabnie motywacja. Odpada dwóch pierwszych kandydatów. „Nie ma się co oszukiwać, zawałiłem. Byłem za słabo przygotowany fizycznie, od początku nie dawałem rady. Potem nie doszedłem na czas do umówionego miejsca”, przyznaje Paweł, żołnierz Narodowych Sił Rezerwowych. Jest pierwszym kandydatem, który do domu wraca przed czasem. Dwie godziny później poddaje się kolejny z uczestników. To Michał, policjant ze Śląska. Przyznaje, że zabrakło mu motywacji. Już pierwszej nocy, kiedy było mu zimno, pomyślał, że służba w wojskach specjalnych nie jest dla niego. „Uświadomiłem sobie, że nie mam do tego przekonania. To wymagająca praca, pełna wyjazdów, szkoleń, kursów i misji. A ja wolę być z rodziną”, przyznaje. Ściąga z ramienia swój numer startowy. „Wracam na postereunek policji”, kwituje.

Instruktorzy wyjaśniają, skąd te słabości: w górach pracuje przede wszystkim głowa, a nie mięśnie. Bo chociaż kondycja fizyczna jest bardzo ważna, to jeśli kandydatom zabraknie motywacji, nie przetrwają pięciu dni ekstremalnego wysiłku. Potwierdza to także psycholog, która nieustannie przygląda się kandydatom. „Gdy uczestnicy są skrajnie wyczerpani, lepiej widać ich pozytywne i negatywne cechy. Łatwo możemy sprawdzić, czy są odpowiedzialni, koleżeńscy, czy potrafią pracować w grupie, jak radzą sobie z emocjami, a także to, jakich wyborów dokonują i co jest dla nich najważniejsze”, mó-



**TUŻ PRZED
PÓLNOCĄ DOSTAJĄ
OSTATNIE ZADANIE.**

W CIEMNOŚCI, ROZŚWIETLAJĄC MROK JEDYNNIE LATARKAMI CZOŁO- WYMI, MAJĄ PRZEBIEC 40 KM PO GÓRSKICH SZLAKACH

wi psycholog i dodaje: „Podczas selekcji moim zadaniem jest sprawdzenie, czy to, czego dowiedzieliśmy się na kwalifikacjach w jednostce, jest prawdą. Czy to, co o sobie mówili, potwierdzi się w trudnych warunkach”.

MARATON ZOMBIE

Kolejne zadanie postawione przed uczestnikami selekcji to marsz na azymut. Tym razem kandydaci działają indywidualnie, mogą polegać wyłącznie na sobie. Na przejście 60 km w górach mają zaledwie dziesięć godzin. Niektórzy się gubią, inni tracą numer startowy i od razu odpadają z selekcji. Na trasie kandydaci spotykają

instruktorów, którzy podają im współrzędne kolejnych punktów. Ale ten długi i wyczerpujący marsz jest tylko rozgrzewką przed czymś ekstremalnie trudnym...

Późnym wieczorem instruktorzy przyjeżdżają do miejsca, w którym śpią kandydaci na żołnierzy wojsk specjalnych. Niektórzy z nich mają za sobą tylko godzinę snu, ponieważ późno dotarli do mety. Instruktorzy włączają syreny i stroboskopowe światła. Pobudka! Kandydaci ledwo trzymają się na nogach, są jak zombie, nie myślą i niektóre czynności wykonują automatycznie. Muszą składać swoje rzeczy i uprzątnąć obozowisko. Jeden z nich nie może poradzić sobie ze złożeniem namiotu. Wpada w złość, przestaje się kontrolować. „Stań prosto i policz do dziesięciu”, mówi instruktor. „Jeden, dwa, trzy, cztery...”, posłusznie liczy kandydat. Po „dziesiątce” uspokoja się, składa namiot i biegnie na zbiórkę.

Nie ma taryfy ulgowej. „Jeżeli myśleli, że teraz będzie łatwiej, dlatego że są zmęczeni, że opadają z sił – to się pomylili”, komentuje Maciek, zastępca kierownika selekcji. Instruktorzy po raz kolejny sprawdzają plecaki i ubrania żołnierzy. Zbyt wolne wykonywanie poleceń znowu jest karane pompkami. Jeden z rekordzistów zrobił ich około 150 w ciągu godziny!

Tuż przed północą otrzymują ostatnie zadanie. W ciemności, rozświetlając mrok jedynie latarkami czołowymi, mają przebiec 40 km po górskich szlakach. Niektórzy mają na to dziesięć godzin, inni niespełna osiem. →



MICHAŁ NIWICZ

PRZEPIS NA ZWYCIĘSTWO

INSTRUKTORZY RADZĄ, JAK PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO SELEKCJI.

Niektórzy chcą wstąpić do wojsk specjalnych z nastawieniem »jakoś to będzie«. Przestrzegam przed takim podejściem do sprawy. Do selekcji trzeba się przygotować”, mówią instruktorzy JW Agat. Ale na początku warto zadać sobie pytanie: „Czy wojska specjalne są dla mnie?”. Ten rodzaj służby jest bardzo wymagający. Poświęca się jej dużo czasu i energii. Instruktorzy przyznają, że aby się dobrze przygotować do selekcji, treningi fizyczne trzeba rozpocząć co najmniej sześć miesięcy przed sprawdzianem. „Najlepiej sprawdzają się marszobiegł na 10–20 km z obciążeniem, czyli plecakiem ważącym około 20 kg lub większym. Do tego wszystkie ćwiczenia wydolnościowe, np. pompki czy podciąganie na drążku, ale już nieko-

niecznie siłownia”, radzą. Trzeba pamiętać, że selekcja odbywa się w górach. Niewiele więc pomoże bieganie po parku w Warszawie. Trzeba pojechać w Bieszczady, żeby poznać teren, w którym odbędzie się sprawdzian. Podczas takich wypraw warto sprawdzić sprzęt, którym dysponujemy. Od butów, przez kurtkę, aż po namiot i plecak. Warto zabrać ze sobą kompas, uczyć się maszerować na azy-mut, zrezygnować z GPS-u. Instruktorzy, którzy wspominają, jak sami przygotowawali się do selekcji, dzielą się też własnymi patentami: „Trzeba sobie utrudnić codzienne czynności. Zrezygnowałem z jazdy do pracy samochodem. Chodziłem z plecakiem wypełnionym kamieniami. Zrezygnowałem z windy. Na ósme piętro

wchodziłem z żoną na plecach”, śmieje się Sebastian, najmłodszy w gronie instruktorów.

Czy w przygotowaniach liczą się pieniądze? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Oczywiście da się przejść selekcję bez większych inwestycji finansowych, ale nowszy sprzęt, droższe materiały zapewniają komfort. Kosztują też wyjazdy w góry. „Polecam skupić się na dobrym śpiworze, dobrej karimacie i ostonie przed deszczem – zapewniają one komfort snu. To ważne, bo kandydaci śpią kilka godzin na dobie albo wcale. Warto też wspomnieć o butach. Nie zabierajcie na selekcję nowych butów! Pochodźcie w nich kilka miesięcy!”, dodaje instruktor. ■

„To kara za słaby wynik podczas poprzedniego zadania”, komentuje instruktor.

Rano na uczestników selekcji czeka „Zachar”. Najszybszy z kandydatów górską trasę pokonał w niespełna sześć godzin! Instruktorzy nie kryją uznania dla najlepszych. „Zaimponowali mi. Są silni indywidualnie i dobrze pracowali w grupie. Pomimo ogromnego wysiłku i zmęczenia, wykonali to ostatnie zadanie na sto procent”, ocenia „Zachar”. „Na uznanie zasługuje szczególnie dwóch chłopaków, którzy do maratonu podeszli bez chwili odpoczynku. Nie wyrobili się z czasem w trakcie poprzedniego zadania i jeśli chcieli ukończyć selekcję, musieli bez przerwy biec dalej. Na pokonanie 42 km mieli nie więcej niż osiem godzin. I zrobili to!”, dodaje.

Na metę wbiegają kolejni szczęśliwcy, którzy zaliczyli selekcję. Jest ich 13. Wyglądają jak zombie. Mijają „Zachara”, nie zauważając, że przekroczyli linię mety.

„Stój, chłopie! Już koniec! Gratulujemy, przeszedłeś selekcję!”, zawraca go kierownik. Ale on nie może rozmawiać – prawie przewraca się ze zmęczenia. Gdy maratończycy odzyskują oddech, pytamy, czy są z siebie dumni. „Dumni, nie. Jesteśmy cholernie szczęśliwi, że w ogóle daliśmy radę”, mówi Kuba, jeden z 13 kandydatów, którym udało się zakończyć selekcję z sukcesem. Zwycięstwa i otwartej drogi do Agatu gratuluje im płk Sławomir Drumowicz, dowódca jednostki. „Witajcie w jednostce. Pamiętajcie o naszym motto: Siła i ogień! Po nas tylko zgłiszczą!”, mówi dowódca do swych przyszłych żołnierzy. Szczęśliwa trzynastka już niedługo rozpocznie służbę w Agacie. Zanim zostaną pełnoprawnymi operatorami, muszą jeszcze zaliczyć półroczny kurs bazowy. Później trafią do zespołów bojowych, a w przyszłości może sami będą egzaminować kolejnych rekrutów, którzy marzą o służbie w specjednostce. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Jedna drużyna

Wymiana batalionów wojsk lądowych to najlepszy przykład wojskowej współpracy Polski i Niemiec.

Generał dywizji Jarosław Mika wspomina, że gdy był dowódcą Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Stargardzie Szczecińskim, na czas ćwiczeń jej elementem był 610 Batalion Łączności z Prenzlau. „Współpracowało się nam znakomicie”, zapewnia. Nie inaczej jest w Żaganiu, gdzie generał dowodzi Czarną Dywizją, utrzymującą wojskowe kontakty z 1 Dywizją Pancerną Bundeswehry. Ppłk Arkadiusz Stachowiak, szef Wydziału Współpracy Cywilno-Wojskowej, opowiada o początkach kontaktów polsko-niemieckich: „Nawiązaliśmy je w 1992 roku w czasie działań przygranicznych, a dwa lata później podpisaliśmy porozumienie o współpracy. Początkowo były to wizyty, w czasie których obserwowaliśmy, jak ćwiczą żołnierze”. Pierwsze wspólne ćwiczenia, „Pancerne skrzydła”, odbyły się w 1995 roku. Od tego czasu żołnierze obu krajów wielokrotnie uczestniczyli wspólnie w manewrach, i to nie tylko dowódczo-sztabowych, bo wielokrotnie na poligonach „walczyły” bataliony i brygady.

Z roku na rok współpraca polskich i niemieckich pancerniaków była coraz intensywniejsza, ale bardziej rozwinęła się na początku obecnego wieku, kiedy w 2002 roku 10 Brygada Kawalerii Pancernej dostała pierwsze niemieckie leopardy. Ponad dekadę później kolejna partia czołgów trafiła do 34 Brygady z Żagania i dziś pancerniacy z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej mają około 250 czołgów Leopard 2A4 i 2A5. Gen. Olivier Kohl, dowódca 41 Brygady Grenadierów Pancernych, zwraca jednak uwagę, że w 2014 roku współpraca z Polską osiągnęła wyższy poziom nie tylko z powodu leopardów. Impulsem do jej rozwoju były inicjatywy zgłoszone na szczycie NATO w Walii, a później wiele dwustronnych

spotkań ministrów obrony Polski i Niemiec. W październiku 2014 roku szefowie resortów obrony obu krajów podpisali list intencyjny w sprawie rozszerzenia kontaktów wojskowych. Ursula von der Leyen nazwała ten dokument kamieniem milowym w umacnianiu współpracy sił lądowych.

Rok później, we wrześniu 2015 roku, inspektorzy wojsk lądowych Polski i Niemiec, gen. dyw. Janusz Bronowicz oraz gen. broni Jörg Vollmer, uzgodnili, że polski batalion pancerny z 34 Brygady Kawalerii Pancernej z Żagania zostanie operacyjnie podporządkowany niemieckiej 41 Brygadzie Grenadierów Pancernych, z kolei 411 Batalion z 41 Brygady Grenadierów Pancernych – 34 Brygadzie. „To nowa jakość w naszym współdziałaniu. Współpraca z Polską jako naszym najbliższym i ważnym sąsiadem jest istotna politycznie, pomaga nam także w przewyżczeniu obciążeń przeszłości”, podkreśla gen. Olivier Kohl.

Oszacowano wówczas, że wzajemne podporządkowanie obu batalionów potrwa pięć, sześć lat. Wzorem miała być francusko-niemiecka brygada, którą powołali w 1987 roku prezydent François Mitterrand i kanclerz Helmut Kohl. Ma ona jednak nieco inny charakter, bo

KRZYSZTOF GONERA / 10 B K P A N C





Generał dywizji Jarosław Mika i generał Olivier Kohl na poligonie w Żaganii

składa się z dwóch narodowych komponentów ze wspólnym dowództwem. Tymczasem podporządkowanie polskiego i niemieckiego batalionu bardziej przypomina współpracę Berlina z Amsterdamem (dywizji Bundeswehry jest podporządkowana holenderska brygada).

NA JEDNYM POLIGONIE

W połowie września 2016 roku do Żaganii przyjechało kilkuset niemieckich żołnierzy. W ćwiczeniach „German Detachment” wzięła udział 3 Kompania Zmechanizowana 401 Batalionu Zmechanizowanego, a ze strony polskiej uczestniczyli w nich żołnierze 10 Batalionu Zmechanizowanego Dragonów i 1 Batalionu Czołgów z 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Wspólnie wykonywali zadania ogniowe i taktyczne oraz związane z przemieszczaniem i rozmieszczaniem wojsk. Mieli do dyspozycji m.in. czołgi Leopard 2, BWP-1, wozy Marder, sprzęt artyleryjski, bezałogowe samoloty, sprzęt inżynierski oraz łącznościowy. Jako element „German Detachment” pod koniec października odbyły się tygodniowe manewry taktyczno-ogniowe „Borsuk '16” (więcej na ten temat na str. 47–49). Także wówczas pododdziały 11 Dywizji Kawalerii Pancernej współpracowały z niemieckimi sojusznikami. „Najważniejszym celem ćwiczeń było sprawdzenie stopnia przygotowania pododdziałów do wykonywania zadań zgodnie z wojennym przeznaczeniem”, wyjaśnia gen. dyw. Jarosław Mika. Połączonymi siłami dowodził gen. bryg. Maciej Jabłoński, dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej (rozmowa z generałem na str. 44–46). Na czas manewrów taktycznych niemiecka kompania zmechanizowana trafiła pod polskie dowództwo.

DOWODZI POLAK

Ppłk Jan Tilmann, dowódca 401 Batalionu Zmechanizowanego Bundeswehry, na pytanie, jak się czuje, gdy żołnierzom jego kompanii rozkazy wydaje polski generał, odpowiada krótko: „Jestem z tego dumny, podobnie jak z naszej współpracy”. Podpułkownik zwraca uwagę, że 41 Brygada Grenadierów Pancernych jest od dawna

zaangażowana w kilka wielonarodowych przedsięwzięć, m.in. w Kosowie czy w Afganistanie jej żołnierze służyli pod międzynarodowym dowództwem. „Dwunarodowe manewry uważam za lepszą formę szkolenia niż te, na których działamy sami. Pozwalają one na wymianę doświadczeń oraz umożliwiają wspólne przećwiczenie procedur obowiązujących w strukturach natowskich. Chodzi także o to, by się lepiej wzajemnie poznać i współpracować na polu walki”, mówi ppłk Tilmann i opowiada o przeprowadzonym właśnie wspólnym ataku, w czasie którego Polacy i Niemcy musieli się nie tylko porozumiewać po angielsku, lecz także wypracować własny system znaków. „Współpraca z polskimi partnerami zawsze układa się bardzo dobrze i wyraźnie wyróżnia pod względem jakości”, podkreśla. Mjr Artur Pinkowski, szef sekcji prasowej Czarnej Dywizji, dodaje, że podczas „German Detachment” po raz pierwszy pod polskie dowództwo trafiła niemiecka kompania.

Gen. Mika zwraca uwagę na to, że w osiągnięciu zdolności kolektywnej obrony kluczowe jest współdziałanie na szczeblu mniejszych jednostek, czyli plutonu i kompanii, a nie tylko dużych związków taktycznych, takich jak brygady czy dywizje. Co więcej, zdobyte doświadczenia mogą zostać przekazane innym jednostkom sił zbrojnych obu krajów. W 2020 roku Polska zostanie tzw. państwem ramowym szpicu NATO, co oznacza, że nasi sztabowcy będą nią dowodzili, ale w jej skład wejdą żołnierze z kilku krajów. Niewykluczone, że będą to także niemieccy grenadierzy pod polskim dowództwem. „Współpraca na różnych poziomach oraz związana z nią wymiana doświadczeń są zatem nieocenione”, podkreśla mjr Joachim Samse, oficer prasowy 41 Brygady Grenadierów Pancernych.

Niemieccy żołnierze spędzili w Polsce kilkanaście tygodni – przyjechali we wrześniu, a wyjeżdżają w połowie grudnia. Pierwszy etap szkolenia 10 Brygady Kawalerii Pancernej z pododdziałem 401 Batalionu trwał do końca października. W listopadzie 34 Brygada Kawalerii Pancernej oraz 17 Wielkopolska Brygada Zme-



Niemieccy żołnierze ćwiczyli na poligonie w Żaganii pod polskim dowództwem

KRZYSZTOF GONERA /
10 BK PANC (3)

SZEROKA WSPÓŁPRACA

**WOJSKO POLSKIE I BUNDESWEHRA DZIAŁAJĄ RAZEM
W WIELONARODOWYM KORPUSIE PÓŁNOCNO-WSCHODNIM.**

Obie armie utrzymywały kontyngenty w Afganistanie i brały udział w operacji „Active Endeavour” na Morzu Śródziemnym. Polacy studiują w Akademii Dowodzenia Bundeswehry, a Niemcy w naszej Akademii Sztuki Wojennej. Roczne plany polsko-niemieckiej współpracy obejmują ponad 200 wspólnych przedsięwzięć, takich jak ćwiczenia wojskowe, szkolenia oficerów oraz kontakty firm branży obronnej z obu państw.

W największych w 2016 roku ćwiczeniach NATO we wschodniej Europie „Anakonda '16”, które w czerwcu odbyły się

w Polsce, wzięło udział około 400 żołnierzy niemieckich. Wraz z Amerykanami zbudowali przeprawę na Wiśle na wysokości Torunia dla pojazdów opancerzonych. Wiosną polscy i niemieccy żołnierze ćwiczyli na Litwie działanie w jednym zgrupowaniu dowodzonym przez polskich oficerów.

Jesienią 2015 roku 350 żołnierzy wojsk pancernych z Polski i Niemiec wzięło udział w ćwiczeniach wsparcia bojowego na poligonie w Orzyszu. Trenowali strzelanie i działania taktyczne w polu. W „Panzer Detachment” uczestniczyło ponad 130 żołnierzy zza Odry, przede

wszystkim z kompanii czołgów 203 Batalionu Pancernego 21 Brygady Pancernej stacjonującej w Augustdorf. Razem z nimi przyjechali żołnierze z niemieckich plutonów zmechanizowanego i remontowego oraz grup saperskiej, medycznej i żandarmerii. Niemieccy żołnierze przywieźli do Orzysza 14 czołgów Leopard 2A6 oraz 13 transporterów opancerzonych Marder. Stronę polską reprezentował batalion czołgów 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Polskie siły dysponowały 20 czołgami T-72 M1. ■

chanizowana razem z żołnierzami z kolejnego batalionu zmechanizowanego niemieckiej Brygady Grenadierów Pancernych wzięli udział w ćwiczeniach „Serwal '16”, przeprowadzonych także z układem pozamilitarnym. „Dla żagańskiej brygady były to pierwsze od siedmiu lat manewry zrealizowane z tak dużym rozmachem, zarówno w wymiarze taktycznym, jak i współpracy międzynarodowej, oraz zaangażowaniem terenowych organów administracji państwowej”, mówi mjr Artur Pinkowski. Partnerska 41 Brygada Grenadierów Pancernych z Niemiec wydzieliła do udziału w ćwiczeniach pododdziały zmechanizowane, inżynieryjne oraz sekcje bezpiloto-

wych środków rozpoznawczych z 411 Batalionu Zmechanizowanego.

Łącznie w jesiennych manewrach na poligonie w Żaganii uczestniczyły rotacyjnie trzy bataliony zmechanizowane z niemieckiej 41 Brygady Grenadierów Pancernych oraz trzy brygady Czarnej Dywizji. „Myślmy już o kolejnych ćwiczeniach, na których będzie także polsko-niemieckie kierownictwo”, zdradza gen. Mika. Dowódca Czarnej Dywizji nie ma wątpliwości, że wspólne działanie buduje zaufanie oraz wiarę w umiejętności polskich i niemieckich żołnierzy. Na początku jeden patrzy na drugiego nieco z boku. Potem podziały nikną, polsko-niemiecki team staje się jedną drużyną. ■

DUSZA WOJOWNIKA

Z Maciejem Jabłońskim
o przygotowaniach do dyżuru w szpicie NATO,
modernizacji leopardów
i odzyskiwaniu przez 10 Brygadę Kawalerii
Pancernej statusu najlepiej
uzbrojonej jednostki pancерnej w armii
rozmawia Bogusław Politowski.



Zołnierze 10 Brygady Kawalerii Pancernej ostatnio byli zaangażowani w wiele ważnych ćwiczeń krajowych i międzynarodowych. Czy był to najtrudniejszy rok w jej historii?

Ze względu na specyfikę naszej jednostki każdy rok jest dla nas intensywny. Przyznam jednak, że ten był wyjątkowy, wzięwszy pod uwagę liczbę zaangażowanych w ćwiczenia ludzi. Często w wielodniowych manewrach brały udział wszystkie nasze pododdziały razem z rozwiniętymi w pełni stanowiskami dowodzenia.

Największe znaczenie miała zapewne „Anakonda ’16”?

Były to bardzo ważne i ciekawe ćwiczenia, w czasie których wiele się nauczyliśmy. Dowodziłem wówczas blisko 5 tys. żołnierzy z kilku krajów. Pod moimi rozkazami były m.in. ciężki batalion amerykański z Abramsami, lekkie bataliony piechoty z Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Miałem też do dyspozycji lotnictwo wojsk lądowych i sił powietrznych. Po raz pierwszy korzystaliśmy również ze wsparcia kompanii złożonej z członków organizacji proobronnych. Dobra ocena brygady nie wynika jednak tylko z tego jednego doświadczenia. W mijającym roku sprawdzaliśmy się także na międzynarodowych ćwiczeniach tak zwanej szpicy NATO „Brilliant Jump ’16”. Nie mniej istotne i wymagające dużego zaangażowania były też „Puma ’16”, „Bóbr ’16” czy „Borsuk ’16”. Nasi żołnierze brali także udział w kilku ćwiczeniach poza granicami kraju.

Do tego chyba należy dodać sporo zajęć z pododdziałami wojsk sojuszniczych na poligonie w pobliżu Świątoszowa...

Kilka dni temu zakończyliśmy cykl zajęć taktycznych i ogniowych, w których nasze

Wkrótce będziemy mieli najnowocześniejsze czołgi w armii

pododdziały szkoliły się wspólnie z żołnierzami niemieckiego 401 Batalionu Zmechanizowanego 41 Brygady Grenadierów Pancernych. A wcześniej przez ponad miesiąc szkoliliśmy się razem z amerykańskimi czołgistami.

Takie doświadczenia są cenne dla batalionu zmechanizowanego brygady, który od 1 stycznia 2017 roku rozpocznie dyżur w siłach NATO.

Po raz pierwszy w siłach natiwmiastowego reagowania NATO [Very High Readiness Joint Task Force – VJTF], czyli w tak zwanej szpicy, będzie dyżurował tak duży polski pododdział. Batalion zmechanizowany 10 Brygady Kawalerii Pancernej, wsparty kompanią zmotoryzowaną z rosomakami z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej oraz plutonem saperów, zostanie włączony w skład 20 Brytyjskiej Brygady Pancerno-Zmechanizowanej zwanej „The Iron Fist”. Całością sił będzie dowodził brytyjski gen. Ian Mortimer. Zgrywanie pododdziałów odbywało się prawie przez rok na poligonach krajowych oraz na terenie Niemiec. Jeden z elementów przygotowań do dyżuru, czyli sojusznicze ćwiczenia taktyczne z wojskami „Venerable Gauntlet”, zakończyła międzynarodowa certyfikacja na poligonie w okolicach Augustdorfu, w której udział wzięła grupa operacyjna stanowiska dowodzenia naszego batalionu. Nie chcę, by zabrzmiało to nieskromnie, ale zapewniam, że batalion jest bardzo dobrze przygotowany do zadań, które mogą go czekać podczas dyżuru. I nie jest to tylko moja ocena, lecz także dowódcy brytyjskiego, któremu zostanie podporządkowany wydzielony batalion.

Czyżby w tym roku 10 Brygada Kawalerii Pancernej wiodła prym w 11 Dywizji. Jeszcze niedawno najwięcej mówiło się o 17 Brygadzie z Międzyrzecza? →





ARCH. 10 BKPANC

Oczywiście my, dowódcy jednostek, zawsze w pewien sposób rywalizowaliśmy między sobą, tak jest teraz i pewnie będzie zawsze. Takie są dusze wojowników. Wynika to chociażby z tego, że ja jestem czołgistą, a dowódca 17 Brygady żołnierzem wojsk zmechanizowanych, a jak wiadomo, od lat istnieje rywalizacja między tymi rodzajami wojsk. Na poważnie natomiast, to nie moją rolą jest ocenianie, która jednostka w dywizji jest lepsza czy ważniejsza.

W tej beczce miodu jest jednak łyżka dziegciu. W październiku 2015 roku na poligonie w jednym z leopardów wybuchła amunicja.

Tak, to smutna karta z historii naszej brygady. Byliśmy wstrząśnięci tym zdarzeniem. Postępowanie prokuratorskie w tej sprawie zostało umorzone ze względu na brak przesłanek mogących przesądzić o winie którejkolwiek z osób funkcyjnych zaangażowanych w prowadzone tego dnia szkolenia. Szczegółowo przeanalizowaliśmy przebieg zdarzeń oraz treści dokonanych przez różne instytucje specjalistycznych ekspertyz. Efektem tych działań jest wdrożenie znowelizowanych procedur obchodzenia się ze 120-milimetrową amunicją do czołgów Leopard.

Jeszcze niedawno byliście najlepiej uzbrojoną jednostką pancerną w kraju. Straciliście palmę pierwszeństwa na rzecz 34 Brygady, wyposażonej w czołgi Leopard 2A5. Co z modernizacją waszych wozów?

Modernizacja się rozpoczęła. Leopardy drugiego batalionu zostały już przekazane do Zakładów Mechanicznych Bumar-Łabędy. Gdy do nas wrócą, znów będziemy mieli najnowocześniejsze czołgi w armii.

Modernizacji zostaną poddane podwozia, wieże i uzbrojenie. Czy po powrocie do służby będą lepsze od „A piątek”?

Bez wdawania się w szczegóły, mogę zdradzić, że będzie to wersja 2A5 Plus, czyli wozy o wyższym potencjale niż te, które niedawno dostała 34 Brygada.

Świętoszów to duży garnizon. Czy planuje się w nim inwestycje w infrastrukturę?

Cały czas staramy się unowocześniać nie tylko infrastrukturę socjalno-bytową, lecz także bazę szkoleniową i zaplecze techniczne, tak by były dostosowane do nowoczesnego sprzętu. Zaawansowana jest już m.in. budowa no-

My, dowódcy jednostek, zawsze w pewien sposób rywalizowaliśmy między sobą. Takie są dusze wojowników

wego centrum symulatorów. Istniejący ośrodek szkoleniowy Leopard zostanie przystosowany do efektywnego szkolenia załóg czołgów Leopard 2A5 i 2 pl. Zgodnie z planem modernizacji sił zbrojnych czekamy na wymianę uzbrojenia w dywizjonie artylerii na nowoczesne 155-milimetrowe samobieżne armatohaubice Krab i przygotowujemy odpowiednią infrastrukturę.

Jakie zadania czekają 10 Brygadę w najbliższym czasie?

Niezwykle istotne będzie osiągnięcie gotowości bojowej batalionu dyżurującego w szpicie NATO. Wiem też, że dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych w koncepcji

ćwiczeń „Dragon '17” zaplanował udział 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Co prawda pierwszoplanowym uczestnikiem będzie 12 Dywizja, ale my także będziemy mieli do odegrania bardzo ważną rolę. Ciekawe będą także międzynarodowe ćwiczenia „Vital Sword '17”, które odbędą się na terenie Niemiec. Rok temu w działaniach 1 Dywizji Pancernej Bundeswehry uczestniczyła tylko grupa operacyjna mojego stanowiska dowodzenia, w przyszłym roku nasz udział będzie znacznie większy, bo rozwinie my całe stanowisko dowodzenia z pełną obsadą operacyjną.

Przed wywiadem mówiono mi, bym się spieszył, bo wkrótce mogą nie zastać Pana w Świętoszowie. I istotnie wiemy już, że zmienia Pan stanowisko. Czy praca za biurkiem dla tak doświadczonego liniowca może być satysfakcjonująca?

Los podarował mi możliwość wykonywania zadań służbowych na przemian – raz na stanowiskach dowódców pododdziałów czołgów w 1 Warszawskiej Brygadzie Pancernej, później w dowództwie szczebla operacyjnego, następnie w Afganistanie oraz finalnie jako dowódca brygady pancernej. Daje mi to możliwość budowania swojego doświadczenia i w miarę kompletnego wyobrażenia o kształcie sił zbrojnych. Awans na szefa Zarządu Planowania P 3/7 to kolejne wyzwanie, tym razem związane z wykonywaniem zadań na szczeblu strategicznym, z czego się bardzo cieszę. ■

Gen. bryg. MACIEJ JABŁOŃSKI jest szefem Zarządu Planowania P 3/7 Sztabu Generalnego WP. Od 1 lipca 2014 roku do końca listopada 2016 roku był dowódcą 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

CZTERY DNI WOJNY

**Dla 11 Lubuskiej Dywizji
Kawalerii Pancernej ćwiczenia
„Borsuk '16” były
sprawdzianem, czy jest dobrze
przygotowana do obrony
granic kraju.**

Zacina jesienny deszcz. Kierowcy honkera z trudem udaje się utrzymać pojazd w koleinach wyrzeźbionych przez czołgi i transportery. Samochód dojeżdża do skraju lasu. Wartownik, który wyłonił się nagle z posterunku zbudowanego z worków z piaskiem, zamaskowanego siatką i gałęziami, zatrzymuje go zdecydowanym ruchem ręki. Przepustka rzeczniczki prasowej nie otwiera „bramy do lasu”. Dopiero krótka wymiana zdań przez radiostację z oficerem dyżurnym sprawia, że można wejść na teren polowego stanowiska dowodzenia 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

PIERWSZY DZIEŃ

Sosnowy las tylko z daleka wydaje się uśpiony. Uważny obserwator, gdy wejdzie głębiej, może dostrzec pod koronami drzew ukryte częściowo w ziemi i dobrze zamaskowane wozy sztabowego taboru. W oddali słychać warkot agregatów prądotwórczych. Pomiedzy drzewami poruszają się wartownicy.

W tym lesie obowiązuje bezwzględny zakaz robienia zdjęć i filmowania. Na nic zdają się argumenty, że to przecież tylko manewry, że podczas setek innych takie obwarowania nie istniały. Rzeczniczka kpt. Adriana Wołyńska jest nieugięta. Tego, że zmieniają się dawne przyzwyczajenia, a ćwiczenia coraz bardziej upodabniają się do prawdziwego pola walki, można było się domyślić już w samochodzie. Pierwszy raz wieziono mnie w honkerze, którego wnętrze było całkowicie zaciemnione...

Do „sztabówki” dowódcy brygady gen. bryg. Macieja Jabłońskiego wchodzi się z poziomu gruntu. Dolna część ciężarówki ukryta jest w głębokim wykopie. Gospodarz już na początku oznajmia, że czasu ma niewiele. „Rozpoczęła się właśnie dynamiczna część ćwiczeń »Cztery dni wojny«, podczas których nasza brygada, jako odwód dowódcy 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, ma do realizacji najważniejsze zadania”, wyjaśnia.

Ćwiczenia „Borsuk '16” rozpoczęły się trzy dni wcześniej. Z koszar ulokowanych w kilku garnizonach wyjechało w pole ponad 2 tys. żołnierzy i ponad pół tysiąca przeróżnych pojazdów, począwszy od wielotonowych leopardów 2A4, bojowych wozów piechoty i wyrzutni pocisków rakietowych Langusta, na wozach osobowo-terenowych i lekkich pojazdach logistycznych skończywszy.

Niektórzy mieszkańcy wiosek z okolic poligonu zauważyli, że pojawił się także jakiś nieznaną sprzęt. Były to gąsienicowe transportery opancerzone Marder z 401 Batalionu Zmechanizowanego Bundeswehry. W ćwiczeniach wzięło bowiem udział ponad pół tysiąca żołnierzy armii naszych zachodnich sąsiadów.

Pierwsze dni były dosyć statyczne, co wcale nie znaczy, że mało ważne. Jak pokazała historia konfliktów zbrojnych, etap uruchomienia ciężkiego sprzętu zazwyczaj poprzedzają różnego rodzaju działania nazwane po konflikcie na Krymie wojną hybrydową. Pancerniacy ze Świętoszowa tuż po rozpoczęciu ćwiczeń musieli więc zająć się łagodzeniem nastrojów społecznych zaangażowanych przez →

ekstremistów, przeciwdziałać przenikaniu na zajmowane tereny grup dywersyjnych, walczyć z terrorystami dokonującymi aktów sabotażu, napaści na ważne obiekty infrastruktury i użyteczności publicznej. Wszystkie akcje odbywały się we współpracy ze strażą pożarną, policją i władzami regionu.

Jednocześnie, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, przygotowywali się do powstrzymania sił przeciwnika, które, jak donosił wywiad, szykują się do przekroczenia granicy i zaatakowania kraju.

NA LINII OBRONY

Kilkanaście kilometrów od stanowiska dowodzenia brygady kompania czołgów kpt. Roberta Szombierskiego o świcie zajęła stanowiska obronne. Ponad poziomem obwałowania widać tylko lufy 120-milimetrowych armat groźnych leopardów 2A4. Na skrzydle pancerniaków wyckuje w obronie niemiecka kompania zmechanizowana. Druga flankę też jest bezpieczna. Brygadowy Oddział Zaporowy, za pomocą transporterów minowania narzutowego Kroton, postawił tam przeciwpancerne pole minowe. Na tym odcinku mobilność oddziałów przeciwnika zostanie więc znacznie ograniczona.

Dla niewyspanych żołnierzy, którzy już trzy doby spędzają w polu, takie czekanie jest denerwujące. Nie ma jednak mowy o drzemce. Kilkadziesiąt urządzeń obserwacyjnych bezustannie przeczesuje skraj lasu. Stamtąd nadejdzie przeciwnik. W myśl starej wojskowej zasady: kto pierwszy zauważy wroga i wystrzeli, ma szansę przetrwać. Kto nie wykaże się refleksem, zginie w boju.

Kapitan jest spokojny o swoją lewą flankę. Co prawda z Niemcami szkoli się po raz pierwszy, ale w rejonie ześrodkowania współpraca układała im się całkiem dobrze.

„Ich procedury dowodzenia są bardzo zbliżone do naszych. Żołnierzy cechuje duży profesjonalizm i zaangażowanie. Co ważne, większość z nich zna angielski i zasady pracy w sieci radiowej. Z komunikacją nie ma więc najmniejszych problemów”, tłumaczył w czasie nocnej przerwy w boju kpt. Szombierski.

I nagle zaczęła się walka. Nieprzyjaciół przykrył linię obrony nawałą ogniową artylerii. Pod jej osłoną na skraj lasu wyszło kilka czołgów przeciwnika. Ukryci pod pancernymi agresorzy uważnie rozpoznawali teren, który mieli za chwilę pokonać. Z wozów płynęły meldunki do dowództwa. Gdzieś daleko na stanowiskach dowodzenia sztabowcy uaktualniali sytuację na mapach. Tworzyli plan błyskawicznego natarcia.

Na stanowisku dowodzenia „Borsuka '16” wszystkie zachowania były skrupulatnie odnotowywane. Kierownik ćwiczeń gen. dyw. Jarosław Mika, dowódca 11 Dywizji, nie byłby w stanie osobiście kontrolować poczyną

ĆWICZENIA CORAZ BARDZIEJ UPODABIAJĄ SIĘ DO PRAWDZIWEGO POLA WALKI

Nawała ogniowa, którą zgotowali przeciwnikowi żołnierze 23 Pułku Artylerii z Bolesławca.

ADRIANA WOŁYŃSKA / NATALIA WAWRZYŃIAK (3) / KRZYSZTOF GONERA / 10 BKPanc





W szkoleniu wzięło udział ponad pół tysiąca żołnierzy armii naszych zachodnich sąsiadów

wszystkich pododdziałów, gdyby nie grupa jego wysłanników w terenie. Rozjemcy niczym sędziowie obserwowali każdy epizod. Oceniali działania poszczególnych dowódców. Analizowali poprawność reakcji na zmieniającą się sytuację, przestrzeganie procedur, sprawność obiegu informacji na polu walki.

„Dbamy, aby w terenie scenariusz ćwiczeń był właściwie realizowany. Naszym obowiązkiem jest także pilnowanie, żeby każdy epizod był rozgrywany w sposób bezpieczny. W przypadku jakiegoś zagrożenia rozjemca ma prawo wstrzymać wykonywanie zadań i konieczne jest wówczas naprawienie uchybień zagrażających zdrowiu i życiu ćwiczących”, wyjaśnia ppłk Rafał Miernik, szef zespołu działań taktycznych i ogniowych.

ZWYCIĘSKA WALKA

Po kilku godzinach przeciwnik ruszył do natarcia. Około południa rozpoczął się bój. Przeważające siły pancerne i zmechanizowane zmusiły pododdziały 10 Brygady do wycofania. Kompania czołgów kpt. Szombierskiego oraz pododdział niemiecki, aby uniknąć poważnych strat, musiały przepłynąć przez rzekę.

W poczynaniach wycofujących się kompanii nie było chaosu. Wszystkie manewry były przemyślane i miały na celu opóźnianie działań przeciwnika.

Po sforsowaniu rzeki i kilkukilometrowym marszu polscy i niemieccy żołnierze mieli czas na wypoczynek i odtworzenie potencjału bojowego. Ich rolę w obronie przejęły inne kompanie batalionu zmechanizowanego. Nowa linia obrony była znacznie mocniejsza od poprzedniej. Siły przeciwnika zostały zatrzymane. Nieco później zmuszono je do wycofania się. W decydującej fazie działań taktycznych – w kontrataku polskie pododdziały ponownie wspierali żołnierze z Niemiec.

Kontrnatarcie poprzedziła nawała ogniowa, którą zgotowali przeciwnikowi żołnierze 23 Pułku Artylerii z Boleśławca. Ich wyrzutnie rakietowe Langusta zasypały siły przeciwnika gradem pocisków 122-milimetrowych rakiet. Wsparcia nacierającym udzielili lotnicy sił powietrznych oraz piloci śmigłowców lotnictwa wojsk lądowych.

Po części taktycznej, zgodnie z zasadami szkolenia, przyszła pora na część ogniową. Odbyło się kierowanie ogniem kompanii zmechanizowanej. Właściwie strzelała grupa bojowa, bowiem pluton zmechanizowany w BWP został wsparty plutonem zmotoryzowanym 17 Brygady w rosomakach. Jednocześnie ogień prowadzili zmechanizowani z Niemiec. Test ogniowy przeszła także kompania czołgów kpt. Szombierskiego. Załogi leopardów strzelały w obronie w nocy i w natarciu w dzień. Zdaniem dowódcy pododdziału był to najtrudniejszy egzamin podczas ćwiczeń. ■



MISJE BLISKIE I DALEKIE

Z Krzysztofem Zdonkiem

o najtrudniejszej misji „Czernickiego” i wyposażeniu marynarki wojennej rozmawia Łukasz Zalesiński.

Panie Komandorze, nowy rok za pasem. Będzie gorąco?

W naszej flotyli każdy rok jest intensywny, ale ten najbliższy rzeczywiście zapowiada się wyjątkowo.

Część waszych marynarzy wyruszy na południe. Będą działać na styku Europy, Afryki

i Azji. Obecnie to jeden z najbardziej zapalnych rejonów świata...

Rzeczywiście. Wkrótce nasz okręt ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki” wyruszy pełnić misję na morzach Śródziemnym, Egejskim i Czarnym. Zyska status Polskiego Kontyngentu Wojskowego i stanie się jednostką dowodzenia Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwni-

Przed nami na pewno bardzo pracowity rok. Doświadczenie naszych ludzi sprawia jednak, że czekamy na niego z optymizmem

ARCH. 8 FOW

nowej NATO – SNMCMG2. Nasi marynarze znają tamte akweny. Wielu z nich służyło na pokładzie „Czernickiego” podczas misji „Active Endeavour” w 2011 roku. Była ona wymierzona w terrorystów, miała zapobiec przemytowi broni i ludzi do Europy. Od tego czasu sytuacja w tamtym rejonie świata znacznie się jednak skomplikowała. Wybuchła wojna w Syrii, do Europy ruszyła fala uchodźców, nastąpiła aneksja Krymu przez Rosję, której wojskowa aktywność wzrosła. Dlatego też musimy być gotowi na problemy związane nie tylko z obroną przeciwminową.

Jak w ogóle doszło do tego, że ORP „Czernicki” zostanie wysłany na południe Europy? Do tej pory podobne zadania wykonywał raczej w północnej części kontynentu...

To prawda. „Czernicki” dwukrotnie był okrętem flagowym natowskiego zespołu przeciwminowego, tyle że oznaczonego numerem jeden. Strzegł bezpieczeństwa szlaków żeglugowych, brał udział w operacjach bojowych i ćwiczeniach na Bałtyku, Morzu Północnym oraz w północnej części Oceanu Atlantyckiego aż po Islandię. Spisał się doskonale. Postanowiliśmy pójść za ciosem. Inspektorat Marynarki Wojennej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych zwrócił się do MARCOM, czyli Dowództwa Sojuszniczych Sił Morskich NATO w Northwood pod Londynem, z propozycją włączenia naszego okrętu do drugiego z zespołów. Pomysł został przyjęty z dużym zainteresowaniem i zaakceptowany. W ten sposób nasi marynarze będą mogli sprawdzić swoje umiejętności na innych niż zazwyczaj akwenach, w jednym z najbardziej zapalnych rejonów na świecie, polska marynarka zaś po raz kolejny dowiedzie, że jest gotowa współdziałać z sojusznikami w każdym zakątku świata. To ważne, bo przecież nasze interesy nie kończą się na Bałtyku i obronie Wybrzeża.

Przygotowania do misji się kończą. Jak przebiegały?

Przede wszystkim należało skompletować załogę i sztab, który będzie kierował zespołem właśnie z pokładu „Czernickiego”. Na jego czele stanie oficer z 12 Dywizjonu Trałowców, kmdr por. Aleksander Urbanowicz. Jego kandydaturę zaakceptowali dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych oraz dowództwo w Northwood. On sam musiał przejść szereg praktyk, kursów i szkoleń. Odbwały się one choćby na pokładzie greckiego HS „Aliakmon”, który obecnie jest okrętem flagowym SNMCMG2 [Standing NATO Mine Countermeasures Group Two]. Oficerowie tworzący sztab szkolili się też w ośrodku MOST oraz →

w szkole wojny minowej EGUERMIN, które mieszczą się w Belgii. To jedno z najlepszych na świecie placówek przygotowujących do wojny minowej. Z kolei ORP „Czernicki” ze względu na misję spędził na morzu łącznie niemal sto dni. W pierwszej połowie listopada pomyślnie przeszedł certyfikację.

A jakich przygotowań wymagał sam okręt? Mam na myśli modernizację, remonty...

Niewielkich. Od początku tego roku ORP „Czernicki” pełni dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO. Musi być gotowy, by w każdej chwili wyjść z portu i skierować się w rejon ewentualnego kryzysu. Z myślą o SNMCMG2 przyspieszyliśmy jedynie niektóre przeglądy związane z systemami łączności, dowodzenia czy komorą dekompresyjną. Gdybyśmy nie zrobili ich teraz, zgodnie z kalendarzem musielibyśmy zająć się nimi podczas pobytu okrętu na morzach Śródziemnym lub Czarnym. Trzeba by tam wysłać specjalistów, a to oznaczałoby dodatkowe koszty. Chcemy tego uniknąć.

Jak duży będzie polski kontyngent?

W jego skład wejdzie 70 osób. Wszyscy na co dzień służą w polskiej marynarce wojennej. Przez pewien czas był rozważany pomysł dołączenia do nich pododdziału wojsk specjalnych, by dodatkowo ochraniał okręt. Takie rozwiązanie zastosowano choćby podczas zakończonej niedawno misji fregaty ORP „Gen. T. Kościuszko” w zespole SNMCMG2. W tej sprawie rozmawiałem nawet z inspektorem wojsk specjalnych, ostatecznie jednak zdecydowaliśmy się na inne rozwiązanie. „Czernicki” będzie operował w zespole, w którego składzie znajdują się przecież różnego rodzaju formacje. Nie ma potrzeby angażowania dodatkowych sił narodowych.

Kiedy więc okręt wejdzie do zespołu?

Z macierzystego portu wyruszy na początku stycznia przyszłego roku, tak by od 17 stycznia operować na Morzu Śródziemnym, polscy oficerowie zaś obejmą dowodzenie SNMCMG2. Misja potrwa około pół roku.

ORP „Czernicki” to jedna z wizytówek 8 Floty, okręt stosunkowo młody i nowoczesny. W przypadku pozostałych jednostek nie jest już chyba tak dobrze?

Wiele z naszych okrętów ma już swoje lata, ale ich metryki mogą okazać się mylące

Zacznijmy od tego, że jednym z głównych zadań floty jest szeroko rozumiana wojna minowa. W przypadku okrętów przeznaczonych do tego typu zadań mniej ważny jest wiek, znacznie bardziej liczy się wyposażenie. A pod tym względem naprawdę nie wypadamy najgorzej. Spójrzmy choćby na 12 Dywizjon Trałowców. Najstarsze służące w nim jednostki weszły do linii przeszło 30 lat temu, wszystkie są jednak konsekwentnie modernizowane. Otrzymały nowe stacje hydrolokacyjne, które stały się podstawowym narzędziem poszukiwania min i pozwoliły zwiększyć efektywność jednostek. Wcześniej załogi korzystały przede wszystkim z trałów kontaktowych i niekontaktowych. Trałowce zostały wyposażone w nowoczesne systemy nawigacyjne i nowe radary. Ostatnio rozpoczęliśmy wymianę starych radzieckich silników na nowe.

Spore zmiany przechodzą również okręty transportowo-minowe typu Lublin. Zmodernizowaliśmy w nich rampy dziobowe. Miały wadę konstrukcyjną, która utrudniała działalność okrętu przy złej pogodzie. Zdarzało się, że podczas dużej fali rampy otwierały się jak puszki. Teraz to już nie do pomyslenia. Sam transport jest jednak stosunkowo prostą sprawą, nie wymaga bardzo nowoczesnych rozwiązań. Co innego druga z funkcji lublinów, czyli stawianie min. I dlatego one także otrzymały nowoczesne systemy nawigacyjne, które określają z dużą precyzją, gdzie okręt się znajduje i gdzie powinien minę postawić. Tutaj też dużo zmieniło się na lepsze.

Podsumowując, powiem tak: wiele z naszych okrętów ma już swoje lata, ale ich metryki mogą okazać się mylące. Ostatnio na przykład niszczy-

ciel min ORP „Flaming” świętował pół wieku pod polską banderą. Ale gdybyśmy próbowali znaleźć w jego konstrukcji i wyposażeniu elementów 50-letnich, być może trafilibyśmy na kilka wręg, trochę blach, a możliwe nawet, że nie. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że w takim wieku jest jedynie dzwon okrętowy.

Oczywiście nie oznacza to, że nie czekamy na nowe jednostki. W przypadku naszych niszczycieli min już sama sylwetka wskazuje, że należy je wymienić.

I proces ten niebawem powinien się rozpocząć. Wkrótce do służby wejdzie ORP „Kormoran”...

Marynarka powinna go przejąć do końca roku. Wówczas rozpocznie się cykl szkoleń dla załogi. Oczywiście przygotowanie marynarzy, którzy będą na nim służyli, już trwa, ale część rzeczy można zrobić dopiero wówczas, kiedy na okręcie zostaną zainstalowane i zintegrowane wszystkie przewidziane w projekcie systemy. Zrobimy wszystko, by nowy niszczyciel min wszedł do służby w pierwszej połowie przyszłego roku.

Ja sam jestem naprawdę dumny z faktu, że będziemy mieli taki okręt. Przez dwa lata byłem szefem Zarządu Uzbrojenia w Inspektoracie Marynarki Wojennej i zostałem wprowadzony w szczegóły związane z konstrukcją i możliwościami „Kormorana”. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, naprawdę będziemy mieli jeden z najnowocześniejszych okrętów tej klasy na świecie. Miejmy nadzieję, że do służby wejdą trzy tego typu okręty, i że 8 Flotyła zyska bardzo porządną grupę jednostek.

Nowy niszczyciel min zastąpi ORP „Mewa”?

Tak. Podobnie zamierzamy postąpić z kolejnymi niszczycielami min: nowe będą wchodziły do służby w miejsce starszych. Choć trzeba zaznaczyć, że etat dla załogi ORP „Kormoran” mamy niezależnie od ORP „Mewa”. Załogi pozostałych okrętów, które pozyskamy, będziemy kompletować spośród marynarzy z wycofywanych jednostek.

Co jeszcze oprócz nowych niszczycieli min?

Projekty modernizacyjne śledzimy z uwagą, ale jesteśmy realistami. Po pierwsze więc, „Czapla”, czyli program zakładający budowę okrętów patrolowych z funkcją zwalczania min. Byłoby świetnie, gdyby został zrealizowany, choć oczywiście można dyskutować, czy w dotychczas proponowanej formie. Jesteśmy skłonni zgodzić się, by okręt nie był aż tak duży, choć rozumiem intencje pomysłodawców. Proponowany rozmiar miałby zwiększyć możliwości modernizacji okrętów. Innymi słowy: w razie potrzeby, można by dokładać do niego kolejne systemy.

Ważny jest dla nas program „Supply”, który wiąże się z budową nowoczesnego zbiornikowca. Kiedy okręty typu

Kormoran będą realizowały misje z dala od macierzystej bazy, z pewnością przyda im się wsparcie nowoczesnej jednostki, która dostarczy na ich pokład zapasy paliwa, wody, czy amunicji.

Jako że wywodzę się z brygady okrętów desantowych, bardzo interesuje mnie również program „Marlin”, związany z budową jednostki wsparcia działań połączonych. Byłaby ona przeznaczona do transportu oddziałów desantowych oraz barek i śmigłowców, z których one korzystają. Myślę jednak, że do lobbowania za tym projektem marynarka potrzebowałaby wsparcia wojsk lądowych i specjalnych. Moim zdaniem, Polskę na niego stać. Jednostki tego typu ma wiele państw podobnej wielkości, choćby Wielka Brytania, Francja, Włochy czy Hiszpania.

Wróćmy zatem do tu i teraz. Jaki był dla dowodzonej przez Pana flotyli mijający właśnie rok?

Bardzo dobry. Uplłynął pod znakiem „Anakondy”, ale też „Wargacza”, którym podsumowaliśmy rok szkoleniowy. Drugie z tych ćwiczeń, tak jak w ubiegłym roku, były realizowane równoległe z „Ostrobokiem” i „Kormoranem”, czyli analogicznymi przedsięwzięciami 3 Flotyli Okrętów i Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej. Niektóre epizody przeprowadziliśmy wspólnie. Współdziałaliśmy też z 1 Skrzydłem Lotnictwa Taktycznego i 16 Dywizją Zmechanizowaną z Elbląga. Nowym elementem był załadunek jej sprzętu na nasze okręty. Z powodu złej pogody nie udało się wprowadzić tego przeciwnic, ale co ważne, przeprowadziliśmy cały proces planowania, przygotowaliśmy i, kilka tygodni wcześniej, odbyliśmy praktyczny trening na poligonie pod Ustką. Oczywiście na tym nie koniec. Zgodnie ze scenariuszem na przykład w Świnoujściu zlikwidowano przeprawy promowe, a transportu podjęły się załogi naszych kutrów. Z kolei 8 Batalion Saperów walczył ze skażeniem chemicznym, które powstało po zniszczeniu przez dywersantów zbiornika z amoniakiem. Doszło do tego na terenie portu.

Co ważne, scenariusz dla poszczególnych dowódców pozostawał niewiadomą. Sami musieli dojść do tego, co mają robić, jak zareagować na poszczególne sytuacje. W najbliższym czasie takich wyzwań będzie jeszcze więcej. Rozpoczęły się już przygotowania do przyszłorocznych ćwiczeń „Dragon ’17”, w których wezmą udział różne rodzaje wojsk, a także nasi zagraniczni sojusznicy. Nigdy wcześniej nie były one organizowane z takim rozmachem.

Tak więc czeka nas na pewno bardzo pracowity rok. Doświadczenie naszych ludzi sprawia jednak, że czekamy na niego z optymizmem. ■

Kmdr KRZYSZTOF ZDONEK jest dowódcą 8 Flotyli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu.

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJcie O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RZYSTACH, PRZECIWI-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.



IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

Wojskowy rytm

Gdziekolwiek się pojawią, zawsze wzbudzają ogromne zainteresowanie
i zachwyt publiczności, zarówno w kraju, jak i za granicą.



ARCH. RZAWP

Zachwycona publiczność z ogromnym wzruszeniem wodzi wzrokiem za występującymi na scenie tancerzami, uwagę przykuwają piękne stroje, zmieniane prawie do każdego utworu. Widzowie chłoną patriotyczne pieśni.

Terminarz z występami Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego (RZAWP) wypełniony jest na pół roku. By-

wają miesiące, w których artyści dają ponad 30 koncertów, a nawet zdarza się tak, że występują po kilka razy dziennie. Najczęściej można ich zobaczyć i usłyszeć przy okazji świąt państwowych, rocznic historycznych, a także podczas patriotycznych imprez. Nie zawsze są to uroczystości dostępne dla szerokiego grona odbiorców. Po koncertach do Zespołu podchodzą ludzie i pytają, gdzie →



TRZY PYTANIA DO

Adama Martina

Co wyróżnia członków Zespołu? Jakimi cechami charakteru powinni się odznaczać?

Przede wszystkim wysoką kulturą osobistą, odpornością na stres, akceptacją „cygańskiego” życia, łatwością nawiązywania kontaktów oraz nieodpartą chęcią przekazywania wysokich wartości moralnych związanych ze specyfiką pracy na scenie.

W jaki sposób można się dostać do Zespołu?

Każdy chcący pracować w RZAWP znajdzie odpowiednie informacje na naszej stro-

nie internetowej. Tam podajemy, że potrzebujemy zatrudnić artystów, pracowników technicznych i administracyjnych.

A jakie są wasze plany rozwoju?

Tego nie mogę zdradzić. Jeżeli wreszcie uda się zrealizować to, co planuję, naszych wielbicieli czeka miła niespodzianka. ■

Kompozytor ADAM MARTIN od 2006 roku jest dyrektorem Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.



jeszcze można ich zobaczyć i gdzie kupić płyty.

CYGAŃSKIE ŻYCIE

Jak podkreśla Adam Martin, dyrektor RZAWP, w Zespole najcenniejsi są artyści – muzycy, tancerze, śpiewacy i piosenkarze, ale równie ważna jest ekipa techniczna i administracyjna. Wszyscy są zatrudnieni na etatach. To dobre rozwiązanie dla obu stron – artyści mają pewną pracę, a dyrektor wie, że zawsze może na swoją ekipę liczyć.

„Kiedy przychodzi do nas nowa osoba, na początku dostaje angaż na okres próbny. I najważniejsze – nie zatrudniamy amatorów, tylko profesjonalistów”, podkreśla Adam Martin. Takie wymagania wobec pracowników przynoszą wymierne efekty, chociażby skracają czas, jaki jest potrzebny na pracę nad kolejnymi programami. W 2016 roku Zespół przygotował na przykład program poświęcony żołnierzom wyklętym, widowisko historyczne „Ortus Poloniae” z okazji 1050. rocznicy chrztu Polski oraz koncert z okazji 60-lecia KOR-u. Trzy nowe widowiska powstały w bardzo krótkim czasie i okazały się ogromnym sukcesem. A było to o tyle trudne, że progra-

my odwołujące się do historii najnowszej wymagają nie tylko wiedzy historycznej opartej na tekstach źródłowych, lecz także konfrontacji z relacjami świadków wydarzeń.

Dzięki dyscyplinie i odpowiedzialności artystów czas, jaki dzieli powstanie koncepcji widowiska od zaprezentowania go na scenie to zazwyczaj nie więcej niż cztery tygodnie. Zespół jest samowystarczalny – począwszy od artystów, po choreografa, kompozytorów, aranżerów, scenarzystów i reżysera.

Jak podkreśla Mirosław Racewicz, kierownik grupy estradowej i kierownik muzyczny, a także jeden z najbardziej cenionych aranżerów na polskim rynku muzycznym, RZAWP ma własne pracownie: krawiecką, szewską, stolarską – tak jak w porządnym teatrze. W magazynach Zespołu zgromadzono ponad 1200 kostiumów i rekwizytów. W większości są to kopie autentycznego umundurowania historycznego: od wojów Mieszka I, przez husarię Jana III Sobieskiego, do czasów współczesnych.

„Zespół wojskowy powinien być przygotowany na każdą sytuację”, mówi z uśmiechem Racewicz. Artyści są w ciągłym ruchu, wędrują w podróży, a to, jak sami przyznają, trzeba albo zaakceptować, albo polubić. Dzięki zada-



**W ZESPOLE
NAJCENNIJSI
SĄ ARTYŚCI –
MUZYCY, TANCERZE,
ŚPIEWACY**

**I PIOSENKARZE,
ALE RÓWNIE WAŻNA
JEST EKIPA
TECHNICZNA
I ADMINISTRACYJNA**

niowemu czasowi pracy są elastyczni, a zdarza się, że pracują siedem dni w tygodniu i zawsze ćwiczą też w swoich domach. „Wszelkie niedogodności rekompensuje nam ogromna satysfakcja z pracy, bo chyba w żadnym teatrze nie miałabym takich możliwości rozwoju, żaden też nie zapewniłby mi tylu wyzwań. Sprawdzam się w swoim fachu, ciągle się uczę, stawiam czoło nowym zadaniom. Ostatnio na przykład śpiewałam po hiszpańsku”, mówi Aleksandra Okrasa-Wachowska, solistka, laureatka Złotego Dobosza, nagrody dyrektora RZAWP, przyznawanej co roku członkom Zespołu za wybitne osiągnięcia artystyczne.

W UPALE I NA MROZIE

Artyści przed każdym występem mają tzw. próby całościowe na sali baletowej w swojej siedzibie w Warszawie. Ekipa techniczna zaś jedzie na rekonesans do miej-



scą, w którym ma się odbyć koncert – sprawdza, czy scena, zaplecze i garderoby są odpowiednio przygotowane. Wtedy udają się tam artyści. Dopiero po rekonesansie jest ustalany ostateczny repertuar i zapada decyzja, w jakim składzie Zespół wystąpi.

W dniu koncertu artystom wystarcza jedna godzinna próba, podczas której szczególną uwagę zwraca się na nagłośnienie. Wtedy też członkowie Zespołu zapoznają się z wejściami na scenę i zejściami z niej czy z wyjściami z garderoby, co jest niezwykle ważne ze względu na to, że bardzo często i szybko się przebierają. Co ciekawe, również repertuar w dużym stopniu jest układany pod kątem możliwości wielokrotnej zmiany kostiumów.

Sprawdzianem umiejętności Zespołu są sytuacje ekstremalne, a tych nie brakuje. Artyści z uśmiechem opowiadają, jak wyglądają kulisy ich pracy. Zgodnie podkreślają, że niewiele jest rzeczy, które są w stanie powstrzymać ich przed wystąpieniem na scenie, przed widownią, która na nich czeka. Najtrudniejsze warunki?

„Wystąpiliśmy na polach grunwaldzkich z okazji 600. rocznicy bitwy. Zaprezentowaliśmy widowisko historyczne »Mieczów dostatek, chorągwi tryumf«. Przyjechali wówczas ludzie z całej Europy. Był straszny upał, kurz, piach. A my, w namiotach stojących za sceną, w temperaturze ponad 30 stopni, przebieraliśmy się w futra i zbroje. Daliśmy radę”, opowiada Jacek Tomaszewski, kierownik baletu, reżyser i choreograf. →



REPREZENTACYJNY ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY WOJSKA POLSKIEGO

Artystyczna popularyzacja tradycji patriotycznych w środowisku wojskowym zaczęła się ponad sto lat temu. W lutym 1915 roku w sali teatralnej hotelu Pod Czarnym Orłem w Bielsku-Białej odbył się pierwszy profesjonalny występ sceniczny pomysłu 1 Brygady Legionów Polskich. Wydarzenie to obserwował sam Józef Piłsudski, który po występie powiedział, że „na scenie żołnierskiej powinno się grać głównie sztuki optymistyczne i radosne, dając ludziom wiarę i nadzieję”.

Na przestrzeni lat istniało wiele grup estradowych i teatralnych związanych z polskim wojskiem. RZAWP

jest spadkobiercą ich wszystkich. W 1951 roku powstał Zespół Pieśni i Tańca Wojska Polskiego, następnie Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego i w końcu 25 lat temu utworzono Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego. Od tej pory Zespół dał ponad 60 tys. koncertów w kraju i odbył ponad 200 tourné zagranicznych, m.in. do Niemiec, Francji, Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hiszpanii, Szwecji, Danii, Słowacji, Czech, Korei Południowej, Chin, Stanów Zjednoczonych i Kanady. W 1994 roku artyści wystąpili na specjalnej audycji przed Janem Pawłem II. ■

Trudne warunki do pracy były również na uroczystości 11 listopada przed kilku laty. Jak wspominają artyści, balet na placu Piłsudskiego w Warszawie miał zatańczyć mazura ze „Strasznego dworu”. Było wówczas bardzo zimno, padał śnieg, a tancerze występowali w strojach z epoki: panowie w mundurach z czasów Księstwa Warszawskiego, panie w sukienkach z krótkimi rękawami i odkrytymi plecami. W dodatku tak ubrani, okryci jedynie kurtkami, w scenicznym obu-

wiu musieli przejść 400 m z siedziby zespołu na plac, bo na miejscu nie było garderób. „Na szczęście nikt się nie rozchorował”, wspominają artyści.

To, że występują w trudnych warunkach, jest kwestią samozaparcia i świadomości, że jako Zespół Reprezentacyjny nie mogą zawieść widzów. To takie żołnierskie podejście do obowiązków. Prawo teatralne jasno bowiem określa, że artyści mogą pracować w temperaturze minimum 16°C, aby nie narażać siebie na przezię-

POLSKA MA BOGATĄ I PIĘKNĄ HISTORIĘ, KTÓRA DAJE ZESPOŁOWI ZNAKOMITE MOŻLIWOŚCI REPERTUAROWE. W NASZEJ TRADYCJI SĄ BOWIEM UTWORY, KTÓRE ŻYJĄ PRZEZ WIEKI



ARCH. RZAWP

ANDRZEJ WITKOWSKI

bień, a instrumentów muzycznych na uszkodzenie. Zespół wzbudza zachwyt wszędzie tam, gdzie pojawia się z koncertami. Jak podkreśla dyrektor Martin, szczególnie wzruszająca jest reakcja amerykańskiej Polonii. „W Stanach Zjednoczonych jesteśmy zawsze gorąco witani. Bisy trwają tam zazwyczaj ponad pół godziny”, podkreśla. „Fantastycznie wspominamy również sylwestrowe i noworoczne koncerty w Cannes. Sale były pełne, widownia oczarowana – trafili-

śmy wówczas na wyjątkową publiczność”, wspomina Tomaszewski.

RZAWP czasami jest porównywany do rosyjskiego Chóru Aleksandrowa, który ma bardzo podobny skład – śpiewaków, balet i orkiestrę. Artyści twierdzą jednak, że nie ma na świecie drugiego takiego zespołu jak nasz. W innych krajach działają tylko orkiestry dęte i zespoły kameralne. „Nie ma się co dziwić. Polska ma bardzo bogatą i piękną historię, która daje nam znakomite możliwości repertuarowe. Mamy się czym pochwalić, w polskiej tradycji są utwory, które żyją przez wieki, np. »Bogurodzica« czy pieśni związane z powstaniem”, zauważa dyrektor Martin.

Zespół ma ogromny repertuar, przede wszystkim patriotyczno-historyczny. Misją artystów jest bowiem kultywowanie tradycji patriotycznych i głoszenie chwały polskiego oręża – pieśnią, tekstem, tańcem czy też innymi środkami artystycznego wyrazu. Na scenie prezentowane są utwory nawiązujące do niemal wszystkich okresów w historii Polski. Niezależnie od tego Zespół daje także koncerty musicalowe, operetkowe, operowe, muzyki filmowej. „Jesteśmy bardzo wszechstronni. Nasze zespoły kameralne, które powstały z dwóch orkiestr: symfonicznej i koncertowej dętej – kwartet smyczkowy, kwintet dęty, kwartet klarnetowy – mają zróżnicowany i bogaty repertuar, zarówno historyczny wojskowy, jak i cywilny”, podkreśla dyrektor Martin.

Dużą satysfakcją dla artystów jest to, że ich twórczość jest dobrze odbierana również przez młodzież. Klasyczna forma i piękna oprawa ułatwiają bowiem poznawanie historii. „Dzięki temu doceniają nas nie tylko ludzie starsi, lecz także młodzi. Ostatnio było to widać w czasie występu z okazji Światowych Dni Młodzieży. Zachwyt słuchaczy z całego świata był dla nas niemal fizycznie odczuwalny”, opowiada Aleksandra Okrasa-Wachowska. ■

MATEUSZ WALCZAK

JAK ZOSTAŁEM OFICEREM

W momencie, w którym podczas szkolenia po raz pierwszy poczułem to, co jedni nazywają „esprit de corps”, a inni po prostu duchem zespołu, postanowiłem zostać oficerem i związać się z wojskiem na całe życie.

Kiedy leżałem w izbie chorych i nie mogłem brać udziału razem z plutonem w szkoleniu Narodowych Sił Rezerwowych, żałowałem, że przydarzyła mi się kontuzja. Wiedziałem, że chłopaki wylewają pot podczas nocnych ćwiczeń taktycznych, ale widząc niebo rozświetlone flarami i nabojami błyskawicami oraz słysząc huk ślepej amunicji, czułem, że powinienem razem z nimi przeżywać trudy szkolenia. Myślę, że to o tym uczuciu mówili mi starsi koledzy, którzy służyli w wojsku „za zety”. Pamiętam ich opowieści, że chociaż mocno dostali w kość, był to najlepszy okres w ich życiu. O „kolegach z wojska” już nie wspomnę.

Poczucie braterstwa, wspólnoty i odpowiedzialności za innych? Zagraniczni koledzy mówią na to „cohesion” lub „esprit de corps”, u nas dominuje określenie „duch zespołu”. Wtedy poczułem go po raz pierwszy i zdecydowałem, że tak chcę żyć i jak najczęściej czuć te emocje. Wtedy też postanowiłem związać się z wojskiem na całe życie. Byłem zafascynowany takimi postaciami, jak świetny strateg gen. Rozwadowski, prawdziwy dowódca gen. Sosabowski i gorliwy patriota rtm. Pilecki. Chciałem choć w części być taki, jak oni. Pamiętam, jak już po przysiędze dowódca drużyny pytał o plany po służbie w NSR-ze. Odpowiedziałem, że chcę zostać żołnierzem zawodowym i zamierzam się starać o miejsce w szkole oficerskiej. Powiedział mi wtedy, że jeśli nie mam jakiegoś wojskowego w rodzinie, to nie mam co się męczyć, bo tylko „plecaki” się dostają. Stwierdziłem, że i tak spróbuję. I spróbowałem.

Dlaczego? Chciałem służyć ojczyźnie; znów poczuć „cohesion”; usłyszeć „Mazurka Dąbrowskiego” i czuć dumę z tego, że jestem Polakiem, i że jestem żołnierzem. Bo mimo że nasze wojskowe uroczystości (w przeciwień-

stwie do zagranicznych) często trwają niemożliwie długo, to słysząc hymn państwowy lub „Pieśń Reprezentacyjną Wojska Polskiego”, automatycznie się prostujemy i czujemy wszechogarniającą dumę.

POCZĄTKI SĄ TRUDNE

Wiadomości, które znalazłem na forach internetowych, nie napawały optymizmem. Wciąż natrafiałem na opinie podobne do tej usłyszanej od dowódcy drużyny. Załatwiłem jednak wszelkie formalności, przeszedłem pozytywnie badania lekarskie, testy sprawnościowe i odbyłem rozmowę kwalifikacyjną. Otrzymałem po niej bardzo wysoką punktację, co – według opinii z forów internetowych – nie powinno mieć miejsca. Matura poszła mi bardzo dobrze, ale mimo to miałem wątpliwości, czy się uda. Po kilkunastu dniach ogłoszono listę szczęśliwców. Było na niej moje nazwisko. A jednak można – pomyślałem i poczułem ogromną radość.

Przekraczając próg uczelni, spostrzegłem umieszczoną na ogrodzeniu tablicę z sentencją, która zapadła mi w pamięć i którą wciąż staram się kierować: „Duma naszej Ojczyzny – polscy oficerowie”. Rzeczywiście, poczułem dumę, a jednocześnie ciężar odpowiedzialności, którą na siebie przyjąłem. Droga do celu miała być ciężka i długa (cztery lata w tym czasie zamieniły się w pięć, z powodu zmian w prawie). Myślałem, że wiem, na co się piszę, bo przecież wcześniej byłem w NSR-ze.





MAGDALENA TRZEBIŃSKA

SZKOŁĘ TRUDNO POGODZIĆ Z ŻYCIEM PRYWATNYM I DLATEGO WAŻNA JEST EFEKTYWNA ORGANIZACJA DNIA

Pierwszy miesiąc upłynął pod znakiem „unitarki”, czyli podstawowego szkolenia z zakresu żołnierskiego abecadła. Strzelanie, taktyka, topografia, wychowanie fizyczne, rozpoznanie i oczywiście „rejon” były naszym chlebem powszednim, przeszedłem to już wcześniej. Potem przysięga kolegów i rozpoczęcie normalnych studiów.

JEDEN DZIEŃ SZKOŁY ŻYCIA

Okazało się, że tok studiów jest dwutorowy – równoległe są prowadzone te cywilne oraz wojskowe. I chociaż ze względu na mnogość przedmiotów i szeroki zakres szkolenia każdy dzień różni się od poprzedniego, to generalnie przebiega według stałego harmonogramu.

Zazwyczaj zaczyna się od komend podoficera dyżurnego: „Pobudka, pobudka! Wstać! Czas do wyjścia na poranny rozruch fizyczny – siedem minut! Strój – dres!” (pierwsze trzy lata wstawaliśmy o 5.30, następnie o 6.00). Po tej komendzie podchorążowie ścielą „wozy”, ubierają się, wychodzą na zbiórkę i udają się na trzykilometrową zaprawę. Po powrocie mają trochę czasu na poranną toa-

letę, włożenie munduru i na śniadanie, na które wychodzi cała kompania. Przykładowy jadłospis jest następujący: muesli morelowe, ser, pomidor, bułka, masło i oczywiście herbata, czasem nawet gorący kisiel. Wszystko w określonej gramaturze. Po śniadaniu żołnierze przygotowują się do apelu porannego oraz zajęć. To czas na golenie, poprawę porządków w izbach, pobieranie sprzętu niezbędnego do zajęć (broń, lornetki, kompas). Na placu apelowym dowódca kompanii przedstawia najważniejsze przedsięwzięcia do realizacji w ciągu dnia. Potem następuje szkolenie programowe, które zwykle trwa od godziny 8.00 do 14.45. Oto przykładowy rozkład zajęć: półtorej godziny WF-u, temat „Atletyka terenowa i tory przeszkód”, po którym zazwyczaj podchorąży nie ma już ochoty na nic (oczywiście z powodu zmęczenia); półtorej godziny zajęć „cywilnych” ze statystyki opisowej i czas na długą przerwę śniadaniową. Po przerwie dalszy ciąg zajęć: język angielski i dowodzenie. Następnie apel popołudniowy z podsumowaniem dnia szkoleniowego i wstępnym nakreśleniem kolejnego. Czasem dowódca może omówić jakiś temat, który uważa za ważny, przykładowo złe zachowanie podchorążych podczas uroczystego obiadu z rektorem. Potem jest czas na posiłek i ewentualnie dalszy ciąg szkolenia, np. z topografii wojskowej lub z TiPS-u (teorii i praktyki strzelań). Po kolacji i czasie na samokształcenie lub czasie wolnym, o godzinie 21.30 dla pierwszych trzech roczników i o 22.00 dla czwartego i piątego roku podoficer dyżurny ogłasza: „Capstrzyk! Capstrzyk! Capstrzyk! Spać!”. Podchorążowie gaszą światła i teoretycznie zapadają w głęboki sen, trwający aż do następnej zaprawy. Cały cykl powtarza się przez wszystkie lata. Często po zajęciach mieliśmy „rejon”, czyli sprzątanie i „lulanie” (jedno z ulubionych słów dowódcy) pododdziału lub treningi musztry. Gdy opuszczałem mury uczelni (lipiec 2016), „rejon” zewnętrzny wykonywała firma outsourcingowa. Podchorążowie natomiast niezmiennie pełnią w szkole różnego rodzaju służby, począwszy od dyżurnego kompanii, na pomocniku oficera dyżurnego skończywszy.

DECYZJE, DECYZJE...

Pierwszy rok, ogólnowojskowy, jest taki sam dla wszystkich. To czas, aby zastanowić się nad kierunkiem studiów, potem już trudniej jest zmienić specjalność. Ja wybrałem specjalność przeciwlotniczą, podobnie zresztą jak podczas szkolenia w NSR-ze.

Po pierwszym roku nadal mamy większość przedmiotów takich samych, ale specjalistyczne już się różnią, podobnie jak terminy wyjazdów na poligony lub praktyki dowódcze (podchorążowie odbywają praktyki dowódcze na szczeblu drużyny oraz plutonu).



CHCIAŁEM, CZUĆ DUMĘ

Z TEGO, ŻE JESTEM POLAKIEM I ŻOŁNIE- RZEM

Podchorążowie uczestniczą też w różnych kursach, np. narciarstwa, jeździectwa lub ratownika pola walki. Do tego dochodzą marsze kondycyjne (raz na kwartał) oraz udział w uroczystościach państwowych lub wojskowych. Zazwyczaj udział w kompanii honorowej wypada w weekend. Życie w szkole nie jest proste i trudno jest je pogodzić z tym prywatnym, gdyż udzielenie wolnego czasu zależy od dowódców (mogą dać przepustkę, jeśli nie ma żadnych przedsięwzięć), a ważna jest efektywna organizacja dnia. W ciągu pięciu lat przechodzi się przez sito egzaminów. Do tego dochodzą zaliczenia praktyk dowódczych i szkoleń specjalistycznych w jednostkach lub centrach szkolenia. Podchorąży ma prawo do 45 dni urlopu w ciągu roku. W czasie nauki pobiera, w zależności od roku nauki oraz stopnia, uposażenie sięgające obecnie od 35 do 80% najniższego wynagrodzenia zasadniczego.

Atutem uczelni jest ogromny wybór sekcji sportowych oraz kół naukowych. Tych pierwszych jest kilkanaście i obejmują w zasadzie wszystkie dyscypliny, w tym stricte wojskowe, jak pokonywanie toru OSF (ośrodek sprawności fizycznej). Najprężniej działa sekcja WWBK (walki w bliskim kontakcie), założona w 2012 roku, której największym osiągnięciem jest organizacja mistrzostw Wojska Polskiego. Do tej pory odbyły się one dwa razy, a to wszystko za sprawą opiekuna sekcji kpt. Macieja Kupryjańczyka. Dzięki uczestnictwu w sekcjach i kołach naukowych studenci nie tylko mogą rozwijać przydatne umiejętności, lecz także odwiedzić miejsca, do których dostęp jest ograniczony, np. jednostki wojsk specjalnych. Ogromnym walorem jest także współpraca międzynarodowa z innymi uczelniami wojskowymi. Udział w zagranicznych wyjazdach w oczywisty sposób przyczynia się do zwiększenia kompetencji dowódczych oraz umiejętności interpersonalnych.

Studia kończą się egzaminami: dyplomowym (magisterskim) oraz oficerskim. Po ich zaliczeniu, na wrocławskim rynku (jeśli chodzi o WSOWL) odbywa się uroczysta promocja na pierwszy stopień oficerski, poprzedzona kilku- lub kilkunastodniowym treningiem musztry. Ważne są jeszcze rozmowy kadrowe, które decydują o przydziale przyszłego oficera do konkretnej jednostki, a tym samym do danego garnizonu i rejonu Polski. W moim roczniku większość absolwentów trafiła do preferowanych przez siebie jednostek.

UMOWA NA LATA

Jest jeszcze jedna bardzo ważna kwestia, o której nigdzie wcześniej nie znalazłem informacji. Otóż przed sa-

mym podjęciem nauki podpisuje się umowę, zgodnie z którą, jeżeli słuchacz (podchorąży) nie przesłuży w wojsku co najmniej dwukrotności czasu pobierania nauki (jeśli więc uczy się pięć lat, to wymagane jest jeszcze dziesięć lat służby), musi zwrócić nakład poniesiony na jego edukację, określony w trakcie podpisywania umowy (o ile pamiętam, nie jest to kwota mniejsza niż 110 tys. zł). Oczywiście zapis ten ma zastosowanie, jeśli słuchacz nie odsłużył odpowiedniej liczby lat ze swojej winy, np. ze względu na słabe wyniki w nauce bądź przewinienia dyscyplinarne. Tak więc decyzję o podjęciu nauki w wojskowej uczelni trzeba podjąć z całą świadomością tego, że chodzi o najbliższe co najmniej 15 lat życia.

WYBÓR NALEŻY DO CIEBIE

Czy nauka w szkole oficerskiej spełniła moje oczekiwania? Nie do końca. Uważam, że uczelnia jest zbyt mocno skoncentrowana na cywilach, których jest kilkakrotnie więcej niż studentów wojskowych. Zdarzało się, że podczas wyjazdu studyjnego do konkretnej jednostki wojskowej większość stanowili studenci niemundurowi. Również wykładowcy są „rozdarci” pomiędzy te dwie grupy i mimo wysokich kwalifikacji może im nie wystarczyć sił, by wykaazać się zrozumieniem różnic między życiem wojskowym i cywilnym. Z tego, co wiem, obecnie trwają prace nad przywróceniem uczelniom wojskowym ich „militarnego” charakteru.

Uczelnia stara się przygotować oficerów do konkretnej roli w jednostce wojskowej. Jednak mimo trudnego procesu rekrutacji, a następnie odsiewu w trakcie kształcenia i wreszcie podczas egzaminów końcowych nie da się wyeliminować wszystkich słabych ogniów. Młodego oficera po promocji, tak samo jak w pierwszych dniach „unitarki” w szkole, czeka próba charakteru i stanięcie oko w oko z kadrą, często o wiele starszą od niego, oraz bardziej doświadczonymi szeregowymi, mającymi niekiedy na swoim koncie kilka misji. Jest to kolejny egzamin, który, chcąc nie chcąc, musi zdać. Oceny wystawią mu zarówno podwładni, jak i przełożeni.

Życie podchorążego i młodego oficera nie jest usłane różami, ale pełne jest dumy, poczucia spełnienia i radości z uznania w oczach innych. ■

Ppor. MATEUSZ WALCZAK jest dowódcą plutonu
w 6 Batalionie Dowodzenia 6 Brygady
Powietrznodesantowej.

MŁ. CHOR. RAFAŁ MONDRACH



Data i miejsce urodzenia:
13 września 1972 roku,
Żnin.

W wojsku służy od: 1992 roku.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Szkoła Podoficerska i Młodszych Specjalistów Wojsk Pancernych w Czarnem, specjalność dowódca czołgu. Kurs kandydatów na podoficerów zawodowych w Podoficerskiej Szkole Zawodowej w Poznaniu ukończony z pierwszą lokatą. Kurs kwalifikacyjny na stanowiska zaszerogowane do stopnia etatowego starszego podoficera.



Najlepsza broń:
Glock kalibru 179 mm.

Misje i ćwiczenia: jeszcze nie służyłem w żadnej misji poza granicami kraju.

Zostałem żołnierzem, bo: podczas służby zasadniczej spotkałem pełnych zapału, doświadczonych przełożonych – prawdziwych wychowawców. Ich charyzma, wiedza i doświadczenie sprawiły, że zostałem w armii.

Zajmowane stanowisko: dowódca grupy szkoleniowej.

Jednostka wojskowa: Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: to, że mundur odróżnia nas od innych obywateli. Ubrani w mundur czujemy dumę, odpowiedzialność za obronę ojczyzny, jesteśmy gotowi na poświęcenie dla niej tego, co mamy najcenniejsze – życia.



Przełomowe wydarzenie

w życiu: prywatnie – założenie rodziny i narodziny syna, a zawodowo – rozpoczęcie zasadniczej służby wojskowej.

Moje największe osiągnięcie:

wyszkolenie i bycie przełożonym ponad 1500 żołnierzy, z których większość nadal służy w wojsku i odnosi sukcesy zawodowe.



Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: byłyby to system oceniania i promocji młodych, zdolnych żołnierzy w korpusie szeregowych i podoficerów. Często najbardziej ambitni, pełni zapału żołnierze ze względu na swoje zaangażowanie zostają na stanowiskach zbyt długo.

Moja księżka życia: wolę kino.

Niezapomniany film: „Róża” w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego oraz „Szeregowiec Ryan” Stevena Spielberga.

Co robię po służbie: dużo czasu spędzam z rodziną.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Nadrzędny cel

Zanim trafili do Europy, służyli w misjach bojowych w Afganistanie. Niezależnie od miejsca medycy liniowi mają jeden cel – ratować ludzkie życie.

Pamiętam, że poranek był rzeźki, a niebo nieprzyzwoicie błękitne. W powietrzu unosił się zapach spalin i potu, który towarzyszył nam przez większość czasu. Poruszaliśmy się kolumną w sile dwóch drużyn amerykańskiej piechoty i jednej drużyny ANA [Afghan National Army – Armia Afgańska] osłanianej przez trzy, może cztery nasze pojazdy. Mój jechał jako ostatni. Do celu dotarliśmy bez żadnych problemów. W drodze powrotnej byłem już tak zmęczony, że co chwilę zapadałem w niespokojny, przerywany sen. Na każdej nierówności gło-

wa obijała mi się boleśnie o oparcie krzesła. Jechaliśmy drogą przez wieś, która znajdowała się jakieś 500, może 700 m od bazy. Część naszych chłopaków szła po lewej stronie drogi, zachowując rozciągnięty szyk. Po drugiej stronie wioski widać było żołnierzy ANA. Po prawej, może 200 m od nas, znajdowała się kolejna niewielka osada. Nagle w interkomie rozległ się krzyk kierowcy: „Co jest, do cholery!”. W tym samym momencie moją ciężarówkę dosięgła pierwsza seria.

Specjalista Rowdy Reeves sprawnie wrażeń ułożonego, pogodnego →





MICHAŁ ZIELIŃSKI

człowieka. Nawet gdy w skupieniu słucha skarg swoich pacjentów lub przyjmuje raporty od podopiecznych, jego twarz rozjaśnia łagodny uśmiech. Z luźną postawą kontrastują oczy. Zawsze skupione, przenikliwe, wpatrzone w punkt. Można by pomyśleć, że nie ma siły, która zachwiałaby ten wewnętrzny spokój. Podobne opanowanie charakteryzuje sierż. Williama Whisnanta. Precyzję i porządek można dostrzec nie tylko w jego ruchach, lecz także w codziennej rutynie. Sposób, w jaki sprawdza swój zasobnik, porządkuje torbę medyczną czy przygotowuje się do nocnego dyżuru, świadczy o całkowitym oddaniu służbie.

Rowdy Reeves oraz William Whisnant to medycy liniowi (combat medic) 4 Skrzydła 2 Pułku Kawalerii. Każdy z nich pełni odmienną funkcję, jednak łączy ich jeden, nadrzędny cel. Mają ratować życie.

„Wszystko kręci się wokół stabilizacji funkcji życiowych. To nasze główne zadanie, i tak naprawdę niewiele więcej możemy zrobić. Upewniasz się, że zatamowałeś krwotok, przywróciłeś oddech i ładujesz gościa na nosze. W naszym wozie możemy zmieścić do sześciu pacjentów, ale – Bóg mi świadkiem – jeżeli trzeba będzie upchnąć ich więcej, znajdziemy sposób”, tłumaczy sierż. Whisnant, dowódca medycznej wersji transportera piechoty Stryker. Teoretycznie jego cel jest prosty – ma dotrzeć na umówione miejsce, zabrać potrzebujących pomocy i dostarczyć ich do punktu medycznego. Ze wszystkim musi się uporać w godzinę.

„Moja praca przypomina jazdę w cywilnej karetce. Mamy podobne wyposażenie, takie jak tlen czy defibrylator. W terenie trzęsie trochę mocniej niż podczas jazdy po mieście, więc dodatkowo stabilizujemy nosze i pacjentów. Reszta polega na tym samym. Robimy wszystko, żeby poszkodowany przeżył drogę z miejsca zdarzenia do szpitala”.

W przeciwieństwie do Williama Whisnanta, specjalista Rowdy Reeves większość swojej pracy wykonuje jeszcze przed przybyciem MEDEVAC-u. Obecnie nadzoruje pracę sanitariuszy w podległych mu plutonach, ale podczas misji w Afganistanie to właśnie w jego rękach było życie kolegów z oddziału. Obaj medycy podkreślają, że szybka ewakuacja rannych jest bardzo istotna, ale zda na nic się bez czynności wykonywanych już w pierwszych minutach.

„W Afganistanie opiekowałem się oddziałem liczącym 27 żołnierzy. Odpowiedzialność za ich zdrowie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, spoczywała na moich barkach. Towarzyszyłem im za każdym razem, kiedy opuszczali bazę, kiedy walczyli i kiedy odpoczywali po patrolu. Ratowałem również Afgańczyków, wojskowych oraz cywilów, a także pomagałem czeskim lekarzom



Kiedy trwa wymiana ognia, ich głównym zadaniem jest ratowanie rannych.

w ich punkcie medycznym. W prowincji Logar mieliśmy pełne ręce roboty”.

Jako sanitariusz, Reeves nie tylko ratował ludzi pod ostrzałem. Bywało, że w przerwach w zakładaniu opatrunków musiał chwycić za broń i odpierać ataki wroga.

CAŁY CZAS NA SŁUŻBIE

W huku wystrzałów i rykoszetujących kul dowódca plutonu krzychał na gunnera, który usiłował zlokalizo-

SIERŻ. WILLIAM WHISNANT:
**WSZYSTKO KREĆ SIĘ WOKÓŁ
 STABILIZACJI
 FUNKCJI
 ŻYCIOWYCH**



Jeżeli chce się być dobrym medykiem, trzeba odciąć się od otoczenia i skupić na potrzebującym pomocy.

wał bojowników. Zamilkł w chwili, w której kula uderzyła w boczną szybę na wysokości jego twarzy. Nie myśląc wiele, zacząłem kierować ogniem naszego wozu. „Zap... ich, Clark!” – darłem się na całe gardło, a gunner kulit się za osłonę swojego stanowiska i raz za razem posyłał wściekłe serie w kierunku wroga. W pewnym momencie usłyszałem swojego kierowcę: „K..., ale zarwał. Doc, stary, ten koleś właśnie oberwał!”. Przed nami, tuż za drogą, leżał żołnierz ANA. Wokół zbrali się jego kole-

dzy, którzy usiłowali zatamować krwotok z jego tułowia. Mój dowódca dał znak, by przetransportowano rannego do naszego wozu. W interkomie zabrzmiał jego głos: „Doc, szukaj się!”. Zacząłem opuszczać rampę. W chwili, w której dotknęła ziemi, ujrzałem dwóch żołnierzy ANA. Jeden z nich zataczał się, mimo że cały jego ciężar spoczywał na towarzyszącym mu koledze. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

„Kiedy trwa wymiana ognia, naszym głównym zadaniem jest ratowanie rannych. Nie możesz dać się wciągnąć w naparzanekę, przez cały czas musisz mieć pewność, że nikt nie potrzebuje twojej pomocy”, podkreśla specjalista Reeves i dodaje, że tak naprawdę służba medyka liniowego trwa przez całą dobę. Ludzie decydujący się na tę profesję muszą się charakteryzować odpowiednią dozą empatii, przedkładać dobro innych nad własne. Cechy tej nie ukształtują ani zdobyta wiedza, ani morderczy trening. Skuteczność pracy medyka tkwi także w szczerym zainteresowaniu stanem swoich podopiecznych oraz w uważnej obserwacji. Dzięki temu poznaje się ich zwyczaje oraz zachowania i można reagować na odstępstwa od normy. Również psychiczne.

Żołnierze, którzy odbyli swoją turę w takich prowincjach, jak Logar czy Wardak, niechętnie mówią o swoich przeżyciach. Były to trudne do kontrolowania miejsca, w których talibowie dysponowali znaczącymi siłami. Specjalista Rowdy Reeves służył w Afganistanie kilkakrotnie, m.in. w FOB (Forward Operating Base) Shank oraz w COP (Combat Outpost) Sultan Kheyl. W odróżnieniu od kolegów, w miarę możliwości dzieli się swoim doświadczeniem. W ten sposób młodszy stażem sanitariusze mogą nie tylko zdobyć praktyczną wiedzę, lecz także chociaż częściowo przygotować się na sytuacje, którym będą musieli stawić czoła.

Nieraz zdarza się, że mimo usilnych starań medyków pacjent umiera na ich rękach. Odczuwają wówczas nie tylko gorycz porażki i bezsilność, lecz także osamotnienie w przeżywanych emocjach. Po powrocie do bazy zderzają się z codziennością, która całkowicie odstaje od przeżywanej przez nich traumy. Pojawia się poczucie pustki.

„Przez wszystko to przechodziłem. Moje doświadczenia mają słodko-gorzki smak, jednak z punktu widzenia medyka trudno je przecenić. Wykorzystuję je nie tylko do tego, by zobrazować mniej doświadczonym medykom to, co mogą zobaczyć. Chcę przygotować ich też na stres oraz emocje, które będą im towarzyszyć”. Rowdy Reeves nie kryje, że nie jest łatwo zachować zimną krew, kiedy wokół latają kule lub odłamki. W wykonywaniu swoich obowiązków pomagają trening i pamięć mięśniowa, jednak nawet świetnie wyszkolony medyk, →

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



LUDZIE DECYDUJĄCY SIĘ NA TĘ PROFESJĘ MUSZĄ WYRÓŻNIAĆ SIĘ EMPATIA, PRZEDKŁADAĆ DOBRO INNYCH NAD WŁASNE

wystawiony na ostrzał, będzie zmagał się z odruchem ucieczki. Instykt, który każe skupić się na własnym zdrowiu i życiu, jest silny, ale można go opanować. Według Reevesa, największą motywację daje świadomość, że inny człowiek pokłada w nim całą nadzieję.

„Nieraz łapałem się na tym, że byłem tak pochłonięty udzielaniem pomocy, że nie wiedziałem, co dokładnie dzieje się wokół mnie. Przede mną leżał człowiek, któremu ze wszystkich sił starałem się uratować życie. Słyszałem, jak krzyczy z bólu, wręcz współodczuwałem jego cierpienie. Pochłaniało to moją uwagę tak mocno, że z letargu wyrwał mnie dopiero bezpośredni ostrzał”.

Specjalista Rowdy Reeves i sierż. William Whisnant jednogłośnie stwierdzają, że opanowanie w akcji przyszło dopiero z czasem. Na początku niezwykle trudno było im zapomnieć o zagrożeniu, na jakie się wystawiają. Nauczyli się jednak ufać kolegom z oddziału, którzy chronią ich podczas walki. Wiedzą, że jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, zarówno oni, jak i ich pacjenci nie będą musieli radzić sobie sami.

„Jeżeli chcesz być dobrym medykiem, musisz odciąć się od otoczenia i skupić na tym, że ktoś ciebie potrzebuje. Po prostu robisz to, co do ciebie należy”, podsumowuje sierż. Whisnant.

ZDANY NA SIEBIE

Położyłem rannego żołnierza w tyle mojego wozu i zacząłem szukać na jego ciele źródła krwotoku. W chwili, w której stwierdziłem, że żadna z tętnic nie została przerwana i że nie ma ran na klatce piersiowej, rozciąłem ubranie na podbrzuszu i odkryłem niewielką

ranę wlotową, o średnicy nie większej niż grubość ołówka. Sączyła się z niej krew, jednak prawdziwy krwotok dostrzegłem na plecach. W tym czasie towarzysz rannego trzymał jego głowę w ramionach, głaskał ją i na zmianę modlił się, szeptał mu coś do ucha, kierował zapłakaną twarz ku górze i znów się modlił. Poszkodowany miał drgawki, a na jego twarzy rysowało się wyłącznie przerażenie.

Każdy medyk, niezależnie od doświadczenia, czuje strach. Rowdy Reeves nie ukrywa, że czuł go podwójnie. Ranny żołnierz ANA był jego pierwszym pacjentem. Po raz pierwszy poczuł również, jaka spoczywa na nim odpowiedzialność. Jednocześnie musiał się liczyć z utrudnioną komunikacją. Przed misją poznał kilka zwrotów w języku dari, w którym teraz powtarzał w kółko, że wszystko będzie dobrze. W chwili, w której przewrócił Afgańczyka na plecy, ujrzał olbrzymią, poszarpaną ranę wylotową. Pomimo krzyków rannego, starał się ją opatrzyć. Kula najprawdopodobniej przebiła wątrobę, pacjenta trzeba było natychmiast ewakuować.

„Byłem przerażony i spełniony jednocześnie. Ratowałem życie żołnierza rannego w walce, do tego robiłem to pod ostrzałem. Byłem sam i mogłem liczyć wyłącznie na siebie oraz na swoje umiejętności. Pamiętam moment, w którym odebrał go MEDEVAC. Czuję, że zrobiłem to, co do mnie należało, cały trząśłem się od adrenaliny. Takich emocji doświadczyłem wyłącznie jako medyk”.

Wszystkie zdjęcia zostały wykonane podczas ćwiczeń „Brave Warrior 2016”.

expo
MAZURY



HONOROWY PATRONAT



NAJWIĘKSZE TARGI PROOBRONNE W POLSCE

MIĘDZYNARODOWY KONGRES
ORGANIZACJI PROOBRONNYCH

**CENTRALNY ZŁOT
KLAS MUNDUROWYCH**

1-4 CZERWCA 2017

EXPO MAZURY

**OSTRÓDA
UL. GRUNWALDZKA 55**



Projekt WOT

W projekcie nowelizacji ustawy powołującej wojska obrony terytorialnej zostały określone m.in. zasady służby w tej formacji oraz przywileje żołnierzy WOT-u.

Zgodnie z przygotowaną nowelizacją ustawy z 21 listopada 1967 roku o powszechnym obowiązku obrony RP, wojska obrony terytorialnej mają być piątym rodzajem sił zbrojnych, a ich dowódca jednym z trzech, obok generalnego i operacyjnego, dowódców polskiej armii. Jego kadencja będzie trwała trzy lata. Do zakresu jego działań będą należały zadania związane z udziałem podległych mu wojsk m.in. w zwalczaniu klęsk żywiołowych i likwidacji ich skutków, ochronie mienia, akcjach poszukiwawczych, a także zarządzaniu kryzysowym. Wojska obrony terytorialnej mają liczyć do 40 tys. żołnierzy.

OFERTA DLA OCHOTNIKÓW

Według projektowanych regulacji, żołnierzami WOT-u będą mogli być wyłącznie obywatele polscy, którzy ukończyli 18 lat, mający odpowiednie przygotowanie zawodowe oraz kwalifikacje do pełnienia służby w Siłach Zbrojnych RP. Te ostatnie nie zostały na razie dokładnie sprecyzowane.

Kadrę WOT-u mają stanowić żołnierze zawodowi, ale trzonem nowego rodzaju sił zbrojnych będą rezerwiści oraz ochotnicy, którzy nigdy wcześniej nie odbywali służby. Przepisy przewidują jednak, że pierwszeństwo w naborze będą mieli byli żołnierze zawodowi, członkowie organizacji proobronnych (jeśli podpisały one porozumienia o współpracy z MON-em lub jednostką wojskową) i absolwenci szkół realizujących programy przysposobienia obronnego lub edukacji dla bezpieczeństwa (tzw. klasy mundurowe).

Osoby, które dotychczas nie pełniły czynnej służby wojskowej, są obowiązane przejść szkolenie podsta-

wowe, przygotowujące do służby w armii. Ma ono trwać 16 dni i będzie się kończyło złożeniem przysięgi wojskowej.

Projektowane przepisy dopuszczają możliwość wstąpienia w szeregi OT osoby z kategorią zdrowia D, która obecnie wyklucza ze służby w armii. W ocenie MON-u takie rozwiązanie pozwoli rekrutować ochotników ze słabszym zdrowiem, ale mających specjalistyczną wiedzę, np. z dziedziny informatyki.

SŁUŻBA ROTACYJNA I DYSPOZYCYJNA

Przygotowany przez resort obrony dokument wprowadza nowe terminy związane z powołaniem WOT-u: żołnierza obrony terytorialnej oraz terytorialną służbę woj-

skową (TSW), która ma być nowym rodzajem czynnej służby wojskowej. W odróżnieniu od służby w Narodowych Siłach Rezerwowych, służba w OT nie będzie się opierać na kontraktach i przydziałach kryzysowych. Będą też różnice, jeśli chodzi o powołanie żołnierza do służby. O ile w przypadku NSR-u żołnierze są powoływani za każdym razem, kiedy mają się stawić w wojsku, o tyle w przypadku WOT powołanie odbędzie się raz, a służba będzie mogła trwać od 12 miesięcy do sześciu lat, z możliwością jej przedłużenia.

TSW będzie pełniona jako służba stała, z podziałem na rotacyjną i dyspozycyjną. Tę pierwszą żoł-

nierze będą pełnić w czasie wolnym od pracy, w jednostce wojskowej, przez minimum jeden weekend w miesiącu w określonych przez dowódcę dniach. Na co dzień natomiast będą pełnić służbę w dyspozycji, a w tym czasie normalnie wykonywać swoją pracę lub inne obowiązki. Pozostaną jednak w gotowości, by sta-

W 2016 ROKU WYDATKI NA UTWORZENIE, WYPOSAŻENIE I FUNKCJONOWANIE WOT-U MAJĄ WYNIEŚĆ 394 MLN ZŁ, W PRZYSZŁYM ROKU – JUŻ 630,7 MLN. W SUMIE W LATACH 2016–2019 Z BUDŻETU MON-U ZOSTANIE PRZEZNACZONE NA OT OKOŁO 3,6 MLD ZŁ.

WIELE PAŃSTW MA FORMACJE OBRONY TERYTORIALNEJ

Najsilniejszą strukturą obrony terytorialnej na świecie jest amerykańska Gwardia Narodowa, stanowiąca osobny rodzaj sił zbrojnych w strukturach armii USA i mająca umocowanie prawne w konstytucji. W jej szeregach jest około 358 tys. żołnierzy, w tym 49,5 tys. w służbie czynnej. Ponadto GN ma własne lotnictwo z personelem liczącym 106 tys. osób, w tym ponad 6600 żołnierzy pozostających w stałej służbie. Specyfiką tej formacji jest jej regionalny charakter. Przeznaczona jest przede wszystkim do wszelkiego typu działań wspierających regularne oddziały wojsk amerykańskich.

W Szwecji z kolei istnieje, licząca około 30 tys. członków, ochotnicza organizacja obronna Hemvarnet. Podzielona jest na 21 batalionów, te zaś na od dwóch do pięciu kompanii, z których każda realizuje zadania na terenie własnej gminy (maksymalnie dwie, trzy gminy na kompanię). Do podstawowych zadań Hemvarnetu należą m.in.: obrona i ochrona obiektów, wsparcie kryzysowe, monitorowanie granic, działania rozpoznawcze i antydywersyjne.

Formację OT ma także Wielka Brytania. Tamtejsza ochotnicza Teritorial Army liczy ponad 30 tys. żołnierzy i ma w swoich szeregach pododdziały lądowe, morskie i powietrzne. Szkolenie podstawowe trwa do 59 dni w roku (na ogół w weekendy). Po przejściu tego etapu członek jednostki terytorialnej jest zobowiązany do 19 dni szkolenia (dwa weekendy plus obóz szkoleniowy) rocznie. Żołnierze Teritorial Army mają prawo do wielu ulg podatkowych, są też chronieni przed ewentualnymi zwolnieniami z pracy. Ponadto w ramach różnych programów wsparcia działa kilka organizacji rządowych i pozarządowych, mających na celu zacieśnienie współpracy między brytyjskim resortem obrony, pracodawcami a żołnierzami. PG/PZ ■

wić się do służby rotacyjnej w terminie i miejscu wskazanym przez dowódcę.

PRAWA I OBOWIĄZKI

Analogicznie do rozwiązań obowiązujących w służbie zawodowej, także żołnierze WOT-u będą podlegać co-rocznemu opiniowaniu służbowemu. Przełożeni ocenią sposób wykonywania zadań, a także przestrzeganie dyscypliny wojskowej i przepisów o ochronie informacji niejawnych. W arkuszu opinii będą też mogły się znaleźć propozycje dalszej służby, w tym wyznaczenia żołnierza na inne stanowisko służbowe, mianowania go na wyższy stopień, przyznania odznaczenia lub skierowania na szkolenie. W przypadku niespełniania przez żołnierza wymagań, np. uzyskania oceny niedostatecznej w opinii czy niestawienia się na ćwiczenia, będzie go można zwolnić ze służby przed terminem jej zakończenia.

Projekt ustawy określa też kwestie finansowe związane ze służbą w WOT. Żołnierzom będzie przysługiwał comiesięczny dodatek z tytułu pełnienia terytorialnej służby wojskowej oraz utrzymywania zdolności do natchmiastowego stawiennictwa w koszarach. Zgodnie z założeniami rezerwiści mają dostawać 300 zł miesięcznie za tzw. gotowość bojową i dodatkowo 200 zł za

każdy udział w ćwiczeniach. Szczegółowe zasady i sposób wypłaty pieniędzy ma określić w rozporządzeniu minister obrony narodowej.

Oprócz kwestii finansowych projekt ustawy przewiduje wiele przywilejów dla żołnierzy OT. Ci, którzy mają co najmniej trzyletnią wysługę, będą mieli pierwszeństwo w ubieganiu się o służbę kandydacką bądź zawodową, a także w naborze na stanowiska urzędnicze związane z obronnością.

Żołnierze mieszkający poza miejscem pełnienia służby zyskają prawo do zwrotu kosztów dojazdów z miejsca zamieszkania do miejsca pełnienia służby rotacyjnej i z powrotem. Okres urlopu bezpłatnego, udzielanego przez pracodawcę w związku ze służbą rotacyjną, będzie wliczany do czasu pracy, od którego zależą uprawnienia pracownicze, np. urlop wypoczynkowy za dany rok. Czas służby rotacyjnej będzie się też wliczał do wysługi emerytalnej.

Żołnierze OT będą mogli brać udział w szkoleniach i kursach, także podoficerskich i oficerskich, oraz liczyć na dofinansowanie kosztów nauki. Szczegóły tego ostatniego przywileju zostaną doprecyzowane w rozporządzeniu.

Ustawa ma wejść w życie 1 stycznia 2017 roku. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

PRAWA EMERYTALNE

W listopadzie 2004 roku rozpocząłem służbę zasadniczą. Po roku, nie przerywając ciągłości służby, stałem się żołnierzem nadterminowym, którym byłem przez sześć lat. Od 2010 roku jestem żołnierzem zawodowym, a w roku 2016 awansowałem na podoficera. Czy za trzy lata uzyskam prawa do świadczenia emerytalnego, mimo że wcześniej byłem sześć lat żołnierzem nadterminowym? Czy muszę jednak mieć 15 lat służby zawodowej?

→ **Przyjmując, że autor zapytania przez cały czas kariery zawodowej w wojsku zachował ciągłość służby, należy uznać, że za okres wskazany w pytaniu nabędzie on prawo do emerytury.** W niniejszej sprawie będzie miał zastosowanie przepis art. 12 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin. Zgodnie z tym przepisem emerytura wojskowa przysługuje żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, który w dniu zwolnienia z niej ma 15 lat służby w Wojsku Polskim, z zastrzeżeniem art. 12a, z wyjątkiem żołnierza, który ma ustalone prawo do emerytury określonej w ustawie o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, obliczonej z uwzględnieniem okresów służby wojskowej w Wojsku Polskim i okresów równorzędnych

z tą służbą. Jednocześnie art. 13 reguluje, które okresy uważa się za równorzędne ze służbą wojskową w Wojsku Polskim, zaliczając je jednocześnie do wystugi emerytalnej.

Na marginesie należy wskazać, że pomimo nabycia praw emerytalnych, żołnierz nie będzie miał prawa do świadczenia, o którym mowa w art. 95 ust. 1 pkt 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Zgodnie z tym przepisem żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, niezależnie od odprawy (art. 94) przysługuje przez rok po zwolnieniu ze służby wypłacane co miesiąc świadczenie pieniężne w wysokości kwoty uposażenia zasadniczego wraz z dodatkami o charakterze stałym, należnego w ostatnim dniu pełnienia służby. Przepis art. 96 ust. 1 ustawy stanowi bowiem, że świadczenie pieniężne, o którym mowa w art. 95 ust. 1 pkt 1, przysługuje żołnierzowi (z zastrzeżeniem ust. 2–4), który pełnił nieprzerwanie zawodową służbę wojskową przez co najmniej 15 lat. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: Ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 95 ust. 1 pkt 1, art. 96 ust. 1; ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku (DzU 1994, nr 10 poz. 36), tekst jednolity z 27 czerwca 2016 roku (DzU 2016 poz. 1037) – art. 12, art. 13.

Porady zamieszczone na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

URLOP ZGODNY Z PRZEPISAMI?

Jestem pracownikiem jednego z WOG-ów. Od momentu przejścia na pracę w godzinach, w których pracują żołnierze (poniedziałek – czwartek 7.00–15.30, piątek do 13.00), nasza kadrowa liczy nam urlop na godziny, a nie dni. Gdy chcemy wziąć urlop od poniedziałku do czwartku, to z naszych 26 dni urlopu odlicza osiem i pół godziny za każdy dzień, w przypadku urlopu w piątek, odlicza sześć godzin, a nie cały dzień. Czy jest to zgodne z przepisami? Drugie pytanie również jest związane z urlopem. Kiedy chcę wziąć dzień urlopu i powiadamiam o tym kadrową z kilkudniowym wyprzedzeniem, to uznaje ona, że to jest dzień urlopu na żądanie, a nie zwykłego. Tłumaczy to tym, że nie możemy wykorzystać normalnego dnia urlopu przed pójściem na urlop planowany. Czy postępuje zgodnie z prawem?

→ **Zagadnienia związane z urlopem pracowników wojska zostały uregulowane w ustawie z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy”**. Odnosząc się do pierwszego pytania, należy wskazać, że zgodnie z art. 154² §1 ww. ustawy urlop udziela się w dni pracy pracownika w wymiarze godzinowym, odpowiadającym dobowemu wymiarowi czasu pracy pracownika w danym dniu. Przy udzielaniu urlopu w wymiarze godzinowym obowiązuje zasada, że jeden dzień urlopu odpowiada osiemu godzinom pracy. Przysługujący zatem wymiar urlopu jest wyrażony w godzinach, a pracownik ma prawo albo do 160 godzin (20 dni po osiem godzin) albo do 208 godzin urlopu wypoczynkowego (26 dni po osiem godzin). Wobec tego, skoro urlop ma wymiar godzinowy, to jego pula powinna być uszczuplona o taką liczbę godzin, jaką pracownik miałby przepracować w danym dniu lub w dni, w które urlop został mu udzielony. W przypadku stosowania dłuższych niż osmiogodzinna dobowych norm czasu pracy, dzień wolny od pracy ze względu na korzystanie z urlopu nie zawsze będzie równy osiemu godzinom. W opisanym stanie faktycznym jeden dzień wolny od pracy w ramach urlopu będzie równać się

osiemiu i pół godzinom pracy, więc z puli urlopowej pracownika powinno zostać odpisane osiem i pół godziny. W konsekwencji, takie same zasady będą miały zastosowanie, gdy pracownik w danym dniu pracuje mniej niż osiem godzin. Za dzień urlopu, w którym pracownik normalnie powinien przepracować sześć godzin, z puli urlopowej należy odliczyć sześć godzin urlopu.

Nawiązując do drugiej kwestii, trzeba zaznaczyć, że urlopy powinny być udzielane zgodnie z planem urlopów. Z obowiązku sporządzenia planu są zwolnieni ci pracodawcy, u których nie działają związki zawodowe lub u których związki zgodziły się, aby go nie było. W takim przypadku o terminie urlopu decyduje pracodawca po porozumieniu z pracownikiem. Podkreślenia wymaga fakt, że plan urlopów nie obejmuje części urlopu udzielanego pracownikowi na żądanie, czyli nie więcej niż czterech dni urlopu w każdym roku kalendarzowym. Pracownik decyduje o terminie wykorzystania urlopu na żądanie, zgłaszając żądanie jego udzielenia najpóźniej w dniu rozpoczęcia urlopu. Nie ma przeszkód, aby pracownik uczynił to również z odpowiednim wyprzedzeniem, jeżeli chce wcześniej uprzedzić pracodawcę o zamiarze skorzystania z urlopu. O tym, czy urlop jest udzielany w zwykłym trybie, czy też jako urlop na żądanie, decyduje sam pracownik, który powinien wskazać, czy zamierza skorzystać z urlopu na żądanie, czy też z urlopu udzielanego w zwykłym trybie. Gdy pracownik wskaże, że wnioskuje o urlop na żądanie, pracodawca powinien co do zasady go udzielić. Jednocześnie należy zauważyć, że w przypadku gdy pracownik wnioskuje o urlop w trybie zwykłym, który nie jest objęty planem urlopów, pracodawca nie musi wyrażać zgody na jego udzielenie. ■

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych SC

K. Przymięcka & J.P. Przymięcki

Podstawa prawna: ustawa z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy” (DzU 2014 poz. 1502 z późn. zm.) – art. 154² §1, art. 163 §1 i §1¹, art. 167².

/ SPRAWY ŻOŁNIERZY

Wyższa mieszkaniówka

MON planuje zwiększyć świadczenia mieszkaniowe w ponad połowie garnizonów. Więcej pieniędzy żołnierze mieliby dostawać już od 2017 roku.

Resort obrony narodowej przeanalizował wysokość otrzymywanych przez żołnierzy świadczeń mieszkaniowych, która – mimo wzrostu cen wynajmu cywilnych lokali mieszkalnych – nie zmieniła się od sześciu lat. Porównane zostały więc stawki świadczenia ze średnimi cenami wynajmu mieszkań w poszczególnych garnizonach. Analiza wykazała, że w wielu miejscowościach relacja cen rynkowych najmu do wysokości świadczenia zmieniła się na niekorzyść wojskowych.

Dlatego MON zapowiada zmiany w tym zakresie. Zgodnie z propozycjami resortu ma wzrosnąć najniższy wskaźnik. Obecnie obowiązuje on w sześciu garnizonach, m.in. w Drawsku Pomorskim, Nisku, Trzebiatowie i Wędrzynie. Po zmianach ma wzrosnąć z 1,0 do 1,2. W praktyce najniższe świadczenie wynosiłoby nie 300 zł, lecz 360 zł.

W projekcie założono także podwyższenie współczynnika w 57 ze wszystkich 104 garnizonów. Jeśli zaproponowane stawki zostaną utrzymane, więcej pieniędzy dostaną żołnierze służący np. w Brodniczy (wskaźnik wzrośnie z 1,5 do 1,9), Choszcznie (z 1,2 do 1,8), Elblągu (z 1,6 do 1,9), Dęblinie (z 1,2 do 1,6), Głogowie (z 1,0 do 1,9), Osowcu (z 1,1 do 1,8) Ustce (z 1,9 do 2,8) i Zegrzu (z 2,1 do 2,5). Bez zmian pozostaną wskaźniki m.in. w Siedlcach, Słupsku oraz miastach, w których świadczenie było najwyższe i obliczane według wskaźnika 3,0, np. w Warszawie, Szczecinie, Krakowie i we Wrocławiu.

Jeśli zmiany wejdą w życie, najniższy wskaźnik (1,2–1,4) będzie miało osiem garnizonów – tam wysokość świadczenia wyniesie

360–420 zł. W największej liczbie garnizonów, bo w aż 55, będzie obowiązywał wskaźnik 1,5–2,0. Tam żołnierze otrzymywaliby 450–600 zł. Dla 25 garnizonów z kolei ustalono wskaźnik 2,1–2,5 (630–750 zł). Najwyższe wskaźniki, czyli od 2,6 do 3,0, określono w 16 garnizonach. Tam wysokość świadczenia wyniosłaby od 780 do 900 zł.

Od 2013 roku średnie miesięczne świadczenie mieszkaniowe dostaje około 52 tys. żołnierzy zawodowych. W pierwszym półroczu 2016 roku wypłacono 311 844 (miesięcznie średnio 51 974) świadczenie w kwocie prawie 201 mln zł. Bazując na takich danych, MON oszacowało też finansowe skutki zmian w projekcie rozporządzenia. Po uwzględnieniu liczby wypłat świadczenia oraz jego kwoty (na podstawie danych z kwietnia 2016 roku) i przy założeniu, że liczba wypłat jest taka sama, należy przyjąć, iż prognozowana roczna kwota dotacji budżetowej wzrosłaby o mniej więcej 21,9 mln zł. Gdy liczba beneficjentów wzrosnie do 55 tys., to roczna kwota dotacji zwiększy się, szacunkowo, o około 23,4 mln zł. Zmiany mają wejść od 1 stycznia 2017 roku.

Świadczenie mieszkaniowe jest wypłacane od 2010 roku. Pieniądze otrzymane z wojska żołnierze przeznaczają najczęściej na wynajem lokali na cywilnym rynku.

Stawka podstawowa świadczenia wynosi 300 zł. Tę kwotę mnoży się przez współczynnik, który w zależności od garnizonu zawiera się w przedziale od 1,0 do 3,0. W praktyce żołnierze dostają więc od 300 zł do 900 zł. Średnia wysokość świadczenia to dziś nieco ponad 644 zł. PG/PZ ■

Zmiany w testach sprawnościowych

Do końca marca 2017 roku powołany przez ministra Antoniego Macierewicza zespół ma opracować nowe normy i kryteria oceny sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych.

W resorcie obrony narodowej trwają prace nad zmianami w egzaminach sprawnościowych w wojsku. Zajmuje się tym powołany przez ministra, liczący 37 osób, specjalny zespół. Według MON-u zmiany są konieczne, bo dzisiejsza forma sprawdzianów nie zawsze odzwierciedla faktyczną sprawność wojskowych. W opinii inicjatorów nowej formuły, przedstawiciele zarządów: Planowania Użycia Sił Zbrojnych oraz Szkolenia Sztabu Generalnego, szkolenie fizyczne oraz ocena sprawności wymagają dostosowania do potrzeb Sił Zbrojnych RP.

Mają zostać opracowane ćwiczenia i normy, jakie muszą spełniać żołnierze, zróżnicowane ze względu na płeć, grupy wiekowe oraz jednostki wojskowe i zajmowane stanowiska służbowe. Ponadto zostaną przygotowane nowe zasady i kryteria oceny sprawdzianu oraz warunki jego przeprowadzania.

Zmiany mają też uporządkować bieżące szkolenie z wychowania fizycznego na różnych szczeblach dowodzenia. Choć teraz żołnierz może w ramach służby dwukrotnie w ciągu tygodnia uczestniczyć w zajęciach z WF-u, nie zawsze, ze względu na obowiązki lub brak ochoty, z nich korzysta. Dlatego będzie opracowana instrukcja, która pomoże realizować bieżące szkolenie z wychowania fizycznego. Prace zespołu autorskiego potrwać do końca marca 2017 roku.

Do egzaminów z WF-u żołnierze podchodzą raz w roku. Obecnie mundurowi muszą zaliczyć trzykilometrowy marszobieg (kobiety – na 1000 m) lub pływanie. Każdego czekają też zadania sprawdzające siłę (podciąganie na drążku lub skłony tułowia w ciągu dwóch minut) oraz sprawność i zwinność (bieg po kopcach lub wymiennie tzw. bieg wahadłowy 10x10 m). PG/PZ ■

Wyrównanie wojskowych wynagrodzeń

Okolo 250 żołnierzy otrzyma wyrównanie utraconej przez nich części dodatku za długoletnią służbę wojskową.

Propozycje MON-u dotyczą żołnierzy, którzy zostali wyznaczani na niższe stanowiska służbowe albo na takie, które są zaszerogowane w ramach jednego stopnia do niższej grupy uposażenia. Zgodnie z ustawą pragmatyczną, choć obecnie zajmują oni niższe stanowisko, to przysługuje im wynagrodzenie zasadnicze (bez dodatków) według stawki zachowanej, czyli tej należnej na poprzednim, wyższym stanowisku.

Okazało się jednak, że tacy żołnierze stracili finansowo. Stało się to wówczas, gdy do wojskowych wynagrodzeń włączono 300-złotowy dodatek za długoletnią służbę wojskową. Żołnierzy zajmujących niższe stanowiska, a więc i z niższą grupą, podwyżka ta nie objęła.

Teraz MON planuje wyrównać im utraconą część wynagrodzenia. Propozycje takie, w formie przepisów przejściowych, zostały wpisane do projektu zmian rozporządze-

nia w sprawie dodatków do wynagrodzeń. Po wejściu w życie przepisów, wyrównanie utraconej części dodatku do wynagrodzenia otrzyma w sumie około 250 żołnierzy. Jego wysokość będzie równa różnicy pomiędzy wynagrodzeniami zasadniczymi wraz z dodatkami otrzymanymi 31 grudnia 2015 roku a dodatkiem należnym w dniu 1 stycznia 2016 roku. Pieniądze mają zostać naliczone od 1 stycznia 2016 roku. PG/PZ ■

/ WETERANI PYTAJĄ

POMOC PSYCHOLOGICZNA DLA BLISKICH

Czy jako partnerka żołnierza mogę skorzystać poza kolejnością z bezpłatnej pomocy psychologicznej udzielanej przez psychologa „wojskowego”? Mój partner brał udział w misji w Afganistanie. Wrócił stamtąd zmieniony – z młodego mężczyzny pełnego życia stał się zamkniętym w sobie człowiekiem, który nie panuje nad agresją. Jego zachowanie ma zły wpływ na całą rodzinę i środowisko, w którym funkcjonuje.

→ **Jeżeli psychiczne problemy żołnierza są związane z działaniami poza granicami państwa, weteran, weteran uszkodzony** (należy mieć taki status przyznany decyzją ministra obrony narodowej) **oraz najbliżsi członkowie rodzin mogą bez skierowania i poza kolejnością skorzystać z bezpłatnej pomocy psychologicznej** udzielanej w jednostkach wojskowych, wojskowych pracowniach psychologicznych oraz w zakładach opieki zdrowotnej utworzonych i nadzorowanych przez ministra obrony narodowej.

Za najbliższego członka rodziny uważa się małżonka, wstępnych (dzieci, wnuki itd.), rodzeństwo oraz osobę pozostającą we wspólnym pożyciu z weteranem lub weteranem uszkodzonym. Sformułowanie „osoba pozostająca we wspólnym pożyciu” nie zostało, jak dotąd, nigdzie zdefiniowane, co może sprawiać pewne kłopoty podczas dokonywania oceny, kto – oprócz wymienionych wyżej osób – może skorzystać z pomocy psychologicznej poza kolejnością.

Zgodnie z poglądem wyrażanym przez sądy podczas wyrokowania, za osobę pozostającą we wspólnym pożyciu należy uznać osobę związaną więzią duchową (emocjonalną) fizyczną oraz gospodarczą (wspólne gospodarstwo domowe) z inną osobą. Przy czym istnienie takiej relacji jest, według sądów, możliwe także wtedy, gdy któregoś spośród powyższych rodzajów więzi zabraknie i ten brak jest obiektywnie usprawiedliwiony. Kierując się tym stanowiskiem, można by uznać, że Pani, jako partnerka weterana, jest uprawniona do skorzystania z bezpłatnej pomocy psychologicznej poza kolejnością.

Udzielana pomoc może mieć formę krótkoterminową, która obejmuje diagnozę psychologiczną, konsultację, poradę, interwencję i terapię krótkoterminową. Może być też udzielana jako długoterminowa, obejmująca diagnozę zaburzeń psychicznych, terapię indywidualną oraz grupową, w tym rodzinną. ■

IZABELA STELMACH

Podstawy prawne: ustawa z 19 sierpnia 2011 roku o weteranach działań poza granicami państwa; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 12 marca 2012 roku w sprawie pomocy psychologicznej udzielanej weteranowi-żołnierzowi lub weteranowi uszkodzonymu-żołnierzowi oraz najbliższemu członkowi jego rodziny; decyzja nr 145/MON z 28 kwietnia 2015 roku w sprawie działalności psychologicznej w resorcie obrony narodowej.

POMOC PSYCHOLOGICZNA UDZIELANA JEST PO OKAZANIU:

- w przypadku uczestników misji – legitymacji weterana lub weterana uszkodzowanego;
- w przypadku najbliższego członka rodziny – pisemnego oświadczenia weterana lub weterana uszkodzowanego, że dana osoba spełnia warunki bycia najbliższym członkiem rodziny. Oświadczenie musi też zawierać numer legitymacji weterana lub weterana uszkodzowanego, albo – gdy złożenie pisemnego oświadczenia przez weterana lub weterana uszkodzowanego jest niemożliwe ze względu na jego stan zdrowia – pisemnej deklaracji przedstawionej przez członka rodziny, że spełnia on warunki skorzystania z pomocy wraz z numerem legitymacji weterana lub weterana uszkodzowanego.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

/ POMOCNICY ESKULAPA

NIE TYLKO DLA GROM-U



Z Krzysztofem Karwanem

o najnowszym sprzęcie wykorzystywanym w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie, w tym o pompie do szybkich przetoczeń krwi, rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Jakim nowoczesnym wyposażeniem może się pochwalić dzisiaj szpital resortu obrony? Czy podążacie za nowinkami medycznymi?

Wojskowy Instytut Medyczny jest w okresie intensywnego rozwoju. Od 2010 roku, jako jedyny podmiot nadzorowany przez MON, Wojskowy Instytut Medyczny ma status centrum urazowego. Wymaga to od nas ciągłego doskonalenia kadr oraz dostępu do najnowocześniejszych urządzeń medycznych. Dysponujemy całodobowym lądowiskiem, nowoczesnym szpitalnym oddziałem ratunkowym. Mamy specjalistyczne kliniki zabiegowe, nowoczesny oddział intensywnej terapii. Zakład Radiologii Lekarskiej jest wyposażony w najnowszy sprzęt do obrazowania obrażeń ciała, w tym najwyższej jakości tomograf komputerowy, angiograf i rezonans magnetyczny. W leczeniu patologii układu sercowo-naczyniowego wykorzystujemy salę hybrydową. Współpracujemy z wiodącymi ośrodkami naukowymi na całym świecie. Najnowszym projektem WIM-u jest powstające Centrum Symulacji Medycznej. Będzie to ośrodek dydaktyczny, w którym pod okiem naszych specjalistów będzie się szkolił personel medyczny, zarówno cywilny, jak i wojskowy.

Nowością w WIM-ie jest także pompa do szybkich przetoczeń krwi.

Od roku używamy pompy do szybkich przetoczeń. Urządzenie to jest wykorzystywane w przypadku konieczności prowadzenia resuscytacji okołourazowej u pacjenta będącego we wstrząsie krwotocznym.

Pompa trafiła do warszawskiego szpitala na ul. Szerów prosto z Afganistanu...

Rzeczywiście używano jej w polskim szpitalu polowym w bazie w Ghazni. Po rotacji do kraju została przekazana jednostce GROM. Dzięki różnym porozumieniom oraz współpracy WIM-u i GROM-u urządzenie zostało nam czasowo użyte.

Dlaczego do wyposażenia naszych specjalsów trafił taki sprzęt medyczny?

Urządzenia tego typu są rutynowo wykorzystywane w centrach urazowych w USA i znajdują się w wyposażeniu personelu medycznego armii amerykańskiej. Polscy żołnierze również musieli pozyskać taki sprzęt. Wynikało to z konieczności unifikacji aparatury medycznej stosowanej w rejonie misji. Chodziło także o zapewnienie najwyższych standardów leczenia żołnierzy w Afganistanie.

Ile krwi można przetoczyć pacjentowi w ciągu minuty?

W zależności od producenta, pompa jest w stanie przetoczyć do 750 ml krwi na minutę. To bardzo dobry wynik, zwłaszcza jeśli dotyczy pacjentów z masywnym krwotokiem, który powstał np. w wyniku postrzału z uszkodzeniem narządów wewnętrznych czy ekspozycji na IED. Pompa pozwala szybko uzupełnić straty krwi i wyrównać hemodynamicznie pacjenta. Dodatkową zaletą jest możliwość ogrzewania przetaczanych składników, co zabezpiecza przed powikłaniami wynikającymi z hipotermii.

Czy może Pan podać przykłady zastosowania takiej pompy?

Najbardziej utkwił mi w pamięci pierwszy pacjent. Był to kierowca, który doznał wielonarządowych obrażeń ciała. Gdy został do nas przyjęty, był nieprzytomny i we wstrząsie krwotocznym. Za pomocą USG stwierdziliśmy obecność płynu w jamie otrzewnowej, co, wzięwszy pod uwagę mechanizm urazu, obraz kliniczny i parametry fizjologiczne pacjenta, wskazywało na krwotok. Podjęliśmy decyzję o doraźnej operacji poprzedzonej procedurą masywnej infuzji, do której po raz pierwszy użyliśmy pompy. Wszystko trwało niespełna 14 minut i pacjent przeżył. ■

Płk dr n. med. KRZYSZTOF KARWAN jest zastępcą komendanta Centrum Kształcenia Podyplomowego ds. Medycznych Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

MO F I N L A N D I I



TADEUSZ WRÓBEL

FIŃSKI KWARTET

**Wprowadzenie do służby nowych korwet zwiększy
możliwości marynarki wojennej Finlandii
do działań poza wodami przybrzeżnymi.**



D

owództwo Logistyki Fińskich Sił Obrony (Puolustusvoimien logistiikkalaitos) podpisało 14 września 2016 roku list intencyjny z firmą Rauma Marine Constructions w sprawie budowy czterech okrętów wojennych zdolnych do działań w warunkach lodowych. Tym samym została uruchomiona kolejna faza programu „Laivue 2020”, który przewiduje wyposażenie fińskiej marynarki wojennej w latach 2019–2024 w wielozadaniowe korwety, mające zastąpić obecnie używane małe okręty raketowe i stawiacze min. Formalną zgodę na rozpoczęcie programu wydał we wrześniu 2015 roku minister obrony Jussi Niinistö.

JEDNOSTKI WIELOFUNKCYJNE

Oprócz Rauma Marine Constructions w mieście Rauma były brane pod uwagę jeszcze dwie inne stocznie fińskie, które mają zdolności do budowy tej wielkości jednostek pływających – Artech Helsinki i Meyer Turku. Atutem firmy z Raumy było z pewnością to, że już w 2015 roku zawarła porozumienie w sprawie współpracy przy realizacji programu z Patrią. Słabością zaś Artech Helsinki był rosyjski właściciel. Przy czym stocznia będzie odpowiadać tylko za samą budowę, a pracami projektowymi mają się zajmować siły zbrojne.

W internecie pojawiły się wersje graficzne nowych fińskich okrętów, z których można wnioskować o pewnych rozwiązaniach konstrukcyjnych. Jednym z nich są dwa maszty. Przedni, większy, ma kształt ściętej piramidy i jest zintegrowany z czterema panelami antenowymi radaru stałego. Według publikacji w serwisie Corporal Frisk, na szczycie jest widoczna prawdopodobnie antena systemu wsparcia walki elektronicznej. Kolejne anteny znajdują się na tylnym maszcie. Serwis zasugerował, że taka dwumasztowa konfiguracja jest bardzo podobna

do rozwiązań zastosowanych w projektach MEKO – niemieckiego holdingu stoczniowego ThyssenKrupp Marine Systems GmbH, np. oferowanego przed laty Australii MEKO-D.

Niektóre publikacje określają przyszłe fińskie okręty jako duże patrolowce (offshore patrol vessel), ale jest to błędem ze względu na przewidywane ich uzbrojenie, które raczej odpowiada standardowi korwety. Według Corporal Frisk, ulokowana na dziobie wieża przypomina tę Mk45 Mod. 4 firmy BAE Systems uzbrojoną w armatę kalibru 127/62 mm, ale w rzeczywistości, ze względu na rozmiary, na fińskich jednostkach prawdopodobnie będzie zamontowana mniejsza armata, 76-milimetrowa. Za wieżą, na grafice jest widoczny moduł z pionowymi wyrzutniami rakiet. Na szczycie nadbudówki zaś, pomiędzy masztami można dostrzec dwie poczwórne wyrzutnie pocisków przeciwookrętowych. Nie widać natomiast na grafikach artyleryjskiego zestawu obrony bezpośredniej.

Nie ma żadnych konkretnych informacji o napędzie fińskich korwet, ale materiał z Corporal Frisk sugeruje, że będą miały dwa okrętowe wały napędowe, każdy z pojedynczą śrubą. Nie określono też ich ostatecznych wymiarów i wyporności. Ta ostatnia, według serwisu IHS Jane's, ma wynosić około 2500 t. Z udostępnionych przez ministerstwo obrony Finlandii wizji graficznych można stwierdzić, że fińskie jednostki będą miały na rufie lądowisko i hangar. Przy czym ich rozmiary wskazują, że będą mogły operować z nich tylko lekkie śmigłowce lub bezzałogowe statki powietrzne.

CZTERY ZA SZEŚĆ

Finowie doszli do wniosku, że lepiej zbudować nowe okręty, niż przedłużać użytkowanie starych. Ich wprowadzenie do służby pozwoli na utrzymanie na odpowiednim poziomie zdolności bojowych fińskich sił morskich. Zgodnie z przyjętym przez resort obrony harmonogramem fazy



KOSZTY PROGRAMU „LAIVUE 2020” OSZACOWANO NA OKOŁO 1,2 MLD EURO. JEDNAK OSTATECZNĄ KWOTĘ POZNAMY WTEDY, GDY FORMALNY WNIOSEK W SPRAWIE ZAAKCEPTOWANIA JEGO FINANSOWANIA WPŁYNIE DO FIŃSKIEGO PARLAMENTU



planistyczną programu „Laivue 2020” zaplanowano na lata 2015–2018. 18 grudnia 2015 roku resort obrony wystosował do potencjalnych dostawców, 80 firm krajowych i zagranicznych, prośbę o informacje i dał im trzy miesiące na ich udzielenie. Na przełomie lat 2016 i 2017 ma być wystosowane zapytanie ofertowe. Kontrakt prawdopodobnie będzie podpisany na początku 2019 roku i natychmiast ma ruszyć budowa pierwszej jednostki. Ostatnia powinna być gotowa w 2024 roku. Finowie planują, że korwety będą im służyły przez co najmniej 35 lat. Cztery nowe jednostki mają zastąpić do 2025 roku sześć obecnie użytkowanych okrętów wojennych fińskiej marynarki.

Cztery z nich to małe okręty rakietowe typu Rauma, zbudowane w latach 1990–1992 przez stocznie Hollming i Finnyards. Pierwszy, „Rauma”, wszedł do służby 18 października 1990 roku, a ostatni, „Naantali”, 23 czerwca 1992 roku.

Okręty typu Rauma mają 48,5 m długości, 8 m szerokości, zanurzenie 1,5 m, a wyporność 240 t. Napęd tworzą dwa silniki wysokoprężne MTU 16V 538 TB93 i dwa pędniki strugowodne Riva Calzoni IRC 115, które zapewniają prędkość do 30 w. Podstawową bronią jest sześć przeciwokrętowych pocisków RBS-15 (lokalne oznaczenie MTO85M) o zasięgu do 200 km. Poza tym fińskie okręty dysponują armatą Boforsa L/70 kalibru 40 mm, dwoma moździerzami Saab Elma ASW-600 do zwalczania okrętów podwodnych i dwoma wielkokalibrowymi karabinami

maszynowymi NSW kalibru 12,7 mm. Jednostki wyposażono też w zrzutnie min. Część publikacji podaje, że mają również wyrzutnię pocisków przeciwlotniczych Mistral.

Pozostałe dwa okręty zastąpione przez korwety to dwa stawiacze min typu Hämeenmaa, które weszły do służby w 1992 roku. Trzeci stawiacz min, typu Pohjanmaa, z lat siedemdziesiątych XX wieku, wycofano z linii w 2013 roku.

Długość okrętu typu Hämeenmaa wynosi 77,8 m, szerokość 11,5 m, a zanurzenie 3 m. Fińska jednostka ma 1450 t wyporności. Jej napęd składa się z dwóch silników Diesla Wärtsilä Vasa 16V22, które napędzają dwie śruby i zapewniają mu prędkość do 20 w. Okręt wyposażono w cztery zrzutnie min morskich, których może zabrać, według różnych publikacji, od 120 do 150. Poza tym stawiacz min jest uzbrojony w armatę Bofors L/70 SAK Mk1 kalibru 57 mm, pionową wyrzutnię pocisków przeciwlotniczych Umkhonto-IR z ośmioma celami, dwie wyrzutnie rakietowych bomb głębinowych RBU-1200 i dwie zrzutnie ładunków głębinowych. Uzupełnieniem okrętowego arsenału są dwa granatniki automatyczne kalibru 40 mm i tyleż samo karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm.

Wprowadzenie do służby nowych korwet zwiększy możliwości marynarki wojennej Finlandii do działań poza wodami przybrzeżnymi. Finowie będą mieli jeszcze cztery małe okręty rakietowe typu Hamina, które weszły do służby w latach 1998–2006. ■

Mowa jest naturalnym i najefektywniejszym sposobem międzyludzkiej komunikacji. Z wielu badań antropologicznych wynika, że właśnie umiejętność artykulacji i rozumienia mowy wywindowała nas jako gatunek na szczyt drabiny ewolucyjnej. W dobie technologii cyfrowych, w warunkach dużego zagrożenia cyberprzestępczością, pojawiło się wiele pomysłów na wykorzystanie mowy do poprawy bezpieczeństwa. W niniejszym artykule omówiono dwa biegunowe zagadnienia. Jedno dotyczy automatycznego rozpoznawania mówców, drugie steganografii, czyli ukrywania dodatkowej informacji identyfikacyjnej w sygnale mowy. Rozpoznawanie mówcy polega na wyizolowaniu z sygnału mowy cech dystynktywnych charakterystycznych dla konkretnej osoby, natomiast zadaniem steganografii jest takie ukrycie w nim informacji, aby osoba postronna odsłuchująca nagranie nie mogła jej zauważyć i odkodować. W odróżnieniu od kryptografii, w przypadku której obecność komunikatu nie jest negowana, a niejawną pozostaje tylko jego treść, zadaniem steganografii jest ukrycie samego faktu komunikacji.

Za pomocą mowy człowiek wyraża swoje myśli i zamiary, ale mowa niesie również informacje pozawerbalne, które indywidualizują mówcę. Niezależnie od treści wypowiedzi można ocenić jego stan emocjonalny bądź stwierdzić, kim jest osoba mówiąca. Jeśli chodzi o identyfikowanie znajomych głosów, zdolności słuchowe człowieka osiągają niewiarygodnie wysoki poziom. Niestety, znacznie gorzej jest z rozpoznawalnością w dużej grupie słabiej znanych głosów. Automatyczne systemy rozpoznawania mówców są więc dedykowane do przesiewowych badań identyfikacyjnych w stosunkowo dużych zbiorach głosów.

W odniesieniu do automatycznego rozpoznawania mowy już na wstępie rozważań pojawia się wiele możliwości. Należy zatem podjąć decyzję, który wariant systemu będzie rozwijany. Po pierwsze, trzeba ustalić, czy system ma być zależny, czy niezależny od treści wypowiedzi. Po drugie, należy zdecydować się na konkretną jakość sygnału mowy, czyli czy musi być wysokiej jakości, czy też stosunkowo niskiej, jak np. głos przekazywany za pomocą telefonu.

ANDRZEJ DOBROWOLSKI, ZBIGNIEW PIOTROWSKI

GŁOS JAKO NOŚNIK NATURALNYCH I SZTUCZNYCH CECH IDENTYFIKACYJNYCH

Najwięcej zastosowań mają systemy niezależne od treści i języka wypowiedzi, operujące na sygnałach mowy o niskiej jakości. Takie właśnie są projektowane na Wydziale Elektroniki WAT. Rolą projektanta systemu jest przetworzenie sygnału mowy w celu wyekstrahowania z niego niewielkiego zbioru cech dystynktywnych, które powinny charakteryzować się małą zmiennością wewnątrzosobniczą oraz dużą zmiennością międzypersonalną, a także niezależnością od intonacji wypowiedzi i odpornością na próby naśladowania głosu. Ponadto liczba cech nie powinna być zbyt duża, a algorytm musi zapewnić możliwość ich ekstrakcji z ekstremalnie krótkich fragmentów mowy.

Pierwotną i podstawową formą, w której rejestruje się sygnał mowy, jest przebieg czasowy. Dziedzina czasu nie jest jednak najważniejsza do przeprowadzania dalszych operacji, ponieważ sygnał mowy charakteryzuje się w niej bardzo dużą nadmiarowością. Znacznie efektywniejsza z punktu widzenia dalszego przetwarzania jest analiza jego widma. Jednym z głównych powodów takiego podejścia jest próba naśladowania natury, która w procesie milionów lat ewolucji wykształciła organ słuchu interpretujący widmo docierających do ucha dźwięków. Widmo odzwierciedla zawartość w zarejestrowanym dźwięku drgań sinusoidalnych o różnych częstotliwościach.

W procesie generacji mowy biorą udział struny głosowe oraz trakt głosowy obejmujący głównie jamę ustną i nosową oraz język i usta. W czasie wymawiania głosek dźwięcznych drgające struny głosowe wytwarzają tzw. ton krtaniowy, a jego barwa, związana z anatomiczną budową głośnia, niesie trudną do podrobienia informację osobniczą. Strumień powietrza o określonej w głośni barwie, przechodząc przez trakt głosowy, jest modyfikowany w stosunkowo powolnym procesie artykulacji. W efekcie widmo sygnału mowy jest iloczynem widma tonu krtaniowego i wolnozmiennnej charakterystyki traktu głosowego. Przeprowadzając tzw. analizę cepstralną, można wyizolować składową szybkozmienną niosącą informację osobniczą i wyekstrahować odcisk głosu niezależny od wypowiedzianych treści. Wynik identyfikacji zależy od odległości sprawdzanego odcisku głosu od najbliższych odcisków w bazie systemu.

System opracowany na Wydziale Elektroniki WAT osiągnął w 96% skuteczność w zbiorze stu głosów o jakości telefonicznej, przy czym czas trwania nagrań testujących wynosił 5 s.

Sygnał mowy może być również nośnikiem sztucznych cech identyfikacyjnych. Tutaj z pomocą przychodzi technika ukrywania danych. Pod względem dodatkowej zawartości informacyjnej można ją podzielić na steganografię, czyli zestawianie skrytych kanałów

komunikacyjnych, oraz watermarking, czyli osadzanie w sygnale dodatkowego sygnału, który jest odporny na próby jego usunięcia.

Na Wydziale Elektroniki WAT, wspólnie z firmą Radmor SA, opracowano mikrotelefon z funkcją skrytego uwierzytelniania abonenta MAK-1. Urządzenie to oznacza mowę skrytym stemplem binarnym podczas prowadzonej korespondencji radiowej z użyciem taktycznej radiostacji pola walki. Stempel binarny, reprezentowany przez tzw. znak wodny, jest dekodowany po stronie odbiorczej i porównywany z tym, który jest przechowywany w pamięci urządzenia. Zgodność tych stempli potwierdza tożsamość abonenta. Użytkownik wcześniej musi zalogować się do samego aparatu albo za pomocą PIN-u, albo za pomocą głosu. MAK-1, poza numerycznym potwierdzeniem tożsamości, umożliwia numeryczne potwierdzenie wydanego rozkazu.

Wydział Elektroniki WAT, przy wsparciu MON, intensywnie rozwija technologie ukrywania danych w różnych mediach transmisyjnych, m.in. w sygnałach radiowych, akustycznych i wizyjnych oraz w protokołach komunikacyjnych. Opracowano następujące modele i prototypy urządzeń: sprzętowy token znaku wodnego (do identyfikacji abonentów popularnych komunikatorów), terminal steganograficzny (do skrytej transmisji danych), broker tożsamości głosowej (do czasowego cedowania swojej tożsamości głosowej na innego abonenta), transkoder steganograficzny (do zamiany formatu i medium transmisji z wykorzystaniem tzw. mostu programowo-sprzętowego). Zaimplementowano również sprzętowy router i botnet steganograficzny.

W przestrzeni cybernetycznej przeniesienie walki do warstwy steganograficznej stało się faktem. To, kto osiągnie w niej przewagę, zależy między innymi od zdolności i szybkości wdrażania systemów steganograficznych klasy stealth, które są niewykrywalne nie tylko w dziedzinie percepcji słuchowej i wizyjnej, lecz także steganoanalitycznej. Odporność steganoanalityczna oznacza brak podatności sygnału ze skrytym przekazem na możliwość rozpoznania i detekcji przez zaawansowane algorytmy komputerowe przeciwnika, często wspierane superkomputerami o znacznej mocy obliczeniowej. Wyścig technologiczny o dominację w tej dziedzinie trwa... ■

Dr hab. inż. ANDRZEJ
DOBROWOLSKI oraz
płk dr hab. inż. ZBIGNIEW
PIOTROWSKI są profesorami
nadzwyczajnymi Wojskowej
Akademii Technicznej.





**II Forum Bezpieczeństwa
Morskiego Państwa**

**19 stycznia 2017
Warszawa**

**szczegółowe informacje:
www.fbm.ztw.pl**



CZECHY

Odrzutowce do nauki

Szkolnymi odrzutowcami nowej generacji L-39NG są zainteresowane czeskie siły powietrzne.

Gen. mjr Jaromír Šebesta, nowy dowódca czeskiego lotnictwa wojskowego, w czasie wizyty w firmie Aero Vodochody Aerospace a.s. zapowiedział, że pierwszym nabywcą L-39NG będą Czechy. Samoloty te trafią do ośrodka szkolenia lotniczego w Pardubicach, który w przyszłości ma się stać centrum przygotowującym pilotów z Europy Środkowo-Wschodniej. L-39NG jest najnowszą ofertą spółki Aero Vodo-

L-39NG jest najnowszą ofertą spółki Aero Vodochody Aerospace a.s.

chody Aerospace a.s., jednego z największych na świecie producentów szkolnych odrzutowców i lekkich samolotów bojowych. W latach 1963–1974 wyprodukowano tam około 3,5 tys.

sztuk L-29 Delfin. W 1970 roku uruchomiono produkcję nowszej konstrukcji, czyli L-39 Albatros (powstało 2,9 tys. egzemplarzy), a w latach dziewięćdziesiątych XX wieku – L-59 Super Albatros (60 sztuk). Czeskim siłom powietrznym w latach 1999–2003 firma ta dostarczyła 72 lekkie samoloty bojowe L-159 Alca. WW ■

VODOCHODY AEROSPACE

CHINY

Oferta na eksport

Nowy średni czołg VT-5 zaprezentowała firma China North Industries Group Corp., bardziej znana jako Norinco, na wystawie zbrojeniowej w Zhuhai.

To eksportowa wersja pojazdu opracowanego dla chińskiej armii, który zastąpi wycofane w 2013 roku ze służby lekkie czołgi typ 62. Ten wóz jest lżejszy od podstawowego i waży tylko 36 t. Jego główne uzbrojenie stanowi gwintowana armata kalibru 105 mm, z której można strzelać przeciwpancer-

nymi pociskami kierowanymi. Ponadto VT-5 ma na wieży zdalnie sterowany karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Załoga składa się z trzech osób. Chińczycy liczą na to, że ich nowy pojazd zainteresuje państwa Azji i Afryki, w których, ze względu na warunki terenowe, nie sprawdzają się cięższe czołgi, takie jak będący w ofercie Norinco 52-tonowy VT-4. WR ■



NORINCO

USA

Nowa armata

Amerykańskie wojska lądowe dostały pierwszy prototyp kołowego wozu bojowego Stryker, oznaczony jako XM 1296, który został uzbrojony w zdalnie sterowaną wieżę **Kongsberg MCT-30** z armatą kalibru 30 mm. W ewentualnej konfrontacji z rosyjskimi wozami pancernymi jest bowiem potrzebne silniejsze uzbrojenie niż moduł z wielkokalibrowym karabinem maszynowym 12,7 mm. W lipcu 2015 roku zdecydowano więc o wyposażeniu 81 wozów w armatę. Strykery z mocniejszym uzbrojeniem mają od maja 2018 roku trafiać do stacjonującego w Niemczech 2 Pułku Kawalerii. TED ■



ROYAL NAVY

WIELKA BRYTANIA

Prezent urodzinowy

Brytyjska piechota morska świętuje 352. rocznicę powstania. Z tej okazji pierwszy raz w powietrze wzbił się zmodernizowany śmigłowiec **Merlin Mk4**, który zastąpi wersję Mk3, używaną w 845 i 846 Dywizjonach Lotnictwa Morskiego,

wspierających 3 Brygadę Komandosów Królewskiej Piechoty Morskiej. Pod koniec 2017 roku do działań na pierwszej linii ma być gotowy jeden merlin Mk4, a po trzech latach zostanie zmodernizowanych już 25 maszyn. WR ■

INDIE

Wielki plan

Siły powietrzne Indii kupią setki samolotów wielozadaniowych, jeśli zagraniczny oferent zdecyduje się na współpracę z lokalnym partnerem i uruchomi na miejscu produkcję.



INDIAN AIR FORCE

INDIE

Więcej czołgów

Napięcie w stosunkach z Pakistanem jest jednym z powodów decyzji armii indyjskiej o zakupie kolejnej partii czołgów.

Serwis India Today poinformował, że w Indiach zostaną wyprodukowane na rosyjskiej licencji 464 wozy **T-90MS**. W depeszy agencji TASS pojawiła się sugestia, że kontrakt nie dotyczy dodatkowych czołgów. Jest to natomiast modyfikacja umowy z 2006 r. na licencyjną produkcję tysiąca T-90S w zakładzie w Avadi. Teraz 464 egzemplarze mają w konfiguracji MS. Na podstawie umów z 2001, 2006 i 2007 roku Indie zamówiły 1657 T-90S, z których 248 gotowych dostarczono z Rosji, 409 zmontowano

w kraju z otrzymanych zestawów, a 200–300 wyprodukowano od 2009 r. na licencji. Nowe czołgi trafią do dziesięciu pułków indyjskiej armii. Tym samym liczba jednostek wojsk lądowych Indii wyposażonych w T-90 zwiększy się do 28. WROB ■



Hindusi potrzebują 200 jednosilnikowych maszyn, którymi zastąpią przestarzałe myśliwce MiG-21 (na zdjęciu) i MiG-27. Zamówienie może nawet zostać rozszerzone do 300 egzemplarzy, co będzie kosztować 13–15 mld dolarów. Amerykański koncern Lockheed Martin chciałby przenieść do Indii produkcję F-16, ale te samoloty byłyby oferowane nie tylko indyjskiemu lotnictwu wojskowemu. Intratnym zamówieniem jest zainteresowany też szwedzki SAAB, producent gripenów. Boeing natomiast zaoferował Hindusom F/A-18. Gdy ostatecznie nie udało się podpisać kontraktu na produkcję w Indiach francuskich samolotów Rafale, sytuacja sprzętowa tamtejszych sił powietrznych stała się bardzo trudna. Są bowiem problemy z wytwarzaniem rodzimej lekkiej maszyny bojowej Tejas. Z zamówionych 140 sztuk otrzymano dotąd zaledwie trzy. Siły powietrzne Indii mają tylko 32 dywizjony bojowe, a ich potrzeby oszacowano na co najmniej 45. TWR ■



nr 36.

*Szeregowy, 14 Pułk Artylerii
Przeciwpancernej (2005 rok)*

rys. Monika Rokicka



NR 36.

UBIÓR POLOWY

SZEREGOWY, 14 PUŁK ARTYLERII PRZECIWPANCERNEJ (2005 ROK)

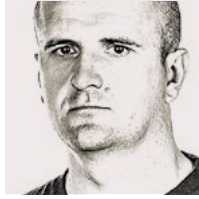
Przedstawiamy żołnierza 14 Pułku Artylerii Przeciwpancernej w ubiorze polowym wzór 1993, w kamuflażu pantera. Na prawym rękawie kurtki widać oznakę przynależności państwowej. Na głowie żołnierz ma stalowy hełm bojowy wzór 67. Ubioru dopełniają trzewiki ćwiczebne. Szeregowy ma wyposażenie starego typu. Na parczanym pasie z metalową klamrą z napisem „WP” jest podpięta, wykonana z tego samego materiału, ładownica na magazynki do karabinka szturmowego AKMS-47. Broń tę ma przewieszoną przez prawe ramię. Przy prawym boku widoczna jest torba z maską przeciwgazową MP-4, tzw. buldogiem. ■



14 PUŁK ARTYLERII PRZECIWPANCERNEJ

Jednostka powstała w 1967 roku w wyniku przemianowania 101 Pułku Artylerii Przeciwpancernej. Do 1994 roku stacjonowała w Kwidzynie. Następny jej garnizonem stały się Suwałki. Wówczas pułk wchodził w skład 15 Warmińsko-Mazurskiej Dywizji Zmechanizowanej. 4 września 1995 roku 14 Pułk Artylerii Przeciwpancernej otrzymał nazwę wyróżniającą „Suwalski” i imię marszałka Józefa Piłsudskiego. W lipcu 1999 roku przeszedł w podporządkowanie 1 Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Od października 2001 roku, po kolejnej restrukturyzacji wojsk lądowych, podlegał I Korpusowi Zmechanizowanemu w Bydgoszczy, a od listopada 2003 roku – dowódcy wojsk lądowych. Od 11 stycznia 2007 roku jednostka znalazła się w strukturach 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. Rozkazem jej dowódcy z 11 sierpnia 2010 roku pułk został przeformowany w 14 Dywizjon Artylerii Przeciwpancernej, który wszedł w skład 11 Mazurskiego Pułku Artylerii. ■



RAFAŁ
CIASTOŃ

Wyścig w kosmos



Współczesne działania zbrojne rozgrywają się w pięciu wymiarach. Cztery z nich, tj. lądowy, wodny, powietrzny i kosmiczny, mają charakter realny, piąty – cyberprzestrzeń – wirtualny. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wojna miała jednak tylko trzy wymiary, a człowiek dopiero nieśmiało przygotowywał się do postawienia pierwszych kroków w kosmosie.

Wraz z końcem II wojny światowej zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie zdobyli dokumentację niemieckich pocisków balistycznych V-2 oraz, co istotne, przejęli hitlerowskich naukowców. Początki programów balistycznych i kosmicznych USA oraz ZSRR były zatem nieodłącznie związane z osiągnięciami III Rzeszy. Pierwsi w wyścigu na opracowanie międzykontynentalnego pocisku balistycznego, a zarazem rakiety nośnej, byli Rosjanie. W 1957 roku Związek Radziecki, za pomocą rakiety R-7, umieścił na orbicie sztuczne satelity, dwa lata później zaś gotowość operacyjną osiągnął pocisk międzykontynentalny R-7A, na Zachodzie znany pod nazwą SS-6 Sapwood. W 1958 roku na orbicie znalazł się także pierwszy satelita amerykański, wyniesiony przez raketę Atlas. Kilka miesięcy po R-7A zostały rozmieszczone również pociski Atlas jako pierwsze amerykańskie międzykontynentalne rakiety balistyczne (Intercontinental Ballistic Missile – ICBM).

Już w drugim sputniku Rosjanie zdecydowali się wysłać w przestrzeń suczkę o imieniu Łajka, co miało służyć zebraniu biomedycznych informacji przed pierwszym załogowym lotem kosmicznym. Również w tej kategorii Rosjanie byli pierwsi – 12 kwietnia 1961 roku na pokładzie statku Wostok-1 na orbitę okołozemską został wyniesiony mjr Jurij Gagarin (pierwszy Amerykanin, ppłk John Glenn, dotarł tam 20 lutego 1962 roku). Loty w ramach programu „Mercury” trwały od 1959 do 1963 roku, kiedy to zastąpił go program „Gemini”, przygotowujący wyprawę na Księżyc. „Gemini” zakończono w 1966 roku i rozpoczęto program „Apollo”. Jego ukoronowaniem było pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu 16 lipca 1969 roku.

Sukces USA skłonił ZSRR do porzucenia planów wysłania misji załogowej na Księżyc. W zamian rozpoczęto prace nad stacjami kosmicznymi, początkowo w ramach cywilnego programu „Salut” oraz wojskowego „Ałmaz”, następnie zaś w ramach „Miru”. Aby uniknąć pokusy militarystyki przestrzeni kosmicznej, w styczniu 1967 roku oba supermocarstwa oraz Wielka Brytania podpisały układ o zasadach działalności państw w przestrzeni kosmicznej. Obecnie jest ona wykorzystywana zarówno w celach wojskowych, jak i naukowych czy komercyjnych. Ekspedycje lunarne mają w planach Chiny, kwestią otwartą pozostaje załogowy lot na Marsa. Sondy i teleskopy kosmiczne dostarczyły naukowcom bezcennych informacji na temat Układu Słonecznego oraz poszczególnych galaktyk. Militarny wyścig supermocarstw przyczynił się do rozwoju cywilnych technologii, należących już dziś do kategorii codziennego użytku. Telewizja, nawigacja, łączność – z ilu satelitarnych rozwiązań korzystamy! ■



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.



STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD

TOMASZ OTŁOWSKI

JEMEN WYKRWAWIA SIĘ PO CICHU

Seria ataków na cele cywilne w Jemenie, przeprowadzonych jesienią 2016 roku przez saudyjskie lotnictwo, wraz z późniejszymi incydentami z udziałem okrętów US Navy – ponownie zwróciły uwagę świata na sytuację w tym odległym zakątku Bliskiego Wschodu.

W tym miejscu jeszcze rok temu był park, ale został zamieniony na cmentarz, ponieważ zabrakło miejsca na pochowanie poległych cywilów i bojowników. Miasto Taiz, czerwiec 2016 roku



W

W ydarzenia w Jemenie – choć ważne dla przyszłości całego regionu i świata – od dawna toczą się jednak w cieniu medialnie „popularniejszych” (a tym samym bardziej rozpoznawanych) wojen w Syrii i Libii. Tymczasem Jemen już od ponad dwóch lat jest areną wojny domowej – krwawej i brutalnej, nawet jak na standardy bliskowschodnie, która – tak jak ma to miejsce w Syrii – już dawno przestała być zwykłym konfliktem wewnętrznym, stając się „wojną zastępczą” (proxy war) dla wielu regionalnych i pozaregionalnych mocarstw. I podobnie jak w przypadku wojny w Syrii, właśnie to zaangażowanie aktorów zewnętrznych przyczynia się w głównej mierze do tego, że konflikt jemeński wciąż trwa, bez większych szans na rychłe zakończenie.

MAPA INTERESÓW

Jemeńczycy stali się zakładnikami zażartej i brutalnej geopolitycznej rozgrywki, toczącej się w ich kraju i ich kosztem: z jednej strony – między sunnitami a szyitami oraz Saudyjczykami a Irańczykami, a z drugiej – między Stanami Zjednoczonymi (czy szerzej: Zachodem) a Rosją. Sprawy dodatkowo komplikuje fakt, iż ta wielopłaszczyznowa i wielowymiarowa geopolityczna gra toczy się nie tylko w Jemenie, lecz także na całym szeroko ujmowanym Bliskim Wschodzie.

Dla Teheranu i Rijadu wojna jemeńska jest tylko jednym z wielu frontów albo precyzyjniej: teatrów działania, położonym w strategicznie ważnej części Półwyspu Arabskiego, stanowiącej „miękkie podbrzusze” Arabii Saudyjskiej. Do tego sąsiadującym bezpośrednio

z cieśniną Bab al-Mandab między Morzem Czerwonym a Zatoką Adeńską, gdzie zbiegają się uczęszczane morskie szlaki handlowe łączące Europę z Azją Wschodnią. Przez wąskie gardło Al-Mandab (26–40 km szerokości) transportuje się codziennie tankowcami około 3 mln baryłek ropy naftowej, z czego lwią część to surowiec saudyjski.

Trwała destabilizacja Jemenu to zatem dla Arabii Saudyjskiej znacznie większy problem, także w sensie ekonomicznym, niż np. chaos w Syrii, Libanie lub Iraku. Przewlekła wojna w Jemenie to również odciążenie strategicznej uwagi Rijadu od innych obszarów i kierunków rywalizacji z Teheranem (Liban, Syria, Irak, Bahrajn itd.). Dla Iranu zaangażowanie w walki w Jemenie to zatem nie tylko dogodna okazja do stworzenia kolejnego geopolitycznego problemu dla jego regionalnych sunnickich wrogów. To także szansa na utrwalenie i poszerzenie zakresu oddziaływania politycznego i ideologicznego w regionie. Iran wciąż bowiem kieruje się w swych działaniach zagranicznych aksjomatem „eksportu” swej islamskiej rewolucji, a w Jemenie widzi możliwość stworzenia kolejnego strategicznego „przyczółku”, który przyczyni się do promocji i realizacji irańskich interesów w regionie. To dlatego we wsparcie dla Hutich w Jemenie angażuje się bezpośrednio także libański Hezbollah, dla którego jest to już trzeci (po Syrii i Iraku) teatr działań przeciwko sunnitom.

KOALICJA POD ZNAKIEM SAUDÓW

Aby jednak dobrze zrozumieć, co dzieje się obecnie na tym odległym krańcu Półwyspu Arabskiego, należy cofnąć się w czasie o niemal dwa lata, do stycznia 2015 roku. To wtedy formacje północnojemeńskiego szyickiego ruchu Hutich oraz zbuntowane jednostki armii jemeńskiej, wierne dawnemu dyktatorowi kraju Alemu Salehowi, zdobyły szturmem pałac prezydencki w Sanie, stolicy kraju. Ówczesny rząd jemeński

JEMEŃSKA KAMPANIA RIJADU, W ZAŁOŻENIACH ŁATWA I SZYBKA, STAŁA SIĘ WOJNĄ BEZ SZANS NA ZWYCIĘSTWO

prezydenta Abd ar-Raba Mansura Al-Hadiego, wyłoniony jako kompromisowy gabinet „zgody narodowej” i cieszący się pełnym poparciem społeczności międzynarodowej, podał się do dymisji, a sam Hadi udał się na wygnanie do Arabii Saudyjskiej. Jemen, po kilku latach narastającego chaosu i wewnętrznych konfliktów, znalazł się ostatecznie na skraju całkowitego rozpadu.

Po raz pierwszy od chwili zjednoczenia tego państwa przed ćwierćwieczem dominującą siłą polityczną i militarną stali się w nim szyici – społeczność popierana, inspirowana i dozbrajana przez Iran. Szyicki zwycięski marsz na zdominowane przez sunnitów południe kraju, podjęty na początku 2015 roku, wywołał istny popłoch w całym regionie, zwłaszcza w stolicach arabskich sunnickich monarchii znad Zatoki Perskiej, tradycyjnie postrzegających szyitów jako „piątą kolumnę” wrogiego Iranu. Arabia Saudyjska – lider sunnickiego oporu wobec szyickich działań w regionie – zareagowała szybko i bez wahania, choć, jak okazało się później, także i bez głębszego zastanowienia. Już w marcu 2015 roku sformowano pod auspicjami Rijadu międzynarodową „koalicję chętnych”, której celem ogłoszono siłowe przywrócenie „prawowitych władz” Jemenu i zaprowadzenie w tym kraju „ładu i stabilności” – czyli przywrócenie status quo ante, w którym dominującą siłą polityczną są sunnici.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że prawdziwym zamiarem królewskiego Domu Saudów było (i jest do dziś) uniemożliwienie przekształcenia się Jemenu lub jego północnej części w kolejny „przyczółek” Iranu w regionie. Szyici jemeńscy (stanowiący około 45% ludności kraju) mogą bowiem – korzystając ze swych sukcesów wojсковych – ogłosić odtworzenie Imamatu Zajdyckiego: szyckiego politycznego tworu państwowego, istniejącego na terenach północnego Jemenu nieprzerwanie przez ponad tysiąc lat, aż do 1962 roku. Takie szyckie, teokratyczne państwo na południu Półwyspu Arabskiego cieszyłoby się niewątpliwie zdecydowanym, silnym wsparciem Iranu, jako narzędzie dające Teheranowi możliwość strategicznego okrążania Rijadu.

Nic zatem dziwnego, że Saudowie w tak zdecydowany sposób zareagowali na niekorzystne dla nich wydarzenia w Jemenie. Koalicja militarna, sformowana przez Rijad

wiosną 2015 roku, składała się z kilkunastu państw bliskowschodnich, co miało pokazać, że troska o sytuację w Jemenie nie jest jedynie saudyjską obsesją. Samoloty bojowe przeciwko Hutim, w ramach operacji „Przełomowa burza”, wysłały więc (oprócz Arabii Saudyjskiej) Kuwejt, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Bahrajn, Egipt, Maroko, Jordania, a nawet Sudan. Wiele innych krajów udzieliło poparcia „politycznego i moralnego”, a także finansowego.

Z tego zgodnego chóru sunnickich państw regionu wyłamał się tylko Oman, który jako jedyny członek Rady Współpracy Zatoki Perskiej (GCC) nie włączył się w działania saudyjskiej koalicji. Muskat już od dawna krytycznie ocenia bowiem politykę Rijadu wobec Jemenu (ale także wobec Iranu i szyitów), co zapewne wynika z faktu, iż większość (około 75%) mieszkańców Omanu to wyznawcy ibadytyzmu, czyli najbardziej umiarkowanego i liberalnego z trzech głównych nurtów islamu. Omańczycy coraz mniej przychylnie patrzą na rosnący radykalizm arabskich monarchii Zatoki Perskiej i ich narastający konflikt teologiczny z równie szybko radykalizującymi się szyitami. Dzisiaj Oman próbuje lawirować między rolą arbitra w konflikcie jemeńskim a oskarżeniami o jawne sprzyjanie Iranowi i Hutim, wysuwane m.in. przez wpływowych saudyjskich duchownych.

Wsparcie militarne (choć nie w wymiarze bojowym) dla regionalnej koalicji pod wodzą królestwa Saudów zadeklarowali też Amerykanie, co od razu ustawiło całą akcję militarną Rijadu w optyce rywalizacji wielkich mocarstw. Zwłaszcza że nieskrywaną sympatię wobec Hutih i ich dążeń wyraziła Rosja. To właśnie w tym momencie lokalny zdawałoby się konflikt w odległym i na co dzień zapomnianym miejscu świata zaczął mieć charakter międzynarodowy i globalne wręcz znaczenie.

Koalicja zaczęła swe działania militarne w Jemenie z dużym rozmachem. W pierwszych dniach operacji (26–31 marca 2015 roku) sama tylko Arabia Saudyjska kierowała nad Jemen do stu samolotów bojowych równocześnie. Każdego dnia dziesiątki bomb i rakiet spadały na faktyczne i domniemane cele militarne na terenach zajętych przez oddziały Hutich oraz zbuntowanych formacji armii jemeńskiej. Huti to jednak formacja paramilitarna, →

nieumundurowana i nieskoszarowana, nie sposób zatem precyzyjnie odróżnić z powietrza jej bojowników od cywilów. Szybko więc zaczęły rosnać straty wśród ludności Jemenu, czemu sprzyjał też fakt, że bojownicy szyicy często z premedytacją umieszczali swe pozycje w pobliżu szpitali, meczetów czy osiedli mieszkaniowych. Z ostatnich danych (z końca września 2016 roku) wynika, że jest już nawet około 10 tys. cywilnych ofiar konfliktu. W tej wojnie ginie średnio 13 cywilów dziennie, większość z nich w wyniku nalotów koalicji.

GORZKI SMAK PORĄŻKI

Rozpoczynając wojnę z ruchem Hutich i sprzymierzonymi z nimi zwolennikami Ali Saleha, politycy i wojskowi saudyjscy liczyli na to, że silny atak powietrzny szybko przyniesie sukces strategiczny i polityczny. W Rijadzie sądzono, że zmasowane naloty przechyłą szalę zwycięstwa na stronę sił wiernych obalonemu prezydentowi Hadiemu, broniących się jeszcze w południowych i wschodnich prowincjach kraju. Plany te spełzły jednak na niczym, a Saudyjscy osobiście musieli przerobić gorzką lekcję podstaw współczesnej strategii militarnej, głoszącą, iż nie sposób wygrać wojny, ograniczając się wyłącznie do użycia tylko sił powietrznych. Tym bardziej gorzką, że przecież w ostatnich trzech dekadach przeciwiczyli to i Amerykanie, i Izraelczycy. Kiedy w lipcu 2015 roku siły wierne prezydentowi Hadiemu odbiły z rąk szyitów – z wielkim trudem i dużym kosztem – Aden (główne portowe miasto południa kraju i dawną stolicę Jemenu Południowego), do akcji wkroczyły formacje lądowe koalicji. Operacja ta, nazwana „Przywrócić nadzieję” i oficjalnie przedstawiana jako stabilizacyjna, umożliwiła w ciągu kolejnych miesięcy odbicie z rąk Hutich kilku południowych prowincji kraju, a we wrześniu 2015 roku tryumfalny powrót z wygnania prezydenta Abd ar-Rabba M. Hadiego, który ulokował swój rząd w Adenie, butnie zapowiadając rychłe odzyskanie Sany.

Na tym jednak sukcesy koalicji w istocie się zakończyły, a wojna w Jemenie ustabilizowała się jako przewlekły konflikt, w którym ugrzęzła zarówno sama Arabia Saudyjska, jak i jej sojusznicy. Nic więc dziwnego, że koalicja zaczęła się szybko kurczyć – obecnie tworzą ją (oprócz królestwa Saudów) już tylko Kuwejt, ZEA, Katar i Sudan. Ten ostatni, wobec przeniesienia gros wysiłku operacyjnego działań sojusznicznych na akcje lądowe, zaczął zresztą zyskiwać na znaczeniu jako główny sojusznik Arabii – a wszystko przez wystawienie do walk w Jemenie pełnej dywizji zmechanizowanej (ponad 10 tys. żołnierzy), wyposażonej, przebrojonej i opłacanej przez Rijad. Jesienią 2015 roku zdesperowani Saudyjscy zaciągnęli nawet do walk w Jemenie formacje sił zbrojnych



z ZEA, złożone z najemników z Ameryki Łacińskiej (głównie z Kolumbii).

WOJNA SPONSORÓW

Rozpoczęcie operacji na lądzie przyniosło jednak również straty sił interwencyjnych, dzisiaj szacowane (bo oficjalne dane są ewidentnie zaniżane) na około tysiąca żołnierzy. Liczbę poległych wojskowych jemeńskich, wiernych prezydentowi Hadiemu, liczy się w kilku tysiącach. Bojownicy Huti i wspierający ich żołnierze ze zbuntowanych jednostek jemeńskiej armii okazali się bowiem nadzwyczaj twardym i wymagającym przeciwnikiem, który niewiele sobie robi z technologicznej i jakościowej przewagi interwentów. Zresztą od kiedy walki przeniosły się ponad rok temu w góryste regiony centrum kraju (zwłaszcza obszar prowincji Maarib), także i sama geografia sprzyja szyickim bojownikom. Huti okazali się poza tym mistrzami wojny na wyczerpanie, a ich ataki z użyciem rakiet balistycznych krótkiego zasięgu (od 200 do 500 km) zagroziły nawet instalacjom przemysłowym i obiektom militarnym położonym w głębi terytorium saudyjskiego. Uderzenia przeprowadzane przez szyickich rebeliantów to zresztą już stały element konfliktu jemeńskiego, podobnie jak coraz częstsze bezpośrednie ataki dokonywane przez bojówki Hutich na terytorium saudyjskim, czy niedawne przypadki ostrzelania okrętów amerykańskich i arabskich operujących w pobliżu wybrzeży Jemenu.



KONFLIKT W JEMENIE MOŻE POTRWAĆ JESZCZE WIELE LAT, PRZYNOŚĄC OFIARY I CIERPIENIA NIEWINNYM LUDZIOM

Wiele wskazuje zresztą na to, że Huti są w stanie przeprowadzać tak skomplikowane akcje militarne tylko dzięki bezpośredniemu zaangażowaniu irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (Pasdaran), którego doradcy i instruktorzy wspierają szyickich rebeliantów, a niewykluczone, że także sami obsługują zaawansowane systemy uzbrojenia. W tym sensie aktualna odsłona konfliktu jemeńskiego to niebezpieczne narastanie pośredniej konfrontacji między zagranicznymi patronami i sponsorami poszczególnych stron w wojnie. Już tylko kwestią czasu pozostaje, kiedy ta konfrontacja przybierze bezpośrednie i otwarte formy.

Na marginesie warto odnotować, że na trwającym już kilka lat chaosie w Jemenie korzystają również islamscy radykałowie. I to zarówno ci z Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego (AQAP) – najgroźniejszej i najlepiej rozwiniętej organizacyjnie regionalnej struktury Al-Kaidy, jak też ci z „Wilajetu Jemen”, wchodzącego w skład Państwa Islamskiego (IS). Dżihadysty działający w Jemenie to już nieformalna trzecia strona w przedłużającym się konflikcie w tym kraju, walcząca zarówno z szyitami, jak i z siłami rządowymi oraz wspierającymi ich formacjami międzynarodowymi. Islamiści z IS i AQAP zwalczają się także nawzajem, co tylko wzmaga niestabilność i podsyca wojenną anarchię, zwłaszcza na południu kraju. Górą w tym starciu zdają się być członkowie „starej gwardii” z AQAP, którzy kontrolują znaczne obszary południowo-wschodniego

Jemenu, w tym kilka małych miast portowych. Jeśli gdziekolwiek na świecie Al-Kaida ma szanse na przetrwanie i dalszy rozwój, to właśnie w trudno dostępnym interiorze Jemenu Południowego.

WIDMO OSTATECZNEGO ROZPADU

Zdarzenia na Bliskim Wschodzie w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy sprawiły, że sytuacja strategiczna wokół Jemenu zaczęła się jeszcze bardziej komplikować. Dość niespodziewanie dla wszystkich zainteresowanych Arabia Saudyjska i sprzymierzone z nią arabskie sunnickie państwa regionu znalazły się nagle w strategicznej defensywie, wywołanej przede wszystkim niemożnością przeformowania własnych celów i interesów nie tylko w samym Jemenie, lecz także w Syrii i Iraku. Stroną, która zyskuje punkty w tej regionalnej rozgrywce, jest za to Iran i jego sprzymierzeńcy – libański Hezbollah, syryjski reżim Baszszara al-Asada oraz zdominowany przez szyitów Irak. Brzemienne w skutki okazała się również rosyjska interwencja militarna w Syrii po stronie tamtejszego rządu, która chyba już ostatecznie pogrzebała szanse na odsunięcie od władzy prezydenta al-Asada.

Warto zresztą zauważyć, że Rosjanie występują na Bliskim Wschodzie jako zdeklarowani sojusznicy nie tylko obecnego rządu syryjskiego, lecz także Iranu, Iraku i ich najróżniejszych lokalnych sojuszników – od Hezbollahu po jemeńskich Hutich. Wytworzył się zadziwiający sojusz Moskwy z szyitami różnej maści i ich sprzymierzeńcami, stojący w jawnej opozycji wobec sojuszu amerykańsko-sunnickiego (w tym sensie widać wyraźnie, że ostatnie relatywne ocieplenie między Turcją a Rosją jest czysto koniunkturalne i nie ma racjonalnych, twardych podstaw do dłuższego trwania). Wszystko to postawiło Arabię Saudyjską i jej regionalnych sojuszników w całkiem nowej – i znacznie bardziej skomplikowanej – sytuacji strategicznej.

Obecnie wszelkie kalkulacje i plany strategiczne należy pisać i tworzyć od nowa. Jakkolwiek jednak na to patrzeć, jemeńska kampania Rijadu – w pierwotnych założeniach łatwa i szybka – stała się wojną w istocie bez szans na zwycięstwo. Nie sposób bowiem wygrać batalii o przyszłość Jemenu w sytuacji, w której Huti mają za sobą poparcie nie tylko Iranu, lecz także coraz bardziej asertywnej i agresywnej Rosji. Dla zwykłych Jemeńczyków to jednak bardzo zła wiadomość, oznacza bowiem, że konflikt gnębiący ich kraj może potrwać jeszcze całymi latami, przynosząc dalsze ofiary i cierpienia niewinnym ludziom, sam Jemen zaś najprawdopodobniej nie przetrwa jako jednolite państwo. Także i w tym zakątku Bliskiego Wschodu mapy polityczne trzeba będzie zatem już wkrótce rysować na nowo. ■

WITOLD REPETOWICZ, BAGDAD

NA MOSUL

Czy wyparcie z tego strategicznego miasta bojowników Państwa Islamskiego zakończy wojnę w Iraku?

U
S
D
O
D



Siły ludowej mobilizacji Al-Hashd al-Shaabi 17 listopada 2016 roku zajęły lotnisko znajdujące się kilkanaście kilometrów na południe od Tall Afar. Mogłoby się zatem wydawać, że ofensywa wojsk irackich przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu idzie pełną parą, ale to tylko część prawdy. „Nic nie idzie zgodnie z planem”, usłyszałem w Bagdadzie od jednego z europejskich dyplomatów.

MIASTO TWIERDZA

W natarciu na Mosul, które rozpoczęło się 16 października, bierze udział około 100 tys. sił irackich (składających się z wojska, policyjnych sił specjalnych – Złotej Dywizji, szyickich milicji Al-Hashd al-Shaabi, wspierających je sunnickich oddziałów plemiennych, milicji chrześcijańskich, wreszcie – działającej w zasadzie na odrębnych frontach – Peszmergi) z lotniczym wsparciem międzynarodowej koalicji. Siły przeciwnika natomiast, według niektórych informacji, wynoszą około 6 tys. bojowników, przygotowanych na walkę do końca. Nie jest to mało, szczególnie że Państwo Islamskie miało dwa lata na to, by przekształcić Mosul, w szczególności jego zachodnią część, w twierdzę. Choć mieszkańcy tego miasta w większości nie popierają islamistów, to trudno spodziewać się tam wybuchu powstania. Służby bezpieczeństwa Państwa Islamskiego krwawo stłumiły już bowiem wiele takich prób rebelii.

Natarcie rozpoczęło się 1 listopada, gdy Złota Dywizja (4 tys. policjantów), przerzucona przez terytorium kurdyjskie w rejon Bartelli, zdobyła to w większości chrześcijańskie miasto i weszła do najdalej wysuniętej na zachód dzielnicy Mosulu, tj. Gogdżali. Zajęła kilka dzielnic wschodnich, podchodząc powoli do ruin starożytnej Niniwy. Te postępy pozwalają na ostrożną prognozę, że jeszcze w tym roku wschodni Mosul może zostać oczyszczony z terrorystów z Państwa Islamskiego.

Wtedy jednak ofensywa może utknąć. Wszystkie mosty na Tygrysie są bowiem zaminowane, a najbliższa przeprawa na południe od miasta jest w odległości 60 km, w okolicach Ghayarry. Bliżej znajduje się tama mosulska w górnym biegu rzeki, ale ona jest w rękach kurdyjskich. Tymczasem ani Kurdowie, ani Al-Hashd al-Shaabi nie będą uczestniczyć w natarciu na sam Mosul. Siły ludowej mobilizacji wprawdzie zajęły już położone 20 km na południe miasto Hamam al-Alil, ale atak na Mosul od południa i zachodu będzie zadaniem armii, a ta została w tyle. Niewiele więc wskazuje na to, by walki o zachodni Mosul zaczęły się jeszcze w tym roku.

Problem z oceną postępów natarcia na Mosul wynika z tego, że przed rozpoczęciem tej operacji powszechnie dominowała fałszywa ocena sił irackich. Armia wciąż była postrzegana przez pryzmat wydarzeń z 2014 roku, gdy z placu boju uciekała bez walki. Od tego czasu jednak jej morale znacznie wzrosło. Gorzej jest z wyszkoleniem, choć ta uwaga nie dotyczy doborowych jednostek policyjnych, czyli słynnej Złotej Dywizji, stanowiącej awangardę sił natarcia.

Innym problemem jest postrzeganie Al-Hashd al-Shaabi. Kraje sunnickie, w szczególności Katar, do którego należy telewizja Al-Dżazira, ale też Turcja lub Arabia Saudyjska, próbują przedstawić te oddziały jako bandytów, niemal nieróżniących się od terrorystów z Państwa Islamskiego. W mediach społecznościowych ukazują się na przykład nagrania z bicia lub egzekucji wziętych do niewoli członków Państwa Islamskiego opatrzone informacjami, że ofiary są cywilami (choć przeważnie ich wygląd na to nie wskazuje).

Traktowanie w ten sposób jeńców oczywiście jest naruszeniem prawa wojny, ale warto sobie uświadomić, że w tym konflikcie takie zachowania są bardzo częste. Na porządku dziennym jest też zmienianie struktury etnicznej wyzwolanych terytoriów. Warto też pamiętać, że to szyici byli grupą, która najbardziej ucierpiała z rąk Państwa Islamskiego, choć o ich losie niewiele się mówiło. Na przykład w czerwcu 2014 roku w Camp Speicher zamordowano co najmniej 1500 szyickich poborowych. Zatem teraz, mimo instrukcji szyickich przywódców religijnych, wielu z nich często trudno powstrzymać się od zemsty.

DRUGI FRONT

Milicja Al-Hashd al-Shaabi prowadzi ponadto własną ofensywę, której celem jest Tall Afar. Ta licząca 300 tys. mieszkańców miejscowość jest największym po Mosulu miastem będącym pod okupacją Państwa Islamskiego. Niezwykle istotne jest jej położenie strategiczne – znajduje się bowiem na głównej drodze prowadzącej z Mosulu do Syrii. Wprawdzie zajęcie przez Kurdów w listopadzie 2015 roku Szengalu przerwało ten szlak komunikacyjny, ale wciąż pozostawały drogi objazdowe przez półpustynne terytorium, ciągnące się między syryjską prowincją Dajr Az-Zaur a irackimi prowincjami Anbar i Niniwa.

Ponadto połowa mieszkańców Tall Afar przed najazdem Państwa Islamskiego była sunnitami. Znaczna ich część z radością przyjęła wtargnięcie terrorystów w lipcu 2014 roku i po ucieczce wszystkich szyitów (ci, którzy nie zdążyli uciec, zostali wymordowani) przejęła ich domy i mienie. Nie bez powodu obawiają się teraz →



U S D O D

MOSUL LICZY PONAD MILION MIESZKAŃCÓW, KTÓRZY W WIĘKSZOŚCI NIE POPIERAJĄ ISLAMISTÓW

zemsty i szukają oparcia w Turcji, która oświadczyła, że będzie interweniować, jeśli do miasta wkroczy Al-Hashd al-Shaabi. Zdaniem Turków, miałyby to oznaczać czystki etniczne.

OBAWY UCHODźCÓW

W Iraku wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że struktura etniczna prowincji Niniwa po jej oczyszczeniu z bojowników Państwa Islamskiego będzie zupełnie inna niż przed czerwcem 2014 roku. Na przegranej pozycji będą oczywiście chrześcijanie. Ocenia się bowiem, że w wyniku najazdu Państwa Islamskiego ich liczba w Iraku zmniejszyła się o połowę – z 600 do 300 tys. Wszyscy mieszkańcy chrześcijańskiego Tel Keppe uciekli z Iraku i już do niego nie wrócą. Prawdopodobnie też najwyżej połowa chrześcijan wróci do Karakoszu, w którym wcześniej stanowili 90% mieszkańców.

Uchodźcy z Równiny Niniwy nie chcą na razie wracać do domu nie tylko dlatego, że nie mają do czego wracać i nie spodziewają się pomocy w odbudowie swoich mieszkań ani od rządu centralnego, ani od kurdyjskiego. Oni nie wiedzą również, jaki będzie status ich ziem, stanowiących przedmiot sporu między Kurdystanem i władzami centralnymi. Boją się, że jak wrócą, zacznie się nowa wojna – między milicjami szyickimi i kurdyjską Peszmergą.

Niestety jest to możliwe, bo pospieszne rozpoczęcie operacji mosulskiej spowodowało, że nie porozumiano się w kwestii przyszłości wyzwolanych ziem. Z drugiej jednak strony, Iranowi, mającemu ogromny wpływ na milicje szyickie, nie zależy na wojnie domowej w Iraku, która mogłaby doprowadzić do jego rozpadu. Niewiele jednak osób wierzy w to, że problem przyszłości tych ziem zostanie rozwiązany demokratycznie, przez referendum. Kościół iracki wydał oświadczenie, iż należy przywrócić status quo sprzed 2014 roku i dopiero po osiągnięciu stabilizacji rozstrzygnąć przyszłość tych

ziem. Małe są jednak szanse na realizację tego scenariusza, a chrześcijańscy uchodźcy marzą o wprowadzeniu do tego regionu międzynarodowych sił pokojowych.

Zajęcie Tall Afar przez Al-Hashd al-Shaabi przyniesie jeszcze jeden strategiczny skutek. Ta milicja prawdopodobnie połączy się wówczas z jazydzkimi siłami (Yekîneyên Berxwedana Şingal – YBŞ) powiązanymi z Partią Pracujących Kurdystanu (Partiya Karkerên Kurdistanê – PKK) i syryjskimi siłami kurdyjskiej Rożawy (Yekîneyên Parastina Gel – YPG). Już od pewnego czasu pojawiały się sygnały o możliwości sojuszu między tymi siłami, bo wspólnym zagrożeniem dla nich jest Turcja, a na dodatek łączy ich konflikt z Masudem Barzanim. Władze kurdyjskie w Iraku blokują bowiem granicę z Rożawą. Chcą również przyłączenia do Kurdystanu regionu Szengalu, na co się nie zgadzają Bagdad oraz szyickie milicje, które w związku z tym szukają układu z syryjskimi Kurdami i pozostającymi pod ich wpływem jazydami z YBS.

SZANSA NA NORMALNOŚĆ

Nawet całkowite wyparcie Państwa Islamskiego z Mosulu i Tall Afar nie zakończy wojny w Iraku. Wciąż w rękach terrorystów pozostaje zachodnia część prowincji Kirkuk z miastem Hawidża, a także półpustynny obszar południowo-zachodniej Niniwy, zachodniej części prowincji Salah ad-Din oraz zachodniego Anbaru, z granicznym miastem Al-Kaim. Mimo to jest szansa, że w 2017 roku Państwo Islamskie zniknie z Iraku. Czy na zawsze? To zależy od rozwiązań politycznych, a także od nowych sił policyjnych, szkolonych m.in. przez polski kontyngent wojskowy w Bagdadzie. Mieszkańcy stolicy Iraku przyznają, że w ostatnich miesiącach jest coraz lepiej, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. I chociaż co parę miesięcy wybucha jakaś bomba, to na ulicach Bagdadu widać, że toczy się normalne życie. ■

XIII Międzynarodowa Konferencja i Wystawa

Nowoczesne technologie



dla bezpieczeństwa kraju i jego granic

FOOTSTEP
PULL OUT

11.05.2017

www.nowoczesnetechnologie.ztw.pl

ROBERT SENDEK

Milo znów na fali

Czarnogóra opowiedziała się po stronie Zachodu,
Unii Europejskiej i NATO.



„Obroniliśmy Czarnogórę”,
oznajmił premier
Milo Đukanović
tuż po ogłoszeniu
pierwszych
wyników wyborów
parlamentarnych.

Wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych w Czarnogórze dla nikogo nie były zaskoczeniem. Rządząca Demokratyczna Partia Socjalistów (DPS) Milo Đukanovicia zdobyła ponad 41% głosów, co przekłada się na 36 mandatów w liczącym 81 miejsc parlamencie. Wprawdzie to za mało na samodzielne sformowanie rządu, ale DPS liczy, że uda się to zrobić z pomocą tradycyjnych koalicjantów.

ALBO MY, ALBO ON

Nie ulega wątpliwości, że Đukanović, mający za sobą ponad ćwierć wieku rządów na różnych stanowiskach, należy do polityków sprawnych i doświadczonych. Potrafi umiejętnie lawirować między Wschodem a Zachodem, publicznie deklaruje przyjaźń wobec Rosji, a jednocześnie realizuje plan zbliżenia do Unii Europejskiej oraz NATO. Zresztą do pełnego członkostwa w sojuszu Czarnogórze brakuje tylko ratyfikacji oficjalnego protokołu przez parlamenty kilku państw natowskich.

Wszelkie podziały w czarnogórskim społeczeństwie Đukanović potrafi rozgrywać z korzyścią dla siebie i swojej partii. Nie zmienia tego nawet ostatnia, bardzo agresywna kampania wyborcza partii opozycyjnych. Głównymi przeciwnikami socjalistów w tym wyścigu była koalicja różnych ugrupowań występujących pod szyldem Frontu Demokratycznego. Ci politycy stawiali sprawę na ostrzu noża: albo my, albo on, uznając Đukanovicia za sprawcę wszystkich prawdziwych i wymagowanych nieszczęść, które spadają na Czarnogórę. Takie zresztą było hasło wyborcze Frontu. Slogan „Albo my, albo on”, w oryginale „Mi ili on”, zgrabnie układa się w słowo „milion”, a jednocześnie jest aluzją do imienia Milo.

Politycy Frontu powtarzali, że tegoroczne wybory stanowią swoisty plebiscyt, w którym głosujący mają się wypowiedzieć nawet nie w sprawie ewentualnych programów proponowanych przez partie, lecz za Đukanoviciem lub przeciw niemu. W klipach wyborczych powtarzały się oskarżenia o nepotyzm, korupcję, nieudolność, a rządzącą partię nazywano złodziejską bandą. Nie na wiele się to zdało – Front Demokratyczny zdobył zaledwie 20% głosów, czyli 18 miejsc w parlamencie. Pozostałe partie opozycyjne miały jeszcze mniejsze poparcie. Niewykluczone, że swoją rolę w kolejnym już zwycięstwie Đukanovicia odgrywa także i to, że czarnogórska scena polityczna jest mocno podzielona. Rezultatem jest rozproszenie głosów opozycji na ugrupowania, które rywalizują między sobą.

Przeciwnicy polityczni Đukanovicia już ogłosili, że nie uznają wyników wyborów. Twierdzą, że jeśli ma się do dyspozycji prasa, telewizję, aparat państwowy, służby i nieograniczone wręcz możliwości manipulowania opinią publiczną, to utrzymanie się przy władzy nie stanowi proble-

mu. Takie zarzuty, jeśli nawet są prawdziwe, to tylko częściowo. Wysuwane pod adresem Đukanovicia oskarżenia rzeczywiście dotyczą m.in. autorytarnego stylu uprawiania władzy. Problem jednak w tym, że właśnie z myślą o październikowych wyborach, pod naciskiem Unii Europejskiej doszło w maju 2016 roku do rekonstrukcji rządu. Decyzją parlamentu nowymi ministrami zostali przedstawiciele opozycji (co prawda nie całej), co miało zwiększyć transparentność zbliżających się wyborów parlamentarnych. Na wynik poszczególnych partii w niewielkim stopniu wpłynęły również ciągnące się od jesieni 2015 roku antyrządowe protesty, związane z procesem przystępowania Czarnogóry do NATO.

Nie ulega wątpliwości, że zwycięstwo socjalistów oznacza kontynuację dotychczasowej polityki zagranicznej. Obiecał to zresztą w noc powyborczą sam Đukanović, kiedy ogłosił, że w ciągu kilku miesięcy zakończy się procedura przyjęcia Czarnogóry do sojuszu północnoatlantyckiego. Zapowiedział też, że do końca kadencji parlamentu powinny zakończyć się rozmowy w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej.

O ile partia Đukanovicia jest prozachodnia, o tyle opozycyjny Front Demokratyczny krytycznie wypowiada się o NATO. Politycy tej partii niezbyt dobrze ukrywają też niechęć do Unii Europejskiej, opowiadają się natomiast za silniejszymi związkami z Serbią oraz za zbliżeniem z Rosją. Co więcej, pod adresem opozycji często pojawiają się oskarżenia (fakt, są wysuwane głównie ze strony DPS), że jest ona finansowana przez Kreml, a na manifestacjach sympatyków Frontu obok flag serbskich są widoczne rosyjskie. Politycy opozycji zapowiadali nawet, że w razie wygranej zniosą sankcje wobec Moskwy (wprowadzone w związku z wojną we wschodniej Ukrainie), rozpiszą referendum w sprawie wejścia Czarnogóry do NATO oraz cofną uznanie niepodległości Kosowa.

TAJEMNICZY ZAMACH

Zagraniczni obserwatorzy uznali, że czarnogórskie wybory były demokratyczne, choć odnotowano pewne nieprawidłowości. Bezsprzecznie najdziwniejszą sytuacją było aresztowanie nocą przed samym głosowaniem grupy Serbów, których oskarżono o przygotowywanie zamachu stanu. Wśród zatrzymanych znalazł się emerytowany generał serbskiej żandarmerii. Bratislav Dikić w 2015 roku, w wieku zaledwie 45 lat, odszedł na wcześniejszą emeryturę, podobno dlatego, że był zamieszany w kryminalną aferę. Grupa Dikicia wpadła, ponieważ jeden z jej członków miał się zgłosić do czarnogórskiej policji, żeby opowiedzieć jej o szykowanym zamachu. Ustalono, że plan polegał na tym, że gdyby wybory wygrał Đukanović, zamachowcy przebrani w policyjne mundury mieli bocznym wejściem →

Slogan opozycji „Albo my, albo on”, w oryginale „Mi ili on”, zgrabnie układa się w słowo „milion”, a jednocześnie jest aluzją do imienia Milo.



16 PAŹDZIERNIKA CZARNOGÓRCY ZDECYDOWALI O LOSACH SWEGO KRAJU

dostać się do budynku parlamentu i strzelaniną doprowadzić do rozruchów, a nawet porwać lidera.

Od razu pojawiło się pytanie, kto za tym stoi. Początkowo wydawało się, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest prowokacja, mająca na celu wywołanie u wyborców poczucia zagrożenia i nakłonienie niezdecydowanych do wsparcia urzędującego premiera. Potem się okazało, że sprawa nie jest tak oczywista. Prasa donosiła o nowych, sensacyjnych szczegółach, które zmieniły ocenę tej sytuacji. Ponad tydzień po czarnogórskich wyborach część grupy zamieszanej w próbę zamachu aresztowano w sąsiedniej Serbii. Tamtejsi politycy, na czele z premierem Aleksandarem Vučićem, zaprzeczali, by ich kraj miał związek z tymi ludźmi, oraz wskazywali na to, że w sprawę są zamieszani agenci wywiadów ze Wschodu i Zachodu. Pod koniec października gruchnęła wieść, że z Serbii zostali deportowani obywatele Federacji Rosyjskiej, oskarżeni o pozaprawną działalność. Choć rosyjscy i serbscy urzędnicy dementowali te sensacje, dziennikarze na Bałkanach połączyli ze sobą obydwie sprawy. Rozeszły się pogłoski, że chodziło właśnie o ludzi powiązanych z wydarzeniami w Czarnogórze. O aferze pisał nawet rosyjski „Kommiersant”, zaznaczając, że kładzie się ona cieniem na bardzo dobrych dotychczas stosunkach serbsko-rosyjskich. Ten skandal w Belgradzie próbował załagodzić Nikołaj Patruszew, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji, tyle że szybko pojawiły się komentarze, że po prostu wybrał się po swoich szpiegów.

Tymczasem już we wrześniu, czyli jeszcze przed wyborami, niektóre media czarnogórskie, komentując zbliżające się wybory, w alarmistycznym tonie informowały, że plany opozycji są pisane w Moskwie. Co więcej, w wypadku kolejnego zwycięstwa Đukanovicia Rosjanie nie będą mieli ochoty czekać cztery lata na przejście władzy przez jakieś

prorosyjskie ugrupowanie, więc szykowany jest plan B, w razie gdyby Front Demokratyczny nie objął władzy. Zwracano też uwagę na to, że liderzy prorosyjskiej partii w ciągu ostatnich miesięcy kilkakrotnie spotykali się z ludźmi Putina, m.in. z Siergiejem Naryszkinem, który od 5 października pełni funkcję szefa rosyjskiej służby wywiadu zagranicznego. Bieg wydarzeń pokazuje zatem, że jest możliwe, iż doniesienia publikowane w prorządowych mediach nie są jedynie elementem walki przedwyborczej. W każdym razie afera szpiegowska na Bałkanach zatacza coraz szersze kręgi. Pojawiły się nawet informacje, że szykowano zamach na premiera Serbii, Aleksandara Vučića.

MOGĘ, ALE NIE CHCĘ

Wkrótce po wygranych wyborach Đukanović ogłosił, że ustępuje ze stanowiska premiera. Oświadczenie wywołało lawinę komentarzy, bo oznaczałoby to, że lider zwycięskiej partii nie podejmuje się misji utworzenia rządu. Pozostaje jednak faktem, że Đukanović już dwa razy ogłaszał (w 2006 i w 2010 roku), iż wycofuje się ze sprawowania władzy, ale później wracał na kluczowe stanowiska. Możliwe więc, że i tym razem jest to zagrywka taktyczna, której celem może być ułatwienie nowemu premierowi sformowania koalicyjnego rządu.

Na szefa rządu jest typowany Duško Marković, długoletni współpracownik i zaufany człowiek Đukanovicia. Nie ma jednak wątpliwości, że sam Milo, który zachował dla siebie funkcję przywódcy partii DPS, będzie miał w wielu sprawach głos decydujący. Przypuszcza się także, że planuje on wziąć udział w wyborach prezydenckich w 2018 roku. Bez względu jednak na to, kto zostanie premierem i jaka będzie przyszłość Đukanovicia, Czarnogóra w czasie tegorocznych wyborów wyraźnie opowiedziała się po stronie Zachodu, Unii Europejskiej i NATO. ■



VII BIEG TYGRYSA

EDYCJA ZIMOWA ❄️ ORZYSZ / 28 STYCZNIA 2017



6 KATEGORII BIEGOWYCH
OD 8 KM DO 65 KM

NAJTRUDNIEJSZY BIEG W EUROPIE!

OD 30 DO 200+ PRZESZKÓD!

www.biegtygrysa.pl

 www.facebook.com/biegtygrysa

ORGANIZATORZY:



15 Gizińska Brygada
Zmechanizowana
im. Zawiszy Czarnego



Ośrodek Szkolenia
Poligonowego
Wojsk Łądowych
Orzysz



15 Mazurski
Batalion Saperów



24 Wojskowy
Oddział
Gospodarczy
w Górzycu



Wydział Żandarmerii
Wojskowej
w Bemowie Piskim



Polsko System
Walki Wręcz
HALLER



Nadleśnictwo
Drygály



Gmina Orzysz



Ochotnicza Straż
Pożarna w Orzyszu



Miejski Ośrodek
Sportu i Rekreacji



TADEUSZ WRÓBEL

Nieczysta gra

Rodrigo Duterte, nowy prezydent Filipin, zapowiada rozluźnienie więzi polityczno-wojskowych ze Stanami Zjednoczonymi.

Amerykanie takich problemów nie mieli w tym regionie od czasu japońskiej inwazji na Filipiny w grudniu 1941 roku. Powodem są kolejne deklaracje Rodriga Dutertego, sprawującego od 30 czerwca 2016 roku urząd prezydenta. Wywodzący się z wyspy Mindanao kontrowersyjny polityk pragnie rozluźnić powiązania polityczne i wojskowe z dawną metropolią kolonialną – Stanami Zjednoczonymi. Co gorsze, Duterte jako nowych sojuszników postrzega Chiny i Rosję, czyli głównych rywali Ameryki.

ZERO DYPLOMACJI

Rodrigo Duterte już w czasie kampanii prezydenckiej zasłynął z ostrych wypowiedzi o osobach, które mu się nie podobają. Choć Filipiny są najbardziej chrześcijań-

skim i katolickim państwem w Azji, dostało się wówczas np. papieżowi Benedyktowi. Nowy prezydent, niestety, nie zmienił swego zachowania po objęciu urzędu, czym już wywołał skandale dyplomatyczne. Baracka Obamę, dotąd najbliższego sojusznika Filipin, nazwał sk...nem. I nie był to jego jedyny antyamerykański występ. W Pekinie, w czasie jednej z pierwszych podróży zagranicznych stwierdził: „W tym miejscu ogłaszam separację od Ameryki. Może nie społeczną, ale militarną i ekonomiczną”. Z jego ust padła wówczas jeszcze jedna mocna deklaracja. „Może pojedę też do Rosji i powiem Putinowi, że teraz jest nas trzech przeciwko światu: Chiny, Filipiny i Rosja”.

Pod koniec października 2016 roku Daniel Russel, asystent amerykańskiego sekretarza stanu ds. Azji

PODPISANY W 1951 ROKU TRAKTAT Z USA O WZAJEMNEJ OBRONIE NA RA- ZIE WYDAJE SIĘ NIEZAGROŻONY

MATTHEW TROYER/USMC

Wschodniej i Pacyfiku, przyznał, że wypowiedzi prezydenta Filipin stworzyły „klimat prawdziwej niepewności” wokół zamiarów jego rządu. W pekińskich deklaracjach Rodrigo Duterte zdawał się sugerować, że jego administracja jest gotowa wypowiedzieć podpisany w 1951 roku traktat z USA o wzajemnej obronie. Po powrocie do kraju polityk jednak stonował antyamerykańskie wypowiedzi. Tłumaczył, że nie chodziło o zerwanie stosunków dyplomatycznych, a jedynie o zmodyfikowanie polityki zagranicznej, dotąd zbyt mocno ukierunkowanej na Waszyngton: „Nie powinno być żadnych obaw o zmianę sojuszy. Nie muszę ich zawierać z innymi narodami”, zapewniał Duterte japońskich dziennikarzy przed wizytą w Tokio. Wyjaśnił również, że bliskie relacje z Chinami i Rosją mają dotyczyć kwestii gospodarczych.

Duterte chce, aby z południa Filipin wycofały się amerykańskie wojska specjalne, które szkoliły miejscowych i doradzały im w kwestii zwalczania islamskich grup terrorystycznych. Amerykanie pojawili się tam w 2002 roku i w szczytowym okresie na Mindanao było ponad tysiąc specjalsów. W 2015 roku siły te jednak zostały zredukowane. Japońskim dziennikarzom Duterte powiedział, że nie może się doczekać chwili, gdy w jego kraju nie będzie innych żołnierzy oprócz filipińskich.

Inna wypowiedź prezydenta postawiła pod znakiem zapytania przeprowadzanie w przyszłości dużych ćwiczeń amerykańsko-filipińskich. Perfecto Yasay, szef filipińskiej dyplomacji, twierdzi jednak, że Duterte został źle rozumiany, a jego uwagi wyjęto z kontekstu. Podjęto jedynie decyzję o wycofaniu się Filipin ze wspólnych z USA patroli poza pasem ich wód terytorialnych, żeby nie zostały wciągnięte w konflikt z Chinami. Z drugiej strony, sam prezydent Duterte ujawnił, że polecił sekretarzowi obrony Delfinowi Lorenzanie, by wojskowi nie przygotowywali przyszłorocznych manewrów z Amerykanami. Może to oznaczać, że choć Duterte nie wypowie traktatu z 1951 roku, to wycofa się z podpisanej 28 kwietnia 2014 roku w Manili umowy o zwiększonej współpracy obronnej, dzięki której amerykańskie okręty, samoloty i żołnierze mogą korzystać z filipińskich baz. Na początku 2016 roku pojawiły się informacje, że poprzedni rząd Filipin zaoferował Amerykanom trzy bazy, w tym lotniczą Clark i morską Subic Bay, na wyspie Luzon, a także dostęp do znajdujących się na niej trzech cywilnych lotnisk i portów. Oferta obejmowała również dwie bazy na wyspie Palawan.

Na razie jednak za zapowiedziami o wycofaniu się ze współpracy wojskowej nie poszły żadne formalne decyzje. Gdyby jednak Rodrigo Duterte zrealizował deklaracje o zmianie aliansów, oznaczałoby to poważny problem dla Stanów Zjednoczonych, bo Filipiny były pewnym sojusznikiem w rywalizacji z Chinami. Spory z Pekinem o przebieg granicy na Morzu Południowochińskim zbliżyły znowu Manilę do Waszyngtonu po latach ochłodzonych relacji z dawną metropolią. Chińczycy roszczą sobie prawa do większości akwenu i nie przejmują się niekorzystnymi dla nich wyrokami międzynarodowych sądów. W lipcu 2016 roku trybunał →

arbitrażowy w Hadze uznał rację Filipin w sporze o wyspę Scarborough Shoal, którą Chiny kontrolują od 2012 roku. Tymczasem Duterte jest gotowy na ustępstwa w tej sprawie. Jeszcze jako kandydat na prezydenta sugerował Chińczykom, że rozwiązanie sporów terytorialnych może być kwestią ustalenia konkretnej ceny. Ustępstwa terytorialne z jego strony mogą jednak doprowadzić do wewnętrznego kryzysu politycznego, bo zrazi sobie mających duże wpływy nacjonalistów.

POLITYCZNY WYŁOM

Dlaczego prezydentowi Filipin bliżej jest do Chin i Rosji niż USA czy Unii Europejskiej? W pewnym stopniu decyduje o tym jego osobowość i lewicowe sympatie polityczne. Jego ojcem jest Vicente Gonzales Duterte, gubernator prowincji Davao w latach 1959–1965. Niektórzy źródła jego antyamerykańskich poglądów upatrują w kontaktach z czasów studiów prawniczych na uniwersytecie w Manili, gdzie wykładowcą był Jose Maria Sison, założyciel powstałej 28 grudnia 1968 roku maoiistowskiej Komunistycznej Partii Filipin (jej zbrojne ramię Nowa Armia Ludowa prowadzi wojnę partyzanczką z państwem filipińskim od 1969 roku).

Sam Rodrigo Duterte nigdy formalnie nie związał się z komunistami, a karierę polityczną zrobił, kreując się na silnego człowieka, przestrzegającego prawa, ale tylko wtedy, gdy uzna to za korzystne. Takie podejście prezentował, kiedy był zastępcą burmistrza i burmistrzem stolicy Mindanao. W tym czasie rozpoczął krucjatę przeciwko narkomanii, uciekając się do zabijania bez wyroków sądowych. Organizacja Human Right Watch oszacowała, że za jego rządów w Davao policja oraz szwadrony śmierci zabiły ponad 1400 osób uznanych za przestępców, nawet nieletnich. Za siłową rozprawą z narkomanią Duterte opowiada się też jako prezydent kraju, co ściągnęło na niego krytykę państw zachodnich i ONZ. „Mój rozkaz brzmi – zabić. Nie obchodzą mnie prawa człowieka. Mam gdzieś to, co o mnie mówią”, zapewnia. To jednak nie do końca prawda, bo wulgaryzm wobec Obamy był odpowiedzią na krytykę takich, niezgodnych z prawem działań Dutertego. Prezydent Filipin nie widział natomiast nic złego w tym, by porównać swe postępowanie do tego, co robił Adolf Hitler.



PHILIPPINES GOVERNMENT

FILIPIŃCZYCY NIE ZWRACAJĄ UWAGI NA DYPLOMATYCZNE GAFY CZY STRATEGICZNE WOLTY PREZYDENTA. POSTRZEGAJĄ GO JAKO TWARDEGO BOJOWNIKA W WALCE Z PRZESTĘPCZOŚCIĄ

Rozprawienie się z narkobiznesem popiera jednak większość Filipińczyków, którzy widzą w prezydencie człowieka spoza dotychczasowej elity, zwanej tu „konyo”. Ludzie nie zwracają uwagi na dyplomatyczne gafy czy strategiczne wolty. Nie przeszkadzają im też chamskie odzywki. Postrzegają go jako twardego bojownika w walce z przestępczością. Stąd jeden z jego przydomków to „Duterte Harry”, nawiązujący do „Brudnego Harry’ego” (Dirty Harry), filmowego, bezwzględnie amerykańskiego policjanta. Filipińczycy, z których co czwarty żyje na granicy nędzy, wiążą z Duterte również nadzieje na poprawę swego bytu i sprawiedliwszy podział dochodu narodowego.

Nie sposób nie zauważyć, że spore znaczenie w zmianie frontu mogą mieć chińskie pieniądze. Władze w Pekinie okazały się bardziej szczodre niż Waszyngton. W czasie wizyty w stolicy Państwa Środka Duterte uzyskał pożyczki w wysokości 9 mld dolarów oraz promesy umów handlowych na kolejne 13,5 mld dolarów. Niemniej jednak teraz głównymi partnerami gospodarczymi Filipin są Amerykanie i ich azjatyccy sojusznicy, tacy jak Singapur czy Japonia. Do tego znaczącą część produktu krajowego brutto Filipin stanowią pieniądze przesyłane przez diaspore w Stanach Zjednoczonych, która liczy prawie 2 mln ludzi.

Co więcej, większość Filipińczyków, mimo pewnych antyamerykańskich resentymentów, ma zupełnie inny stosunek do USA niż ich prezydent. Z sondażu przeprowadzonego w 2015 roku przez Pew Research Center wynikało, że pozytywnie do Stanów Zjednoczonych odnosi się aż 92% mieszkańców Filipin. Na drugim miejscu była Ghana (89%), a Polska razem z RPA na 13 miejscu (74%). Tym samym Filipińczycy są najbardziej proamerykańską nacją na świecie. I te nastroje Duterte musi uwzględnić w swych politycznych rachubach.

Amerykańscy politycy starają się zachować spokój i, mimo obraźliwych wypowiedzi Dutertego, podkreślają wolę dalszej współpracy politycznej i militarnej ze starym sojusznikiem. Przejawem dobrej woli są także takie gesty, jak przekazanie filipińskim siłom powietrznym kolejnego samolotu transportowego C-130. ■



MICHAŁ
KUŹ

Trump a sprawa polska



Polityka zagraniczna kolejnego prezydenta Stanów Zjednoczonych może stworzyć dla Polski nowe wyzwania, ale i nowe szanse. Trumpowska strategia międzynarodowa opiera się na trzech założeniach. Po pierwsze, na postrzeganiu Chin – a nie Rosji – jako głównego adwersarza USA. Po drugie, na traktowaniu działań neoprotekcyjnistycznych jako sposobu na reindustrializację Ameryki. Po trzecie, na ograniczeniu migracji jako zagrożenia dla stabilności wewnętrznej państw rozwiniętych, w tym USA. Wszystkie pozostałe elementy są tylko pochodnymi tych trzech założeń.

Skupienie się na Chinach oznacza kontynuację polityki zwrotu (pivotu) ku Azji i to nawet z równoczesnym odstąpieniem od transpacyficznej umowy handlowej. Donald Trump jako protekcionista nie chce być związany wielkimi umowami i woli bardziej elastyczne regulacje. Kontynuacja „pivotu” oznacza jednak, że będzie się domagać, aby natowscy sojusznicy USA w większym stopniu brali odpowiedzialność za swoją obronność. Co więcej, Trump już wie, co zrobić z zaoszczędzonymi w ten sposób pieniędzmi – zapowiada największy od dekad plan rozbudowy amerykańskiej marynarki wojennej. Jak donosi tygodnik „Navy Times”, flota ma wrócić do stanu z 1998 roku, co w konsekwencji ma doprowadzić do zaciągu około 10 tys. nowych marynarzy, a budowa nowych okrętów będzie kosztować 10 mld dolarów. Nietrudno się też domyślić, że jednostki te mają być raczej skierowane na teatr pacyficzny i tam działać odstrasząco na Chiny, których ambicje są coraz większe. Częścią tej antychińskiej polityki jest również chęć dokonania kolejnego resetu w stosunkach z Rosją. Strategiczna współpraca z Kremlm pozwoliłaby wywierać większy nacisk na Państwo Środka. Rosja zaś nie jest już w tej chwili realnym pretendentem do hegemonii globalnej czy choćby, jak Chiny, do stania się biegunem nowego bipolarnego podziału wpływów. Ambicje Kremla są jednak większe niż jego realne możliwości. Oznacza to, że Rosja prawie na pewno będzie żądać więcej niż USA zechcą zaoferować. Nowy reset z dużym prawdopodobieństwem zakończy się więc fiaskiem.

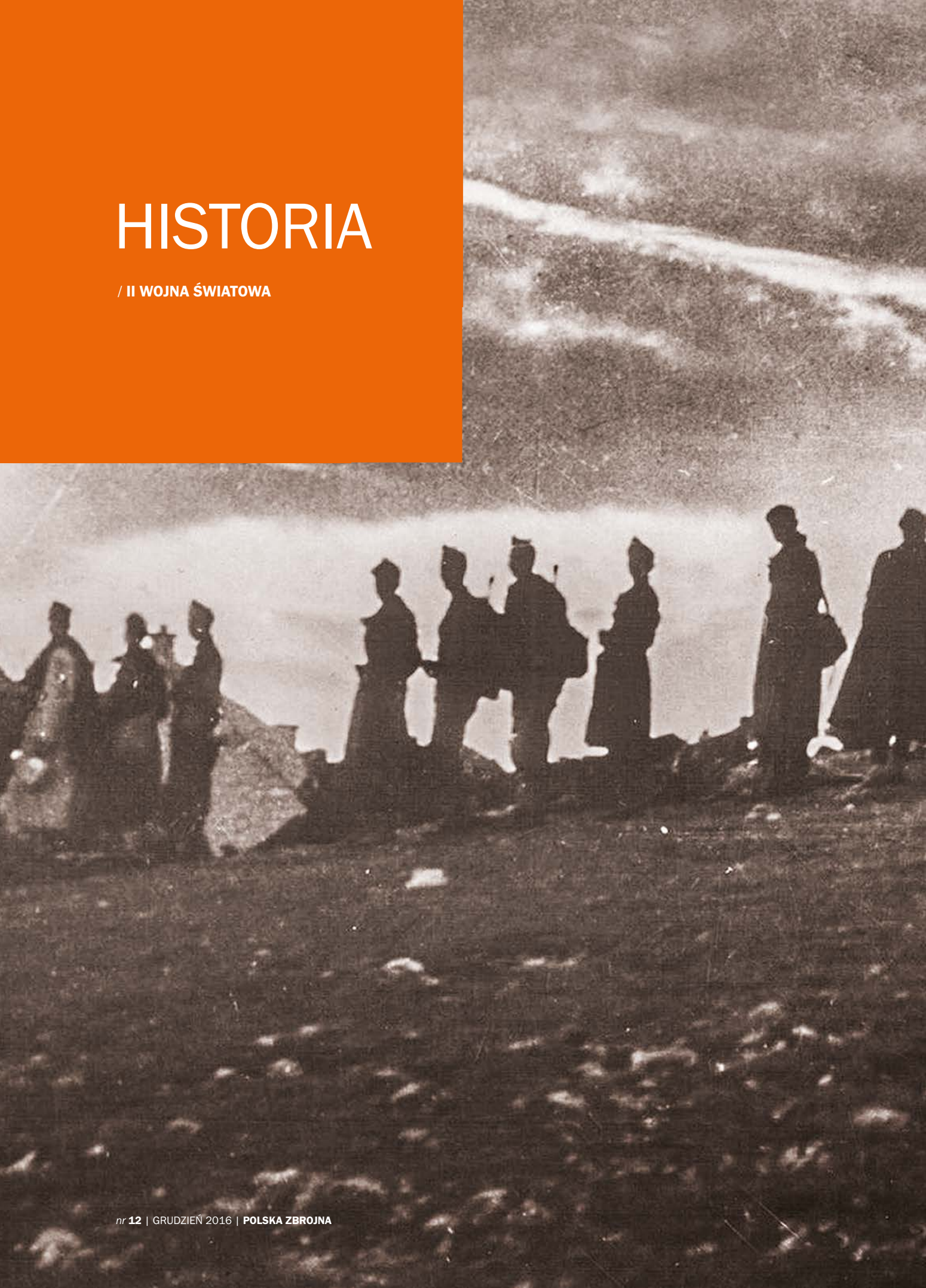
Właśnie takie fiasko powoduje, że przed Europą Środkowo-Wschodnią pojawiają się nowe szanse. Trump już teraz ma problemy z porozumieniem się z niemieckimi decydentami. W sytuacji gdy próba dogadania się z Moskwą nie przyniesie rezultatu, taki układ dawałby nowe możliwości. Nie znajdując wspólnego języka ani z Rosją, ani z coraz bardziej antyamerykańskimi politykami niemieckimi, administracja w Waszyngtonie może uznać, że nie ma sensu inwestować w drogie, przeterośnięte bazy wojskowe w Niemczech. Tańszym, a jednocześnie dającym USA pewną kontrolę w regionie, rozwiązaniem byłoby dalsze dozbrojenie np. Polski, Rumunii i krajów bałtyckich – czy to poprzez transfer technologii, czy zwiększenie obecności wojskowej. Udana negocjacje z Rosją byłyby dla Polski scenariuszem nie najlepszym, dla Ukrainy zaś fatalnym. Rosja zażądałaby bowiem w pierwszym ruchu uznania status quo na Krymie oraz w Donbasie. Z kolei Polska, związana sojuszem z USA, nie byłaby w stanie w żaden sposób pomóc Ukrainie. Nawet taki scenariusz nie będzie jednak oznaczał po prostu uznania prawa Rosji do powrotu do dawnych wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. Wiązałoby się to bowiem ze zbyt dużymi stratami geopolitycznymi USA i przy okazji uderzyło w ich wizerunek jako globalnej potęgi. Na tego typu kwestie nowy prezydent wydaje się zaś szczególnie wyczulony.



Dr MICHAŁ KUŹ jest pracownikiem Uczelni Łazarskiego (Katedra Badań nad Polityką), ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego i redaktorem „Nowej Konfederacji”.

HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA





PIOTR KORCZYŃSKI

PO DWÓCH STRONACH BARYKADY

**Za waszą wolność, a nasze przetrwanie,
czyli polscy bohaterowie Jugostawii.**



R

egularna armia Królestwa Jugosławii szybko skapitulowała po błyskawicznym ataku Wehrmachtu w kwietniu 1941 roku. Był to jednak dopiero początek krwawej batalii, jaka rozpętała się w bałkańskim tyglu. W okrutnej partyzanckiej wojnie, w której każdy bił się z każdym, było zaangażowanych wielu Polaków. Często nasi rodacy przypadkowo stawali się czetnikami Mihajlovicia lub partyzantami Tity. Tak jak dwóch Polaków, których – chociaż stanęli po obu stronach jugosłowiańskiej barykady – jedno łączyło: bezpardonowa walka z hitlerowskimi Niemcami.

BAŁKAŃSKIE KORZENIE

W nocy z 16 na 17 czerwca 1943 roku na Homalijskiej Planinie we wschodniej Serbii został zrzucony na spadochronie kpt. Józef Maciąg „Wala”, który na potrzeby operacji przybrał nową tożsamość: kpt. John Peter „Nash”. Ten niezwykle inteligentny i zdolny oficer urodził się w Bośni, ale jego ojciec pochodził spod Kolbuszowej na Rzeszowszczyźnie i jako chorąży artylerii górskiej armii austro-węgierskiej znalazł się w Sarajewie. Tam poznał i poślubił 17-letnią Chorwatkę. Po wybuchu I wojny światowej walczył m.in. pod Isonzo we Włoszech i pod Verdun, a później wstąpił do Błękitnej Armii i w jej szeregach wrócił do Polski. Zamieszkał z rodziną w Białej Podlaskiej, gdzie pełnił służbę w 9 Pułku Artylerii Lekkiej. Józef poszedł w ślady ojca i wstąpił do korpusu kadetów w Rawiczu. W 1934 roku ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej i w stopniu podporucznika dostał przydział do 4 Pułku Piechoty w Białej Podlaskiej.

W 1938 roku na kursie narciarskim złamał nogę i po kilku skomplikowanych operacjach wyje-

chał na rekonwalescencję do Jugosławii, skąd wrócił w sierpniu, na wieść o groźbie wybuchu wojny. Nie zastał już swego oddziału w garnizonie, więc został skierowany do dowództwa Okręgu IX Korpusu w Brześciu nad Bugiem i tam, w walkach z oddziałami pancernymi Heinza Guderiana, przeszedł chrzest bojowy. Następnie brał udział w bitwie pod Kockiem, w szeregach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Ranny wrócił do domu, ale szybko wyzdrowiał i wstąpił do miejscowej komórki Służby Zwycięstwu Polski.

Maciąg postanowił jednak dotrzeć do armii gen. Władysława Sikorskiego we Francji. Po pierwszej nieudanej próbie przejścia granicy w okolicy Rabki, wiosną 1940 roku w pobliżu Piwnicznej przeszedł na Słowację, skąd przez Węgry, Jugosławię i Włochy dostał się na Bliski Wschód. W Palestynie latem 1940 roku wstąpił w szeregi Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich i dostał przydział do ośrodka zapasowego, a następnie do Szkoły Podchorążych, w której był instruktorem.

Doskonała znajomość języka serbskiego oraz realiów bałkańskich spowodowała, że zarówno władze polskie, jak i brytyjskie chciały wykorzystać por. Maciąga do operacji specjalnych w Jugosławii. W styczniu 1943 roku został przyjęty do Special Operations Executive (SOE) i rozpoczął intensywny trening spadochronowy oraz wywiadowczo-dywersyjny. Pod koniec maja 1943 roku awansował do stopnia kapitana i wyjechał do Tobruku, a następnie do bazy w Darnie, zaopatrującej komandosów i partyzantów na Bałkanach. Tam wsiadł wraz z Irlandczykiem, kpt. Davidem Russelem i radiotelegrafistą sierż. Ridewoodem do liberatora. Po przelocie 900 mil znaleźli się nad górami Homolje. Piloci, nie dostrzegłszy ogni sygnałowych, dwukrotnie zawracali do bazy. Dopiero za trzecim razem trzej komandosi wylądowali na Homoljskiej Planinie niedaleko zagłębia miedziowego Bor



Józef Maciąg „Wala” (zdjęcie z końca lat trzydziestych XX w.)



Tadeusz Sadowski „Tomo” (w środku) jako zastępca szefa zwiadu
brygady Wojka

W MAJU 2016 ROKU W POBLIŻU JASKINI, GDZIE W 1944 ROKU „TOMO” PRZEPRO- WADZIŁ AKCJĘ WYSADZENIA SKŁADÓW NIEMIECKIEGO PALIWA, ODSŁONIĘTO POMNIK NA JEGO CZĘŚĆ

i miejscowości Żagubica. Przejeli ich czetnicy z brygady ochraniającej brytyjską misję wojskową mjr. Erika Greenwooda. Kpt. „Nash” miał z nią współpracować, a jednocześnie wykonywać zadania zlecone mu przez Oddział Specjalny Sztabu Naczelnego Wodza.

Brytyjska misja wojskowa nieprzypadkowo działała w górzystym terenie otoczonym rzekami: od zachodu Morawą, od północy i wschodu Dunajem, a od południa Timokiem. To właśnie tam Niemcy zorganizowali na Dunaju transport ropy naftowej z Rumunii, a w pobliskim Borze znajdowała się największa w Europie kopalnia miedzi. Kpt. Maciąg, by zintensyfikować robotę dywersyjną na tym terenie, wpadł na pomysł utworzenia oddziału partyzanckiego z polskich robotników przymusowych zatrudnionych tutaj przy wydobyciu miedzi.

Na powołanie polskiej kompanii w Jugosławii wyraził zgodę sam przywódca czetników, gen. Dragoljub Mihailović. Pierwszych ochotników „Nash” werbował, chodząc po ulicach Boru i wyławiając z tłumu ludzi mówiących po polsku. Następni, na wieść o polskim oddziale, przychodzili w góry sami: na początku lipca 1943 roku kompania liczyła już stu dobrze uzbrojonych w brytyjską broń partyzantów, a z czasem oddział miał blisko trzysta osób.

SPEKTAKULARNE AKCJE

Do najgłośniejszych akcji dywersyjnych Polaków kpt. „Nasha” należało wysadzenie w górze Gornjak tunelu,

który dla Niemców miał być częścią linii kolejowej łączącej Belgrad z Sofią i Salonikami, oraz uwolnienie jeńców sowieckich z obozu pod Turnu Severin. Celem polskich partyzantów stała się także żegluga na Dunaju. 26 października 1943 roku ludzie „Nasha” razem z partyzantami ostrzelali niemieckie holowniki oraz barki z benzyną i płonące wraki na wiele godzin zatarasowały rzekę. Jednocześnie kpt. Maciąg przez cały czas pracował nad otwieraniem polskich punktów kontaktowo-przerzutowych na terenie Rumunii i Jugosławii, dzięki którym sprowadził kilkuset internowanych Polaków i jeńców sowieckich.

Po tak spektakularnych akcjach partyzanckich Niemcy przeprowadzili w listopadzie 1943 roku w Homolje wielką operację pacyfikacyjną. Zaostrzyły się także stosunki z czetnikami, którym nie podobały się działania polskiego oficera i jego brytyjskich towarzyszy. Dla nich wrogiem numer jeden nie byli już wówczas Niemcy czy Włosi, lecz rodacy z komunistycznej partyzantki Broza-Tity. Na przełomie listopada i grudnia, na wieść o tym, że misja wojskowa zdecydowała się współpracować ze sztabem Tity, doszło do jawnego konfliktu między Brytyjczykami a czetnickim dowództwem. W takiej sytuacji Brytyjczycy i Polacy musieli przenieść się w góry.

Rankiem 2 grudnia 1943 roku w górach spadł obfity śnieg i chwycił ostry mróz. Anteny nadawcze misji były tak oblodzone, że uniemożliwiło to nadanie meldunku do



sztabu w Kairze. Tymczasem w pobliżu pojawiło się kilkadziesiąt ciężarówek niemieckiej ekspedycji karnej i kpt. Maciąg, kilkunastu polskich partyzantów, jeden z kierowców brytyjskiej misji, kpt. Mickey „Joy”, radiotelegrafista Ridewood oraz zobowiązana do ochrony misji czetnicka brygada znaleźli się w okrążeniu.

W nocy z 10 na 11 grudnia kapitanowie „Nash” i „Joy” nocowali u zaprzyjaźnionego Serba we wsi Suke Majdanpek. O świcie zostali otoczeni przez dwa plutony niemieckiej piechoty zmotoryzowanej, podprowadzone skrycie górskimi ścieżkami przez zdrajców. Niemcy zaskoczenia zaatakowali biwakujących przed domem partyzantów – trzech zabili na miejscu, dwóm udało się uskoczyć za budynek. Rozbudzony palbą karabinową „Nash” otworzył przez okno ogień z pistoletu maszynowego. Razem z nim strzelali gospodarz domu i jeden z polskich partyzantów. Niemieccy żołnierze skoncentrowali ogień na oknie. Wykorzystał to Ridewood, który w samej bibliźnie, ale z radiostacją pod pachą, wyskoczył przez drugie okno i uciekł do lasu. Kpt. „Joy” z powodu gorączki nie mógł podnieść się z łóżka.

Ponad godzinę obrońcy nie dopuszczali Niemców do chaty. Kiedy jednak pocisk dosięgnął łącznika, jeden z nieprzyjaciół podczołgał się pod okno i rzucił w nie ręczny granat. Oszołomionego wybuchem „Nasha” śmiertelnie przeszła kula z pistoletu. Ostatni poległ dzielny gospodarz domu. Wtedy chorego kapitana „Joya” Niemcy wzięli do niewoli. Znamienne, że w czasie trwającej ponad godzinę walki nie przybyli do wsi odpowiedzialni za bezpieczeństwo misji czetnicy... Następnego dnia do miejsca tragicznej walki dotarli dwaj członkowie brytyjskiej misji wojskowej, odkopali świeżą mogiłę i zidentyfikowali ciało kpt. „Nasha”.

Kpt. Józef Maciąg pośmiertnie został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy. Jego grób znajdował się na cmentarzu we wsi Suke, ale został przeniesiony na Wojskowy Cmentarz Angielski w Belgradzie.

TOMO W SWOIM ŻYWIOLU

W szeregach jednego z oddziałów partyzanckich marszałka Tity walczył Tadeusz Sadowski „Tomo”. Pochodził ze wsi Babica w województwie krakowskim. Jego ojciec służył w armii austriackiej i brał udział w kampanii na froncie włoskim. Kiedy wybuchła II wojna światowa, Tadeusz najpierw pracował u niemieckiego bauera na Śląsku, później w kamieniołomie pod Mallnitz w austriackich Alpach, aż w końcu w 1942 roku wyjechał do Villach – miejscowości leżącej na granicy ze Słowenią. Tam pracował w parowozowni, gdzie nawiązał kontakty ze Słowencami zaangażowanymi w konspirację.

Wtedy zwróciło na niego uwagę miejscowe gestapo. Ostrzeżony przed aresztowaniem uciekł z Villach, ale po drodze wpadł w zasadzkę niemieckiej straży granicznej. Osadzono go w więzieniu w Begunje i na przesłuchania wożono do położonego kilkanaście kilometrów dalej Blendu. W czasie jednego z konwojów samochód więzienny wpadł w poślizg i rozbił się na drzewie. Sadowski wykorzystał tę sytuację i uciekł do lasu. Po kilku dniach błędnie się spotkał partyzantów z Gorenjskiego Oddziału i do nich się przyłączył. Przyjął wtedy pseudonim „Tomo” – od Toma Miksa, bohatera kowbojskich książek, w których się zaczytywał w dzieciństwie.

Szybko sprawdził się „Tomo” w działaniach partyzanckich. Wyróżnił się m.in. w ataku na garnizon niemiecki w Bistricy nad Drawą. W tym miejscu rozbił również obóz dla jeńców sowieckich i zniszczył fabrykę akumulatorów.

Rosła sława Sadowskiego wśród partyzantów. We wrześniu został mianowany zwiadowcą do zadań specjalnych Gorenjskiego Batalionu, wchodzącego w skład brygady dowodzonej przez Janko Premrla-Vojka z 26 Dywizji Wojska Ludowowyzwoleńczego (NOV) i Oddziałów Partyzanckich (POJ). W październiku, dzięki rozpoznaniu przeprowadzonemu przez Polaka, batalion rozbił doszczętnie niemieckie placówki w dolinach Poljanskiej i Sovodenej, za co „Tomo” dostał szlify oficerskie Narodowej Armii Wyzwolenia Jugosławii (NOVJ). Za wyprowadzenie Gorenjskiego Batalionu z okrążenia Sadowski dostał propozycję objęcia nad nim dowództwa. Odmówił, bo twierdził, że jest zwiadowcą i dywersantem, a takie działania to jego żywioł. Został więc zastępcą szefa zwiadu brygady Vojka.

POSZUKIWANY ŻYWY LUB MARTWY

Rok 1944 przyniósł „Tomo” największe sukcesy bojowe. W nocy z 5 na 6 lutego na czele grupy dywersyjnej sparaliżował pracę jednej z największych w Europie kopalni rudy rtęci w miasteczku Idrija. Polakowi udało się niepostrzeżenie przejść przez posterunki przeciwnika i dotrzeć do szybu kopalni, gdzie podłożył ładunki wybuchowe. Po eksplozji kopalnia została zalana wodą. Niemcy szybko sprowadzili specjalne pompy, by jak najszybciej przywrócić wydobywanie. „Tomo” jednak ze swymi ludźmi wysadził elektrownię, która dostarczała do kopalni prąd, i pompy stanęły. Po tej akcji Słowenci zaczęli mówić na zuchwałego Polaka „hudournik”, czyli ptak, który zwiastuje burzę. Niemcy tymczasem oblepili większe słoweńskie miejscowości listami gończymi, w których za żywego lub martwego „bandytę Tomo” oferowali wysoką nagrodę. Wtedy Polak postanowił uderzyć wroga w wyjątkowo czuły punkt.

W słynnych grotach pod średniowiecznym zamkiem Predjamski Grad w Postojnej Niemcy jesienią 1943 roku



POLACY CZĘSTO ODMAWIALI BRANIA UDZIAŁU W BRATOBÓJCZYCH WALKACH I UCIEKALI Z CZETNICKICH ODDZIAŁÓW OPOWIADAJĄCYCH SIĘ PO STRONIE NIEMCÓW, A WTEDY, PO SCHWYTANIU, GINĘLI JAKO ZDRAJCY WIELKIEJ SERBII

urządzili olbrzymie składy benzyny dla wojsk operujących w Jugosławii i w północnych Włoszech. „Tomo” przygotował plan zniszczenia podziemnych magazynów. Wieczorem 22 kwietnia 1944 roku na czele ośmiu starannie dobranych zwiadowców i minerów wraz z 20-osobowym oddziałem ubezpieczającym uzbrojonym w broń maszynową dotarł w pobliże Predjamskiego Gradu. Tam wskazał swym ludziom wejście do nieznanego Niemcom podziemnego przejścia do grot. Partyzanci musieli przedrzeć się przez kolczaste zasieki wokół zamku, wyłamać ciężkie, okute żelazem, zamkowe wrota, przebić się przez mur i niezauważenie przejść odcinek wzdłuż torów nieużywanej podziemnej kolejki wąskotorowej dla turystów. Wszystko to się udało.

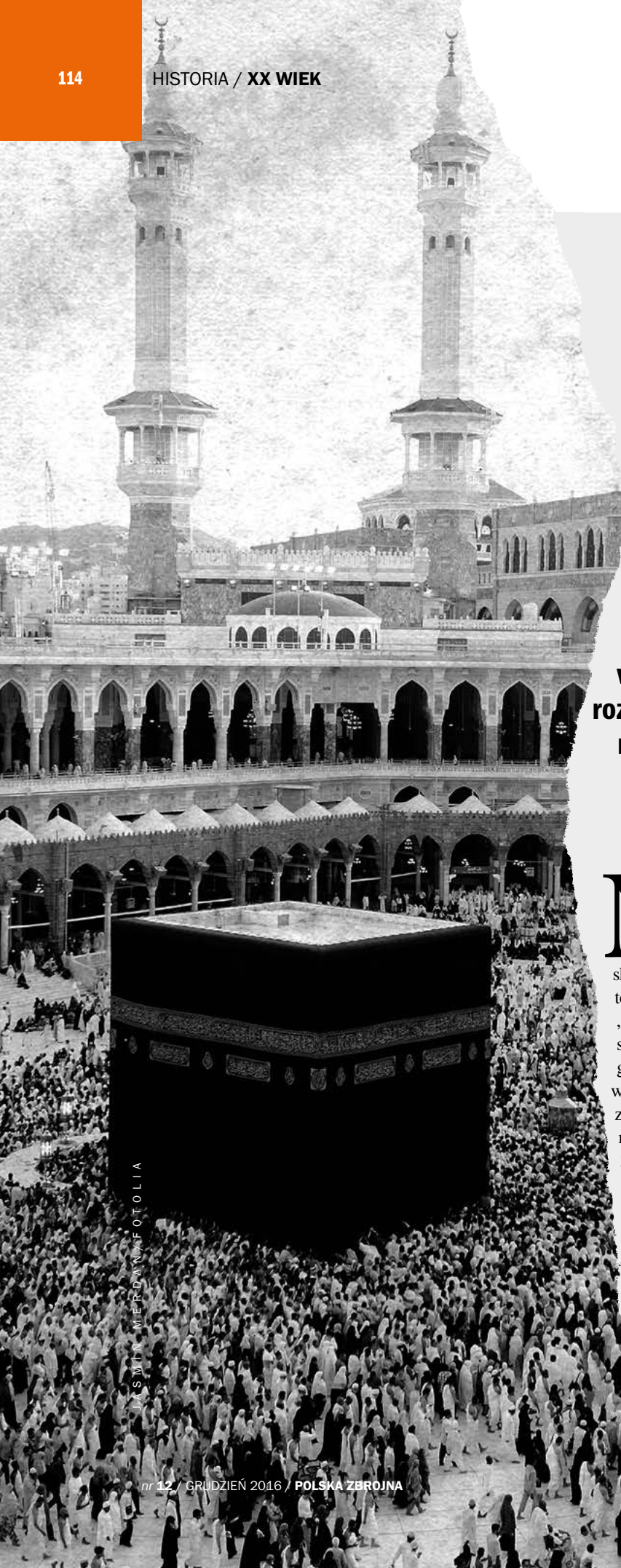
Kiedy jednak partyzanci dotarli do przestronnej grotki wypełnionej beczkami z benzyną, okazało się, że świdry ich ręcznych wiertarek nie mogą przebić blachy pojemników. „Tomo” zdecydował się łomem podważać zakrętki beczek. Paliwo zaczęło w końcu spływać do podziemnej rzeczki, a minery założyli ładunki wybuchowe. Hałas wybijanych korków zaalarmował wartowników, ale było już za późno – olbrzymia eksplozja rozświetliła całą okolicę. Dywersanci „Tomo” wycofali się bez strat. Wprawdzie jednemu partyzantowi ogień odciął drogę odwrotu, ale i on po kilku dniach, choć ciężko poparzony, dołączył do oddziału. Składy benzyny płonęły przez siedem dni, a Słoweńcy zaczęli śpiewać o Sadowskim ballady.

Od tego momentu Polaka opuściło szczęście. Najpierw w czasie krwawych walk w dolinie Baška „Tomo” został ranny w lewą rękę. Po wyleczeniu wrócił do brygady, ale towarzysze broni zauważyli, że się zmienił. Zaczęły zawodzić mu nerwy, a dla zwiadowcy to wyrok. Pod koniec sierpnia „Tomo” dostał zadanie zdobycia umocnionych pozycji na Czarnym Wierchu, obsadzonych przez domobranów, czyli żołnierzy regularnej armii marionetkowego Niezależnego Państwa Chorwackiego. Atak przeprowadzony 1 września się udał, a „Tomo” osobiście wysadził jeden z bunkrów. I to był ostatni sukces tego zwiadowcy.

W połowie listopada brygada dowodzona przez Karela Leskoveca „Vojkę”, przyjaciel Tadeusza Sadowskiego, dostała zadanie zdobycia mostu na rzece Selščica w Praprotniej. Nie było to łatwe, bo dostępu do przeprawy broniły zasieki i bunkry z gniazdami karabinów maszynowych, a w pobliżu stacjonowało 2 tys. Niemców. Polak pomógł jednak przyjacielowi opracować plan akcji. Siły partyzanckie podzielono na cztery grupy szturmowe, które o zmroku ruszyły wzdłuż rzeki. Szum wody zagłuszył odgłosy skradania się i przecinania drutu. Na sygnał dowódców na niemieckie bunkry posypał się grad pocisków z cekaemów i granatników; zlikwidowano wartowników na moście, ale nie zdołano uciszyć obsług bunkrów, które w świetle rakiet ogniem przygwoździły partyzantów do ziemi.

Atak załamał się i wobec nieuchronnego nadejścia odsieczy trzeba było się wycofać. Oślepiiony błyskiem jednej z rakiet „Tomo” zaplątał się w zasiekach z drutu kolczastego i w tym momencie dosięgły go kule. Pospieszył mu z pomocą „Vojko”, ale Polak skonał w jego ramionach. Ze względu na nadchodzących z odsieczą Niemców, „Vojko” musiał zostawić ciało przyjaciela. „Tomo” został pochowany u stóp zbocza Podhostnika niedaleko wsi Bukovica, obok dwóch partyzantów słoweńskich.

Do dziś Tadeusz Sadowski jest uważany w Słowenii za jednego z bohaterów antyhitlerowskiego ruchu oporu. Nicco inaczej postrzegany jest natomiast w Polsce. Po ucieczce z rąk gestapo „Tomo” trafił do oddziału partyzanckiego podległego Ticie, co według niektórych jest niewybaczalnym błędem. Jakby niespełna 20-letni Polak po ucieczce w góry miał jakiś wybór... Zresztą historia kpt. „Nasha” pokazuje, że i Polacy walczący po stronie czetników nie mieli łatwo. Tym bardziej że polskie władze wojskowe zakazywały im walki z kimkolwiek innym niż Niemcy i ich zdeklarowani sojusznicy. Polacy często odmawiali brania udziału w bratobójczych walkach i uciekali z czetnickich oddziałów opowiadających się po stronie Niemców, a wtedy, po schwytaniu, ginęli jako zdrajcy Wielkiej Serbii. ■



J. SMIT / MERIDIAN / FOTOLIA

ROBERT CZULDA

Szturm na meczet

Z pozoru mało istotne, lokalne wydarzenie, jakim było dwutygodniowe oblężenie meczetu w saudyjskiej Mekce w 1979 roku, dało grunt pod rozwój sunnickiego ekstremizmu religijnego, z którym Zachód boryka się do dziś.

Niezwyczajna historia, która wpłynęła na losy świata, zaczęła się od osoby wówczas całkowicie nieznannej. Był nią niejaki Dżuhajman al-Otajbi, były kapral saudyjskiej Gwardii Narodowej. Z czasem, za sprawą salafitów, zradykalizował się na tyle, że zaczął krytykować „liberalną” wersję saudyjskiego islamu. Opowiadał się za całkowitym wyrugowaniem elementów „wrogiej i zepsutej” kultury zachodniej oraz postulował wyrzucenie wszystkich niemuzułmanów ze świętej ziemi islamu. Al-Otajbi przekonywał, że królewska rodzina Saudów jest skorumpowana i uzależniona od Zachodu i jako taką trzeba obalić ją siłą, a Arabia Saudyjska musi oczyścić się z herezji, niemoralności i dekadentckiego konsumpcjonizmu. Jedynym rozwiązaniem miało być wprowadzenie sunnickiej teokracji, opartej ściśle na zasadach islamu bez jakichkolwiek odstępstw.

By zyskać zwolenników, Al-Otajbi ogłosił, że jego szwagier jest Mahdim, a więc boskim zbawicielem. Według tej narracji, zbliżały się dni ostateczne i należało się do tego przygotować, powołując państwo teokratyczne. Saudyjska wła-

dza nie reagowała, nie chciano bowiem antagonizować środowisk konserwatywnych. W pewnym momencie jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli – wydawałoby się niegroźni uczniowie z meczetów przekształcili się z kanapowych radykałów w żołnierzy. Z całego kraju do grupy Al-Otajbiego zaczęły potajemnie napływać pieniądze. Zaprzyjaźnieni oficerowie saudyjskich sił zbrojnych przekazywali mu broń. Wśród wspierających znalazł się brat Osamy bin Ladena, Mahrous, który najprawdopodobniej użyczył ciężarówek należących do rodzinnej firmy, aby wwieźć broń do meczetu.

ZUCHWAŁY ATAK

Na datę szturm nieprzypadkowo wybrano 20 listopada 1979 roku. Był to pierwszy dzień 1400 roku, według kalendarza muzułmańskiego, oraz ten, w którym miał się objawić odnowiciel islamu. Równie starannie wybrano obiekt ataku: gigantyczny kompleks Al-Masdżid al-Haram, największy meczet na świecie, położony w Mekce. To tam znajduje się Al-Kaba, świątynia i sanktuarium. W islamie nie ma ważniejszego miejsca. W jego kierunku muzułmanie zwracają się, modląc każdego dnia.

Poranne przygotowania do modlitwy zostały przerwane, gdy przebrani za wiernych zamachowcy zabili nieuzbrojonych (z powodu świętości miejsca) policjantów. Szturmujących było wielu – może kilkuset, może tysiąc lub półtora tysiąca, w tym najprawdopodobniej Egipcjanie i Pakistańczycy. Większość stanowili Saudyjczycy. Liczby atakujących nikt nigdy nie ustalił. Wiadomo jedynie, że dołączyła do nich pewna grupa wiernych. Zamachowcy przecięli kable telefoniczne i zabezpieczyli wejścia. Na minaretach rozmieszczono snajperów i obserwatorów. Przez megafony wzywano do natychmiastowego zaprzestania eksportu ropy naftowej do Stanów Zjednoczonych i wyrzucenia z kraju wszystkich osób niebędących muzułmanami.

Stacjonujące nieopodal służby bezpieczeństwa postanowiły wykorzystać zamieszanie i niemal od razu ruszyły do frontalnego ataku. Straty były jednak tak duże, że konieczny okazał się odwrót. Sytuacja była napięta – nikt nie wiedział, czy zuchwały szturm na sanktuarium to akt jednostkowy, czy też początek większej akcji, która doprowadzi do obalenia rodziny Saudów. Podobne wydarzenia miały miejsce kilka miesięcy wcześniej w sąsiednim, szyickim Iranie, gdzie duchowny ajatollah Chomeini niespodziewanie obalił monarchię Mohammada Rezy Pahlawiego. A może za szturmem na Al-Masdżid al-Haram stali mieszkający w Arabii Saudyjskiej niezadowoleni z rządów szyici, wspierani przez rewolucjonistów z Teheranu? Wszak ci w tym samym okresie podburzali szyitów w sąsiednim Iraku.

Nie znając jeszcze szczegółów incydentu, saudyjskie władze odcięły łączność ze światem zewnętrznym, aby przypadkiem złe wieści nie wydostały się z kraju. Zamknięto granice państwowe. Na pytania zachodnich dyplomatów o doniesienia na temat walk w Mekce, Saudyjczycy odpowiadali, że w mieście nic godnego uwagi się nie dzieje, a obecność sił bezpieczeństwa to jedynie plotki lub co najwyżej ćwiczenia. Nie było żadnej możliwości zweryfikowania tych informacji, jako że państwa zachodnie nie miały w mieście swych przedstawicielstw – do Mekki wstęp mają jedynie muzułmanie.

Po kilku godzinach nad meczetem krążyły śmigłowce z agentami saudyjskich służb specjalnych, starających się zrozumieć charakter zdarzenia (jeden z pilotów został szybko amerykańskim informatorem). Wkrótce okazało się, że jest to działanie odosobnione i nie ma zakrojonego na dużą skalę spisku, który wykorzystywałby fakt, iż w momencie szturm poza krajem przebywali koronowany książę Fahd oraz dowódca przybocznej gwardii, książę Abdullah. Władza znalazła się jednak w niezwykle trudnej sytuacji, bowiem szturm na wielki meczet, szczerze okupowany przez nieokreśloną grupę obrońców, musiał się zakończyć krwawo. Co gorsza, mogło dojść do uszkodzenia lub nawet zniszczenia sanktuarium. Jakakolwiek akcja zbrojna kategorycznie wymagała zgody sunnickich władz religijnych. Te jednak w zamian za obyczajowe ustępstwa na ich rzecz zgodziły się, aby saudyjskie służby w razie konieczności użyły siły.

POMOC „KRZYŻOWCÓW”

Odpowiedzialna za remonty sanktuarium firma rodziny bin Ladenów, a więc budowlane imperium Saudi Binladin Group, przekazała służbom mapy obiektów. Żaden jednak ze szturmów nie zakończył się powodzeniem, chociaż kolejne próby – z wykorzystaniem artylerii i pojazdów opancerzonych – zepchnęły islamistów do kilku punktów oporu. Ci jednak ciągle walczyli – w jednej z potyczek unieruchomili nawet transporter opancerzony M-113, blokując koła i gąsienice zwiniętymi dywanami, a następnie podpalając wnętrze koktajlem Mołotowa. Kolejne wydarzenia są niepotwierdzone. Najprawdopodobniej Saudowie poprosili wówczas o pomoc Amerykanów i Francuzów. Do Arabii Saudyjskiej mieli przybyć komandosi GIGN (Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale), francuskiego oddziału antyterrorystycznego, oraz agencji CIA. Przed przyjazdem do Mekki wszyscy oni musieli przejść na islam.

Przebieg finalnej akcji też nie jest znany. Niektórzy świadkowie utrzymują, że Francuzi uderzyli z podziemi, wpuszczając gaz łzawiący. Według innych, jedynie wspierali oni Saudyjczyków w sztabie, a szturm przeprowadzili →



NIE WIADOMO, ILE DOKŁADNIE OSÓB UCZESTNICZYŁO
W SZTURMIE NA SANKTUARIUM W MEKCE.
PEWNE JEST JEDNAK, ŻE W ATAKU UDZIAŁ WZIEŁO CO
NAJMNIEJ **DWÓCH OBYWATELI STANÓW ZJEDNOCZONYCH**,
WCZEŚNIEJ ZWIĄZANYCH Z RASISTOWSKĄ BOJÓWKĄ
CZARNYCH PANTER, KTÓRZY POD KONIEC LAT
SIEDEMDZIESIĄTYCH UBIEGŁEGO WIEKU WYJECHALI DO
ARABII SAUDYJSKIEJ JAKO MUZUŁMANIE. JEDEN ZGINĄŁ
PODCZAS OBLĘŻENIA. DRUGI ZOSTAŁ WZIĘTY DO NIEWOLI
I BEZ ROZGŁOSU POWRÓCIŁ DO STANÓW ZJEDNOCZONYCH

siły pakistańskie. W tym samym czasie przez mury okalające meczet wdzierali się saudyjscy żołnierze. Pomimo kordonu setkom bojowników udało się uciec. Walki trwały w Mekce jeszcze kilka dni. Łącznie w dwutygodniowym kryzysie życie straciło 255 cywilów, zamachowców i żołnierzy. Ponad 500 uczestników walk zostało rannych, z czego większość po stronie rządowej.

Wielu odpowiedzialnych za oblężenie sanktuarium nigdy nie złapano. Liczni zginęli w walkach. Nie zakończyło to jednak kryzysu. Amerykanie publicznie obarczyli winą przywódcę Iranu ajatollaha Chomeiniego. Ten zaś oskarżył Amerykanów i Izrael. Na takie słowa szyckiego duchownego zareagował cały muzułmański świat, także sunnici. W wielu krajach dochodziło do gwałtownych demonstracji antyamerykańskich. W pakistańskim Islamabadzie tłum wdarł się do amerykańskiej ambasady, którą spalidrował, a następnie spalił. Kilka dni później taki sam los spotkał amerykańską placówkę dyplomatyczną w Libii. Zaledwie trzy tygodnie wcześniej podobnie stało się w Teheranie, aczkolwiek z innych powodów.

Al-Otajbi został schwytyany. Razem z kilkudziesięcioma innymi osobami skazano go za wiele poważnych przestępstw, w tym naruszenie świętości Al-Masdzid al-Haram, zabijanie współwyznawców, podszywanie się pod Mahdiego. W styczniu 1980 roku wszyscy zostali ścięci w publicznych egzekucjach na głównych placach saudyjskich miast. Wydarzenie na żywo transmitowała tamtejsza telewizja. Mahrousowi bin Ladenowi nic się nie stało.

POCZĄTEK WSPÓŁCZESNEGO TERRORYZMU

Chociaż szturm i oblężenie meczetu były wydarzeniem jednostkowym, mającym początek i koniec, to jednocześnie stanowiły podwaliny współczesnego terroryzmu muzułmańskiego spod znaku Al-Kaidy, a później

tw. Państwa Islamskiego. Właśnie to wydarzenie miało niezwykle wpływ na takich ludzi, jak 22-letni wówczas Osama bin Laden. Młody Saudyjczyk był ponoć dogłębnie poruszony widokiem czołgów niszczących najświętsze miejsce islamu – religii, której królewska władza miała bronić. Wówczas w bin Ladenie zaczęła się rodzić głęboka nienawiść wobec królewskiej rodziny. Mógł sądzić, że jest ona uzależniona od USA i nie broni należycie muzułmanów.

Podobnie uważali inni radykałowie muzułmańscy, którzy po incydencie w Mekce zawarli z Saudami cichy pakt – w zamian za rezygnację z prób obalenia saudyjskiej monarchii, otrzymali swobodę realizowania swych aspiracji poza granicami kraju, w tym w pierwszej kolejności w Afganistanie, gdzie rozpoczęła się właśnie sowiecka inwazja. W ich wsparcie włączyli się Amerykanie, którzy uznali, że umiarkowani sunnici dadzą odpór Związkowi Sowieckiemu i radykalnym szyitom. Na wydarzeniach zyskali również saudyjscy duchowni, którzy w zamian za wydanie religijnej zgody na siłowy szturm na meczet, wymogli na władzach cofnięcie planów (choć ograniczonych) emancypacji kobiet oraz uzyskali prawo do głoszenia radykalnego islamu.

Decyzja prezydenta Cartera o ewakuacji amerykańskich placówek dyplomatycznych z Bliskiego Wschodu pokazała rodzącym się wówczas sunnickim bojownikom, że Stany Zjednoczone są słabsze, niż wszyscy myślą, i do ich pokonania nie potrzeba nowoczesnych samolotów ani czołgów, lecz grupy oddanych islamowi świętych wojowników. Kto wie, być może gdyby nie szturm na sanktuarium w Mekce przeprowadzony przez niemal całkowicie zapomnianego przez historię Al-Otajbiego, sunniccy radykałowie – w tym Osama bin Laden – nigdy nie wyjechałoby do Afganistanu, co w takiej sytuacji mogłoby odwrócić losy wojny sowiecko-afgańskiej. Wówczas historia świata, w tym naszej rzeczywistości, byłaby inna... ■

CO MIESIĄC OD 60 LAT

PRZEGLĄD Obrony Cywilnej

obrona terytorialna
ochrona ludności
zarządzanie kryzysowe
ratownictwo

Przegląd Obrony Cywilnej
dostępny wyłącznie
w prenumeracie.

Zamówienia prosimy składać mailem na adres:
prenumerata@magazyn-poc.pl
oraz faxem na numer: (22) 827-46-76

www.magazyn-poc.pl

Na Placu Zamkowym zgromadziły się baony piechoty, dyony kawalerii i artylerii. Wszystkie z chorągwiami i orkiestrami, w hełmach i w pełnym rynsztunku”, tak w 1923 roku świętowano rocznicę uchwalenia „Konstytucji 3 maja”. Jak informowano w „Polsce Zbrojnej”, cztery lata później z tej okazji w stolicy odbyły się nabożeństwa w katedrze Świętego Jana Chrzciciela i w cerkwi prawosławnej, defilada wojsk na Krakowskim Przedmieściu, przedstawienie dla żołnierzy w Teatrze Polskim, a na koniec raut oficerski na Zamku Królewskim.

BALE I WIECZORNICE

Nie zapomniano też o znaczących w naszej historii wydarzeniach, w tym wybuchu powstania styczniowego. W 70. rocznicę zrywu w Warszawie odprawiono mszę żałobną za poległych, a w południe otwarto w gmachu Muzeum Narodowego wystawę, której tematem było powstanie. Później organizacje cywilne i wojskowe ze sztandarami i pochodniami przeszły pod Krzyż Traugutta na Cytadeli. „Gdy dziś oddajemy żołnierskie pozdrowienie

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI



ANNA DĄBROWSKA

Święto w szeregach

Rozbrzmiewają dźwięki hymnu narodowego, a na twarzach żołnierzy malują się skupienie i duma.

wam żyjącym i czcimy cienie tych, co odeszli, czcimy wasz pierwiastek wielkości w dziejach Polski”, mówił wówczas inspektor armii, gen. Edward Śmigły-Rydz.

Nie mniej uroczyste w każdym pułku obchodzono święto jednostki. Na przykład 9 czerwca – w rocznicę walk pod Kaniowem – swój dzień świętował 30 Pułk Strzelców. Jak informowała wojskowa gazeta w 1923 roku, uroczystości rozpoczęło nabożeństwo w warszawskim kościele garnizonowym, celebrowane przez biskupa polowego Stanisława Galla. „Po południu przy rozstawionych stołach na placu Gwardii w Cytadeli zasiadł cały pułk do obiadu. Z okazji święta towarzystwo przyjaciół pułku postarało się o piwo na żołnierskie stoły. Wieczorem zaś w świetlicy oficerowie i szeregowi wysłuchali koncertu, a o 21.00 rozpoczął się we salach kasyna oficerskiego raut i bal, na którym tańczono aż do ranka”.

Jednak najbardziej charakterystycznym świętem okresu międzywojennego były imieniny Marszałka, obchodzone 19 marca. „Przez Warszawę udekorowaną flagami w barwach narodowych przeszła defilada wojskowa, a Belweder, gdzie rezydował Marszałek, od rana oblegały tłumy”, podawano w dzienniku w 1923 roku.

Siedem lat później żołnierze i mieszkańcy stolicy bawili się na koncercie chóru, a po południu na przedstawieniu w Teatrze Bogusławskiego w towarzystwie Józefa Piłsudskiego. „Marszałek zasiadł w łożu, a za nim stanęła warta honorowa, którą pełniło dwóch szwoleżerów w mundurach z czasów Księstwa Warszawskiego”.

Po wojnie jednym z głównych świąt stał się Dzień Wojska Polskiego obchodzony 12 października, w rocznicę bitwy pod Lenino. „We wszystkich oddziałach wojsko-



Niezależnie od czasu historycznego obchodzonego święta poszczególnych rodzajów sił zbrojnych.

wych trwają ostatnie przygotowania do obchodów. Ściany świetlic zdobią gazetki ściennie poświęcone osiągnięciom żołnierzy i tradycjach naszego wojska. Zespoły artystyczne przygotowały atrakcyjne programy, z którymi wystąpią na wieczornicach żołnierskich i spotkaniach wojska ze społeczeństwem”, donosiła redakcja gazety w 1954 roku. W samą rocznicę w jednostkach organizowano uroczyste obchody. „Na placu koszarowym rozbrzmiewają dźwięki hymnu narodowego. Prężą się szeregi żołnierskie”.

Ważnym świętem był również Dzień Zwycięstwa. „Przed Grobem Nieznanego Żołnierza płoną znicze, w świetle reflektorów jaśnieją sztandary i lśnią ostrza bagnatów kompanii honorowej Wojska Polskiego”, pisał korespondent dziennika „Żołnierz Wolności” 9 maja 1960 roku. Po odczytaniu apelu zwycięstwa fanfarzyści zagraли sygnał Wojska Polskiego, a uroczystości zakończył hymn państwowy i salut 24 salw artyleryjskich.

Wojsko świętowało także mniej uroczyste okazje, bawiono się na przykład na noworocznych balach w salach klubów garnizonowych i w jednostkach. „Tym z naszych żołnierzy i oficerów, którzy nie mogli uczestniczyć w tych balach, bo wypadło im witać Nowy Rok na służbie lub warcie, Liga Przyjaciół Żołnierzy przygotowała noworoczne upominki. Dla Komendy Garnizonu przekazano biblioteczkę składającą się z kilkudziesięciu tomów i paczki ze słodyczami dla pełniących warty żołnierzy”, informowano w gazecie w 1968 roku.

Z DAŁA OD DOMU

Niezależnie od czasu historycznego obchodzonego też święta poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. W 1972 roku z okazji Święta Marynarki Wojennej we wszystkich garnizonach rozrzuconych wzdłuż wybrzeża Bałtyku odbywały się akademie, festyny, zabawy ludowe i wieczorki taneczne, a w Świnoujściu zorganizowano uroczysty apel połączony z wręczaniem wyróżnień, defiladę, zwiedzanie okrętów oraz regaty wioślarskie.

Z kolei obchody Święta Lotnictwa Polskiego w 2012 roku uświetniła powietrzna defilada Biało-Czerwonych Iskier, samolotów Su-22, MiG-29 i myśliwców F-16 nad Warszawą. „Zebrani przy Pomniku Lotników Polskich poległych podczas II wojny światowej usłyszeli archiwalne nagranie z wileńskiej rozgłośni zarejestrowane po zwycięstwie kpt. pil. Franciszka Żwirki i inż. pil. Stanisława Wigury w międzynarodowych zawodach samolotów turystycznych Challenge w 1932 roku w Berlinie. To właśnie na pamiątkę tego wydarzenia swoje święto obchodzą polscy lotnicy”. W czasie apelu historyczny sztandar Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie oraz replika dzwonu Żwirki i Wigury zostały przekazane do Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie.

W wyjątkowy sposób uczcili komandosi szóstą rocznicę powstania Wojsk Specjalnych jako odrębnego rodzaju sił zbrojnych. „Odbijanie budynku z rąk terrorystów, desant ze śmigłowców i łodzi, lądowanie ze spadochronem na środku rzeki można było zobaczyć w Krakowie podczas pokazu żołnierzy ze wszystkich jednostek specjalnych. Zaprezentowali także swoje uzbrojenie i wyposażenie, które wykorzystują podczas bojowych akcji. Można było obejrzeć m.in. różnego rodzaju samoloty transportowe, śmigłowce i łodzie operacyjne”, informowano w 2013 roku w „Polsce Zbrojnej”. Nie zapomniano też o kawalerii i z okazji jej święta ulicami stolicy przejechały Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego oraz 30 oddziałów stowarzyszeń kawaleryjskich kultywujących tradycje polskiej jazdy. Współcześni ułani złożyli kwiaty przed pomnikiem marszałka Józefa Piłsudskiego i uczestniczyli w apelu pamięci.

Żołnierze świętowali też z dala od domu na misjach poza granicami kraju. W listopadzie wspólnie z amerykańskimi kolegami w bazie w Ghazni obchodzili Święto Dziękczynienia. Niespełna miesiąc później w polskich bazach w Afganistanie zgromadzili się przy wigilijnych stołach, na których nie zabrakło tradycyjnych potraw: śledzi, pierogów z kapustą i grzybami, barszczu z uszkami i krokietów. „Żołnierze połamali się opłatkiem i życzyli sobie przede wszystkim, żeby wszyscy cali i zdrowi wrócili do kraju”. ■



TADEUSZ WRÓBEL

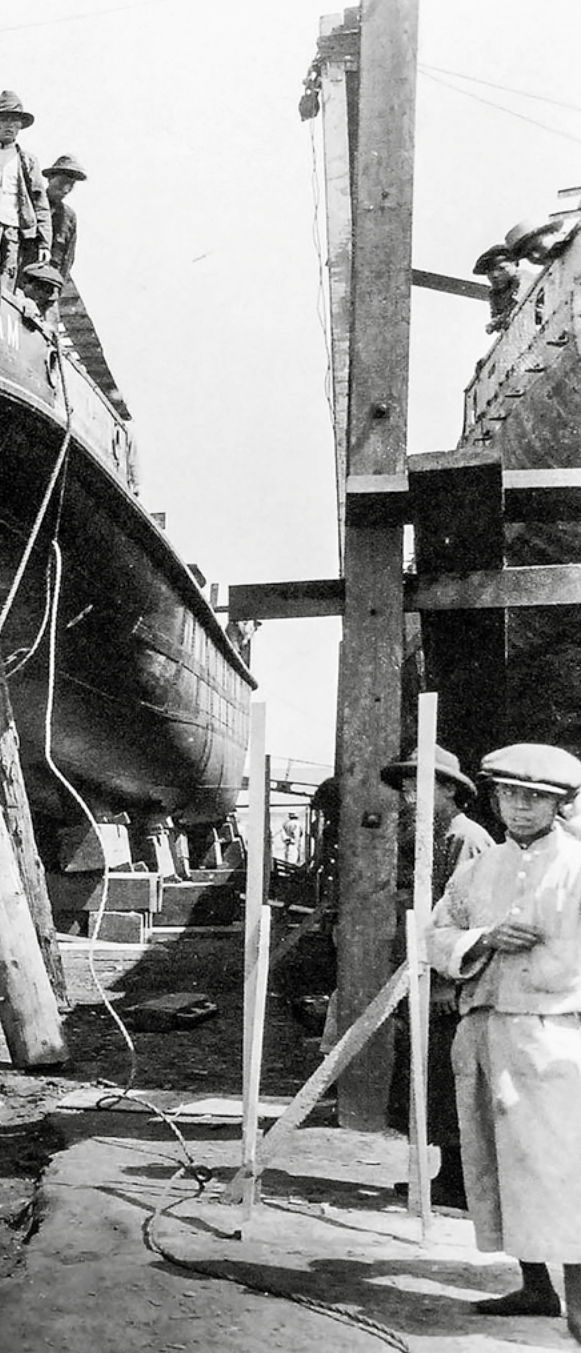
Z RĘKI DO RĘKI

Przed 75 laty wybuchła wojna na Pacyfiku. W pierwszym dniu konfliktu Japończykom udało się zdobyć w Szanghaju w pełni sprawny amerykański okręt wojenny USS „Wake”.

Stany Zjednoczone były przeciwnie kolonizacji Chin, ale od połowy XIX wieku, podobnie jak inne mocarstwa, utrzymywały w tym kraju siły wojskowe zabezpieczające ich interesy polityczne i ekonomiczne. Na mocy traktatów z Chinami, począwszy od 1854 roku, ich okręty patrolowały najważniejszą w tym kraju rzekę Jangcy, u której ujścia leży Szanghaj. Zadaniem jednostek było zapewnienie bezpieczeństwa żyjącym w portach nad rzeką obywatelom USA oraz ich mieniu. Marynarze mieli na tym akwenie statki han-

dlowe oraz prowadzili misje religijne. Jednostki morskie miały możliwość żeglowania do oddalonego o 1124 km od Szanghaju miasta Wuhan, do którego portu zachodnie mocarstwa uzyskały dostęp po przegranej przez Chiny drugiej wojnie opiumowej (1856–1860). W 1922 roku utworzono Patrol Rzeki Jangcy (Yangze River Patrol), będący częścią Floty Azjatyckiej US Navy, której główne siły stacjonowały na Filipinach.

W skład patrolu wchodziły kanonierki rzeczne, niewielkie płaskodenne jednostki o małym zanurzeniu



USS „Guam” w stoczni Kiangnan Dock and Engineering Works w Szanghaju.

OBSZAR DZIAŁANIA
AMERYKAŃSKICH
I INNYCH
ZAGRANICZNYCH
KANONIEREK
NA RZECIE JANGCY
W OKRESIE
MIĘDZYWOJENNYM



uzbrojone w działa i karabiny maszynowe. Jedną z nich była w końcu 1941 roku USS „Wake”. Jednostka funkcjonowała pod tym imieniem zaledwie od kilku miesięcy. Do 23 stycznia 1941 roku nosiła bowiem nazwę USS „Guam”. Zmiany dokonano w związku z tym, że imię „Guam” postanowiono nadać nowemu ciężkiemu krążownikowi typu Alaska.

USS „Guam”, podobnie jak pięć innych kanonierek, została zmontowana w stoczni Kiangnan Dock and Engineering Works w Szanghaju z komponentów wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych. Okręt wszedł do służby 28 grudnia 1927 roku, sklasyfikowany jako kanonierka, pod oznaczeniem PG-43. Jednak 15 czerwca następnego roku przeklasyfikowano go na kanonierkę rzeczną PR-3. Jednostka miała 48,6 m długości i wyporność 360 t. Jej zanurzenie wynosiło tylko 1,6 m.

Okręt wyposażono w dwa silniki parowe, każdy o mocy 950 KM, i dwie śruby. Napęd zapewniał mu maksymalną prędkość 14,5 w. USS „Guam” uzbrojono w dwa pojedyncze działa kalibru 76,2 mm oraz osiem pojedynczych karabinów maszynowych Lewis kalibru 7,62 mm. Załoga kanonierki liczyła 59 osób.

NA TROPIE JAPŃCZYKÓW

Początkowo podstawową misją USS „Guam” było zapewnienie bezpieczeństwa amerykańskim obywatelom i innym cudzoziemcom żyjącym nad Jangcy, bowiem w tych niespokojnych czasach wielu Chińczyków nie kryło swej wrogości wobec obcych przybyszów. Przez jakiś czas okręt patrolował też wybrzeża Chin, ale niebawem powrócił na rzekę. Później, gdy w lipcu 1937 roku wybuchła niewypowiedziana wojna chińsko-japońska,

PRZEJĘCIE USS „WAKE” TO PIERWSZY I JEDYNY TAKI JAPÓŃSKI SUKCES POD- CZAS CAŁEJ WOJNY

załoga otrzymała dodatkowe zadania. Kanonierka stała się jednostką wywiadu radiowego, śledzącą poczynania Japończyków”.

W końcu 1941 roku stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Japonią były tak złe, że wybuch wojny był tylko kwestią czasu. W listopadzie Amerykanie rozpoczęli ewakuację swych niewielkich chińskich garnizonów, złożonych z żołnierzy 4 Pułku Piechoty Morskiej, na Filipiny. Postanowiono też wycofać z chińskich wód okręty, co w przypadku kanonierek rzecznych nie było wcale proste, bo znajdowały się w głębi terenów okupowanych już przez armię japońską.

Na dwa tygodnie przed wybuchem wojny USS „Guam”, już jako USS „Wake”, wraz z dwiema innymi kanonierkami Patrolu Rzeki Jangcy, była w porcie Hankou (koło Wuhanu). Kontrolujący go Japończycy domagali się, aby amerykańskie jednostki pozostały na miejscu. Jednak dowodzący kanonierką kmdr por. Andrew Earl Harris ich zignorował i wyszedł 24 listopada z Hankou. Okręt ruszył w dół rzeki ku odległemu o ponad 1100 km Szanghajowi. Z Hankou ku otwartemu morzu kierowały się jeszcze dwie inne kanonierki – USS „Oahu” (PR-6) i USS „Luzon” (PR-7). Pierwsza z nich była okrętem flagowym dowódcy patrolu kontradm. Williama A. Glassforda.

Po dotarciu do Szanghaju amerykańscy dowódcy doszli do wniosku, że USS „Wake” nie przejdzie przez Cieśninę Tajwańską i nie dojdzie na Filipiny. Dlatego postanowiono przenieść większość jej załogi, wraz z kmdr. por. Harrisem, na pokłady większych kanonierek. 29 listopada 1941 roku USS „Oahu” i USS „Luzon” wyszły z Szanghaju. USS „Wake” pozostała w chińskim porcie razem z nowo mianowanym dowódcą, kmdr. por. Columbusem Darwinem Smithem (oficere rezerwy, który wcześniej był pilotem na Jangcy) i 14 członkami załogi, głównie specjalistami od łączności. Ich położenie było beznadziejne. Szanghaj od 1937 roku znajdował się w rękach japońskich, a większość stacjonujących w dzielnicy międzynarodowej marines ewakuowano w końcu listopada na Filipiny.

W nocy z 7 na 8 grudnia 1941 roku (czasu lokalnego), tuż przed wybuchem wojny, dowódca USS „Wake” odebrał wiele znaczący telefon od znajomego oficera japońskiego. Ten zapytał Amerykanina, gdzie będzie rano, bo chce dostarczyć załodze kilka indyków. Ów ptak stanowi kluczowe danie podczas amerykańskiego święta, Dnia Dziękczynienia. Gest japoński można by uznać za sym-

patyczny, gdyby nie fakt, że święto to jest obchodzone w USA w czwarty czwartek listopada, a był już grdzień. Japończycy chcieli po prostu wiedzieć, gdzie za kilka godzin będzie amerykański okręt.

Radiooperatorzy z USS „Wake” przechwycili komunikat, że Japończycy zaatakowali amerykańską bazę morską w Pearl Harbor na Hawajach. Smitha, który znajdował się na brzegu, poinformowano o wybuchu wojny telefonicznie. Amerykańskiemu

dowódcy nie udało się powrócić na okręt, bo otaczali go już japońscy wojskowi. USS „Wake” była przygotowana do samozatopienia, ale zaskoczona załoga 8 grudnia poddała się bez walki Japończykom z jednostki desantowej Cesarskiej Marynarki Wojennej. Jak się okazało, był to pierwszy i jedyne taki japoński sukces podczas całej wojny. Kmdr Smith i jego ludzie trafili do obozu jenieckiego koło Szanghaju. Później przywieziono tam amerykańskich jeńców wziętych do niewoli na wyspie Wake. Sam Smith dwukrotnie próbował uciec z obozu. Druga próba, podjęta we wrześniu 1944 roku razem z kapralem piechoty morskiej Jeroldem Storeyem, zakończyła się sukcesem. Po przewędrowaniu ponad tysiąca kilometrów przez ziemię okupowaną przez Japończyków Amerykanie dotarli do wojsk chińskich.

POD OBCYMI BANDERAMI

Jako że USS „Wake” została zdobytą w pełni sprawna, Japończycy szybko podnieśli na kanonierce własną banderę. Dowództwo objął por. Ysumura Taiichi. Pod zmienionym imieniem „Tatara” znowu patrolowała wody Chin. Co ciekawe, okręt przetrwał podczas wojny wiele ataków amerykańskiego lotnictwa. Po kapitulacji Japonii Amerykanie odzyskali jednostkę, ale potem przekazali ją siłom zbrojnym chińskich nacjonalistów, których przywódcą był Czang Kaj-szek. Ci zaś nadali jej imię „Tai Yaun”. W 1949 roku, gdy resztki pobitych nacjonalistycznych wojsk wycofały się na Tajwan, okręt przejęli komuniści. W sumie służył on pod czterema banderami i nosił pięć imion.

Weześniej, bo już w lutym 1942 roku, Amerykanie przekazali siłom Czang Kaj-szeka inną kanonierkę rzeczną, USS „Tutuila” (PR-4). Jednostka znajdowała się w końcu listopada w Chongqing, tymczasowej stolicy Chin, i jej załoga nie miała jakichkolwiek szans na przedarcie się na Filipiny. Chińczycy zmienili imię kanonierki na „Mei Yuan”. W 1949 roku załoga dokonała jej samozatopienia, by okręt nie wpadł w ręce wroga. ■

W NUMERZE GRUDNIOWYM „MÓWIĄ WIEKI”

Temat miesiąca:

Czołgi

– stalowe bestie

A w środku m.in.:

- ☞ Narodziny stalowej bestii
- ☞ Somma 1916 – czołg po raz pierwszy
- ☞ Od Marka do Cometa.
Czołgi wojen światowych
- ☞ Bitwa pod Kurskiem

Ponadto w numerze:

- ☞ Zamach na hotel King David w Izraelu
- ☞ Śmierć na Via Appia
- ☞ Nawrócenie Konstantyna
- ☞ Początki Mieszka I
- ☞ Elekcja za życia króla,
ale po trupie marszałka
- ☞ Charles Fourier – szalony wizjoner
czasów rewolucji
- ☞ Wiedźma z Wall Street
- ☞ Tajemnica zatonięcia „Lusitani”



Zachęcamy także do wykupienia prenumeraty „Mówią wieki”:
• 6 miesięcy – 45 zł • 12 miesięcy 87 zł

Mamy także specjalną **ofertę dla szkół** przy prenumeracie rocznej:
87 zł + 2 numery specjalne gratis

ZAMÓWIENIA I KONTAKT

Prenumeratę w wydaniu tradycyjnym można zamówić drogą elektroniczną, wysyłając maila na adres:
prenumeratamw@gmail.com lub dokonując wpłaty według podanego wyżej cennika na konto:

11 1240 1037 1111 0010 5184 4720
(w tytule przelewu proszę wpisać: prenumerata Mówią wieki)

Prenumeratę elektroniczną można zamówić na stronach: egazety.pl, ekiosk.pl, nexto.pl

Odwiedź nasz portal: mowiawieki.pl

Rzeki, szczególnie te największe, o strategicznym znaczeniu, od wieków były miejscem bitew i potyczek. W starciach brały udział m.in. małe jednostki o napędzie żaglowym lub wiosłowym, z zamontowanym zazwyczaj jednym działem, nazywane kanonierkami. W XIX wieku pojawiły się niewielkie uzbrojone statki parowe, np. kanonierki pancerne typu City, używane przez siły Unii podczas amerykańskiej wojny secesyjnej w latach 1861–1865. Jednostki te brały udział w walkach toczonych na Missisipi i jej dopływach. Okręty tego typu zadebiutowały 6 lutego 1862 roku podczas bitwy o Fort Henry, w której Unia odniosła pierwsze znaczące zwycięstwo w tym konflikcie. Z czasem zaczęto różnicować kanonierki i kanonierki rzeczne. Te ostatnie były znacznie mniejsze.

SZEROKIE POJĘCIE

Kanonierki rzeczne były używane na rzekach, jeziorach i kanałach. Do ich zadań należało patrolowanie tych akwenów, wspieranie ogniem wojsk lądowych lub ostrzeliwanie określonych celów na lądzie. Ta klasa jednostek nie była jednolita, bo zaliczano do niej uzbrojone, często ad hoc, statki cywilne, a także jednostki projektowane od początku jako okręty wojenne. Ich wyporność wahała się od kilkudziesięciu do ponad tysiąca ton. Najczęściej jednak wynosiła od 200 do 400 t. Podobnie było z uzbrojeniem kano-

nierek rzecznych, uzależnionym od ich rozmiarów. Zdarzały się więc jednostki mające zaledwie jedno działło. Ważnym elementem ich wyposażenia były karabiny maszynowe. Różnie bywało z opancerzeniem. Kanonierki rzeczne przerobione ze statków cywilnych, często w ogóle go nie miały lub było ono prowizoryczne. Nawet jeśli okręt miał opancerzenie, to chroniło ono tylko przed ostrzałem z broni strzeleckiej i małymi odłamkami.

Jeden parametr miał szczególne znaczenie w przypadku kanonierek rzecznych. Aby mogły skutecznie działać na wodach śródlądowych, musiały mieć małe zanurzenie. Najmniejsze zanurzały się na głębokość zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Większość jednak na 1–2 m. Oczywiście małe zanurzenie miało swoje konsekwencje. Wewnątrz kadłuba było niewiele miejsca, dlatego okręty miały duże nadbudówki.

Pierwsze kanonierki były wyposażone w napęd parowy z kołami łopatkowymi, które później zostały zastąpione śrubami. W XX wieku zaczęto montować silniki spalinowe, ale kotły parowe nadal były w użyciu. Niezależnie od typu napędu maksymalna prędkość kanonierek rzecznych wynosiła tylko kilkanaście węzłów. Od rozmiarów, konstrukcji i napędu zależało to, czy okręt mógł operować na akwenach morskich.

Przykładem dużych jednostek jest brytyjski typ Insect. W czasie pierwszej wojny zbudowano ich tuzin. Intencją brytyjskiej admiralicii było użycie tych okrętów przeciwko austro-węgierskiej flotyli na Dunaju. Jednak niemożność przedostania się przez cieśniny Bosfor i Dardanele, na skutek tego, że imperium osmańskie opowiedziało się po stronie państw centralnych, spowodowała, że kanonierki te trafiły na różne akweny – Morze Śródziemne i Morze Północne oraz do Zatoki Perskiej.

Kanonierka typu Insect miała 72,39 m długości i 635 t wyporności. Zanurzenie wynosiło 1,2 m. Głównym uzbrojeniem były dwa działa BL 6 inch Mk VII kalibru 152/45 mm. Poza tym miała jeszcze dwa działa kalibru 76,2 mm oraz sześć karabinów maszynowych Maxim kalibru 7,7 mm. Z kolei francuski typ Mytho miał tylko 35 m

TADEUSZ WRÓBEL

OKRĘTY I DYPLOMACJA

Przez lata na rzekach operowały, uzbrojone w działa i karabiny maszynowe, niewielkie okręty, które wypełniały nie tylko misje militarne, lecz także policyjne i polityczne.



długości i normalną wyporność 95 t. W przypadku tej kanonierki zanurzenie wynosiło tylko 0,9 m. Pomimo niewielkich rozmiarów jednostka była silnie uzbrojona. Na jej pokładzie znajdowały się bowiem: po jednym dziale M1897 kalibru 75/35 mm i M1885 kalibru 47/40 mm, dwa karabiny maszynowe 8-milimetrowe oraz moździerz.

Przykładem pośredniego rozmiaru kanonierki rzecznej jest japoński typ Seta, który miał 56,08 m długości, 374 t wyporności, a zanurzenie 1,02 m. Okręt ten został uzbrojony w jedno działo 80/40 mm i sześć karabinów maszynowych. Napęd parowy z dwoma kotłami i śrubami o mocy 2100 KM zapewniał kanonierce prędkość 16 w.

Jedne z największych kanonierek, „Humaitá” i „Paraguay”, zbudowano na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku we Włoszech na zamówienie Paragwaju. Okręty te miały długość 71,2 m, wyporność maksymalną 1050 t, a zanurzenie mogło sięgać do 2,13 m. Jednostki zostały uzbrojone w cztery działa kalibru 120 mm (po dwa w każdej wieży), trzy kalibru 76 mm i dwa przeciwlotnicze 40-milimetrowe. Pod względem siły ognia były porównywane z ówczesnymi niszczycielami.

Ostatnimi brytyjskimi kanonierkami rzeczными było pięć jednostek typu Dragonfly, które zbudowano w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku. Miały 59,9 m długości, 696 t wyporności oraz zanurzenie 1,9 m. Ich bronią były dwa działa kalibru 100 mm i haubica 94 mm oraz osiem karabinów maszynowych.

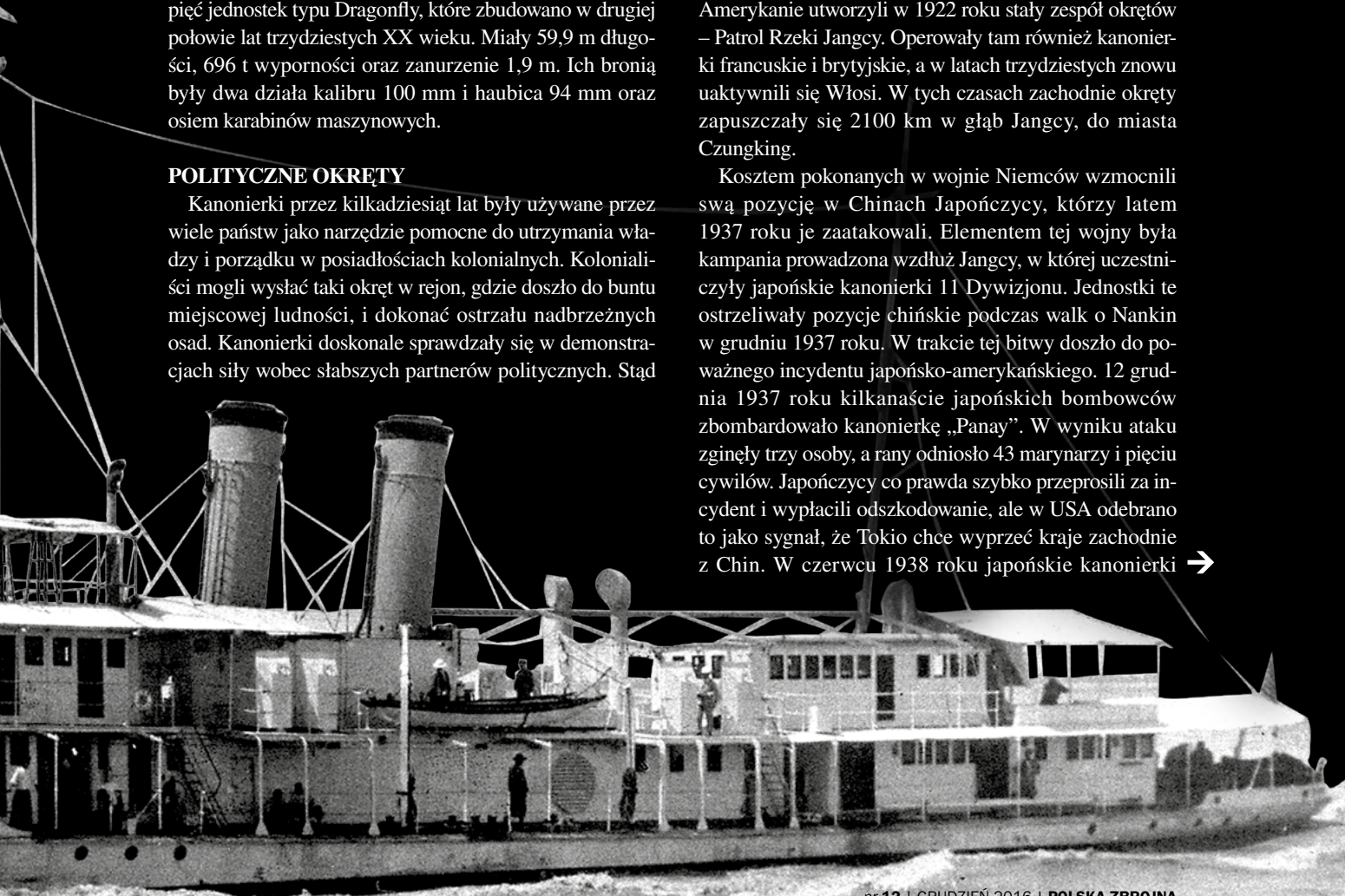
POLITYCZNE OKRĘTY

Kanonierki przez kilkadziesiąt lat były używane przez wiele państw jako narzędzie pomocne do utrzymania władzy i porządku w posiadłościach kolonialnych. Kolonialisci mogli wysłać taki okręt w rejon, gdzie doszło do buntu miejscowej ludności, i dokonać ostrzału nadbrzeżnych osad. Kanonierki doskonale sprawdzały się w demonstracjach siły wobec słabszych partnerów politycznych. Stąd

też powstało określenie „diplomacja kanonierek”. W Europie zmierzch tych jednostek rozpoczął się po zakończeniu I wojny światowej. Niemniej jednak w innych regionach były one nadal powszechnie wykorzystywane, np. w Chinach. Osłabione przegranymi wojnami z Wielką Brytanią i Japonią Państwo Środka było zmuszone do wielu ustępstw na rzecz zagranicznych mocarstw, w tym otwarcia portów dla ich statków handlowych. Obce potęgi uzyskały prawo do patrolowania wód przybrzeżnych i rzek Chin. Najważniejsza z punktu widzenia politycznego i gospodarczego była Jangcy, na której statki morskie mogły żeglować aż do Hankou, ponad 1100 km od Szanghaju.

Przed I wojną światową na wodach Chin operowały okręty amerykańskie, brytyjskie, rosyjskie (Rosja utrzymywała flotyllę rzeczną z kanonierkami na granicznej rzece Amur), austro-węgierskie, portugalskie, włoskie, francuskie, niemieckie i japońskie. W wyniku klęski wojennej Cesarstwa Niemieckiego i Austro-Węgier znikły ich chińskie koncesje. Z rywalizacji odpadła też pograżona w rewolucyjnym chaosie Rosja. Inni nadal byli obecni militarnie w Chinach, a nawet umacniali swe pozycje. Amerykanie utworzyli w 1922 roku stały zespół okrętów – Patrol Rzeki Jangcy. Operowały tam również kanonierki francuskie i brytyjskie, a w latach trzydziestych znowu uaktywnili się Włosi. W tych czasach zachodnie okręty zapuszczały się 2100 km w głąb Jangcy, do miasta Czungking.

Kosztom pokonanych w wojnie Niemców wzmocnili swą pozycję w Chinach Japończycy, którzy latem 1937 roku je zaatakowali. Elementem tej wojny była kampania prowadzona wzdłuż Jangcy, w której uczestniczyły japońskie kanonierki 11 Dywizjonu. Jednostki te ostrzeliwały pozycje chińskie podczas walk o Nankin w grudniu 1937 roku. W trakcie tej bitwy doszło do poważnego incydentu japońsko-amerykańskiego. 12 grudnia 1937 roku kilkanaście japońskich bombowców zbombardowało kanonierkę „Panay”. W wyniku ataku zginęły trzy osoby, a rany odniosło 43 marynarzy i pięciu cywilów. Japończycy co prawda szybko przeprosili za incydent i wypłacili odszkodowanie, ale w USA odebrano to jako sygnał, że Tokio chce wyprzeć kraje zachodnie z Chin. W czerwcu 1938 roku japońskie kanonierki →





FRANCIS GARNIER (FRANCJA)

Wyporność [t]	640
Długość [m]	62,50
Szerokość [m]	10,30
Zanurzenie [m]	2,20
Moc napędu [KM]	3200
Prędkość [w]	15
Załoga	103
Uzbrojenie	2x100 mm 1x75mm 2x37 mm 4x8 mm

uczestniczyły w walkach o Antzin i Madang, po których zdobyciu Japończycy ruszyli ku Hankou. Miasto padło ich łupem w październiku 1938 roku, a niewypowiedziana wojna trwała nadal.

Chiny nie były w okresie międzywojennym jedynym teatrem działań, na którym użyto kanonierek rzecznych. Innym była paragwajsko-boliwijska wojna o Chaco trwająca od 15 czerwca 1932 roku do 10 czerwca 1935 roku. W czasie konfliktu dwie paragwajskie jednostki „Humaitá” i „Paraguay”, operujące na rzece Paragwaj, przewiozły dziesiątki tysięcy ludzi – paragwajskich żołnierzy na front i ewakuowanych z niego rannych, jak też boliwijskich jeńców. Jedyłą akcją bojową było starcie okrętu „Humaitá” 22 grudnia 1932 roku z boliwijskimi samolotami.

Kanonierki rzeczne wzięły udział w II wojnie światowej. Polska Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej, bardziej znana jako Flotylla Pińska, miała we wrześniu 1939 roku trzy takie jednostki: „Zaradną”, „Zawziętą” i „Zu-

OAHU (USA)

Wyporność [t]	464
Długość [m]	58,00
Szerokość [m]	8,56
Zanurzenie [m]	1,60
Moc napędu [KM]	2250
Prędkość [w]	15
Załoga	59
Uzbrojenie	2x76 mm 10x7,62 mm

HASHIDATE (JAPONIA)

Wyporność [t]	999
Długość [m]	78,5
Szerokość [m]	9,70
Zanurzenie [m]	2,45
Moc napędu [KM]	4600
Prędkość [w]	19,5
Załoga	158
Uzbrojenie	3x120 mm 2-4x25 mm

ERMANNOCARLOTTO (WŁOCHY)

Wyporność [t]	247
Długość [m]	48,80
Szerokość [m]	7,50
Zanurzenie [m]	0,92
Moc napędu [KM]	1100
Prędkość [w]	14
Załoga	44
Uzbrojenie	2x76 mm 6x7,7mm

chwałą”. W maju 1940 roku holenderska marynarka wojenna dysponowała najstarszymi podczas II wojny światowej kanonierkami rzeczными typu Hor, które zbudowano w końcu lat siedemdziesiątych XIX wieku. Brytyjskie kanonierki rzeczne walczyły zarówno w kampanii francuskiej w 1940 roku, jak i na Morzu Śródziemnym. Po rozpoczęciu inwazji na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 roku Niemcy zetknęli się z małymi kanonierkami rzeczными, których główne uzbrojenie stanowiły wieże czołowe z różnego typu armatami kalibru 45 mm i 76 mm. Budowane w trakcie wojny w ZSRR jednostki uzbrajano też w armaty przeciwlotnicze.

Po wybuchu wojny na Dalekim Wschodzie alianckie kanonierki rzeczne uczestniczyły w walkach o Hongkong, a także na Filipinach, Malajach oraz w Holenderskich Indiach Wschodnich. Niemal wszystkie jednostki utracono. Część okrętów zatopiły same załogi, ale później Japończykom udało się niektóre z nich podnieść i wyremontować. Walczyły głównie na wodach Chin.

Po zakończeniu II wojny światowej zaprzestano używać nazwy „kanonierki rzeczne”, ale jednostki wykonujące podobne jak one zadania nadal wykorzystywano. Przykładem są wojny toczone w Indochinach. Obecnie niektóre państwa mają w składzie marynarek wojennych komponent rzeczny, np. Brazylia, ale ich bojowe jednostki klasyfikowane są jako patrolowce rzeczne. ■



KRZYSZTOF
KUBIAK

Krytyczna woda



Badacze historii wojen śledzący manewry wybitnych wodzów, rozwój techniki woj-
skiej bądź zajmujący się innymi frapującymi wymiarami orężnych zmagani, cho-
by jej związkami z ekonomią czy wzajemnymi sprzężeniami między wojną a kulturą,
często zapominają, że do prowadzenia jakiegokolwiek ludzkiej działalności, a do wojo-
wania zwłaszcza, potrzeba trzech rudymenarnych zasobów: spży dla ludzi i zwierząt
(tudzież paliwa dla pojazdów) oraz wody. Wychowani w kraju względnie zasobnym
w rzeki, strumienie i jeziora, nie bardzo dysponujemy historycznym doświadczeniem
pozwalającym wyobrazić sobie wojnę w warunkach deficytu wody. Jako zaś dzieci ery
wodociągów i kanalizacji, odpychamy od siebie świadomość, że woda, nawet w obfito-
ści, ale jednak podła jakościowo spowodowała prawdopodobnie wśród przodków więk-
sze straty niż wszystkie miotane i strzelane w ich kierunku pociski.

Woda, a w zasadzie jej brak, często rozstrzygała o przebiegu bitew. Co interesujące, nierzadko
błąd polegający na lekceważeniu tego czynnika popełniali wodzowie i dowódcy obeznani z obsza-
rami suchymi, bez mała pustynnymi. Tak właśnie wydarzyło się 3 i 4 lipca 1187 roku podczas bi-
twy pod Hittin (pod Rogami Hittinu, dzisiaj to Kfar Zeitim w Izraelu), stoczonej przez rycerstwo
Królestwa Jerozolimskiego i krzyżowców z sułtanem Egiptu Saladynem. Armia łacinników, którą
dowodził król Jerozolimy Gwidon de Lusignan, nie miała wystarczających zasobów wody, mimo że
działała w skrajnym upale. To kierunkowało jej ruch – marsz wiódł ku Hittin, gdzie spodziewano się
zająć studnie. Saladyn, wojownik wytrawny i przemyślny, nie mógł nie skorzystać z takiej szansy.
3 lipca armia krzyżowa została okrążona. Następnego dnia ku jezioru Genezaret zbiegła większość
rozpaczliwie spragnionych chrześcijańskich piechurów, przez całą noc stojących w zwartym szyku.
Część łacinników zdołała wyrwać się z matni, ale zdecydowana większość zginęła lub dostała się do
niewoli (w tym król Gwidon). Największa armia, jaka kiedykolwiek została wystawiona przez Kró-
lestwo Jerozolimskie, obróciła się w niwecz w dużej mierze przez brak wody.

Dziewięć wieków później bardzo podobny błąd popełnił hiszpański dowódca Manuel Fernández
Silvestre, który w 1921 roku poprowadził ofensywę na opanowane przez powstańców z Rifu Maroko.
22 lipca generał zapuścił się na prawie 120 km w głąb bezwodnego terytorium kontrolowanego
przez powstańców, zabezpieczając nieliczne studnie posterunkami, w których skład nie wchodziło
zwykle więcej niż 12–20 żołnierzy. Kierujący powstaniem Abd el-Krim nie mógł nawet wymarzyć
sobie dogodniejszej sytuacji. Gdy 22 lipca hiszpański generał wraz z 5 tys. wyczerpanych żołnierzy
stanął pod Annaul, powstańcy zaatakowali. Mimo że było ich tylko około 3 tys., Hiszpanie poszli
w rozsypkę i rozpoczęli paniczny odwrót. W jego trakcie okazało się, że większość posterunków
strzegących studni została zlikwidowana, a źródła wody zasypano lub zatruto.
Powiększało to chaos i straty. Widząc nieuchronną katastrofę, gen. Silvestre
popełnił samobójstwo. W niczym nie zmieniło to jednak faktu, że z około
20 tys. żołnierzy, z którymi rozpoczął inwazję Rif, ponad 13 tys. poległo lub
odniosło rany. Była to jedna z największych klęsk poniesionych przez euro-
pejskie armie w Afryce, porównywalna jedynie z krwawą łaźnią, którą 1 mar-
ca 1896 roku Etiopcyzy zgotowali Włochom pod Aduą. ■




Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajóv Europy Północnej
na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ LUDZIE





Przedwojenne
Wilno, ukochane
miasto „Sarenki”.

MARCIN GÓRKA

BĘDZIESZ MIAŁA PSEUDONIM SARENKA

**Przeszła przez piekło sowieckich przesłuchań i łagru.
Dziś ma jeden cel – ocalić od zapomnienia wspomnienia
swoje i przyjaciół z Armii Krajowej.**

M

ieszkańko Danuty Szyksznian „Sarenki” w bloku w centrum Szczecina pełne jest fotografii i książek. Ona siedzi przy stoliku i pisze kolejną książkę o kolegach i historii AK. Sama jest jej częścią. Boże Narodzenie 1944 roku spędziła na torturach sowieckiej bezpieki.

DAMY SOBIE RADE

Ta ponaddziewięćdziesięcioletnia kobieta wciąż jest pełna energii. Piśsze książki, bez przerwy odbiera telefony ze szkół, z których dostaje zaproszenia na spotkania z młodzieżą. Rzadko jednak w nich uczestniczy, bo rany zadane przez sowieckich oprawców po latach dały o sobie znać i pani Danuta porusza się tylko na wózku inwalidzkim. Centralne miejsce na ścianie pokoju zajmuje oprawione w antyramę zdjęcie z Lechem Kaczyńskim. W 2008 roku prezydent przyjechał na zjazd żołnierzy AK do Międzyzdrojów. „Witałam go wtedy. Ze wzruszenia nie mogłam mówić. Wtedy on podszedł, objął mnie i powiedział: »Pani Danko, damy sobie radę«”.

Urodzona w Krakowie, ale sercem wilnianka, bo ojciec, oficer 1 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów, pochodził z Wilna. „Był wielkim patriotą, a matka polonistka wychowywała mnie na poezji i obrazach z historii Polski. Oboje nauczyli mnie miłości do Piłsudskiego”, mówi. „Kiedyś Marszałek przyjechał do Wilna i odwiedził naszą szkołę baletową. W czasie śledztwa zabrano mi zdjęcie, na którym siedzę mu na kolanach”.

We wrześniu 1939 roku Danusia miała 14 lat i była uczennicą wileńskiego gimnazjum sióstr nazaretanek. „Nauka miała zacząć się 3 września, ale kiedy wybuchła wojna, rodzice nie puścili mnie już do szkoły”, opowiada Danuta Szyksznian. „Sowieci po wejściu do Wilna kazali jednak nam wracać do nauki. Nie trwało to długo, bo przekazali miasto Litwinom i znów

zamknięto szkoły”. Wtedy zaczęła się konspiracyjna działalność pani Danuty. Jej matka należała do Związku Wolnych Polaków, więc wołała, żeby w gorącej wodzie kąpana dziewczyna sama nie szukała możliwości wykazania się w konspiracji, tylko była przy niej. Przekazała córkę pod opiekę kpt. Bogusława Zagórnego ps. „Jan”. Ten zgodził się, żeby została ona kurierką: „Młoda jesteś, będziesz na posyłki”, usłyszała.

Zajęła się obserwacją okolic podziemnej drukarni przy ul. Kalwaryjskiej oraz własnego domu, w którym odbywały się spotkania podchorążówki. Konspiracja na poważnie zaczęła się jednak w 1940 roku, kiedy w mieszkaniu porucznika „Jana” zebrano się 12 dziewcząt wytypowanych przez nauczycielkę, koleżankę matki, która wykonywała zadania na rzecz polskiego wojska. Danuta Szyksznian pamięta scenę, która rozegrała się w mieszkaniu przy ul. Płockiej. „Co ja zrobię z tymi kozami?”, powiedział do siebie „Jan”, patrząc na 12 nastolatek, podekscytowanych perspektywą służby w konspiracji. „Patrzyłam w niego jak w obraz. Nie chciałam już być na posyłki, chciałam przenosić broń, dokumenty. Nie miałam jeszcze wymaganych 17 lat, więc bałam się, że mnie wyrzuci”, wspomina Danuta Szyksznian. „»Ile masz lat?«, usłyszałam. »Będę miała 17«, odpowiedziałam. »Jan« tylko się roześmiał: »Dostaniesz pseudonim »Sarenka««, powiedział”. A oddział dziewcząt „Jana” nosił nazwę Kozy. Przed postawionym na stole krzyżem dziewczęta powtórzyły za swoim dowódcą rotę przysięgi. Kiedy „Sarenka” wyszła na ulicę, czuła się, jakby dostała skrzydeł.

Została zatrudniona w kiosku przeznaczonym tylko dla Niemców, który znajdował się na dworcu kolejowym w Wilnie. Ona sprzedawała gazety, a czterech młodych mężczyzn roznosiło je po peronach. Oprócz oficjalnej pracy wszyscy mieli jednak do wykonania tajne zadania. Chłopcy kupowali broń od Hiszpanów, Czechosłowaków i Austriaków, których oddziały przewijały



MARCIN GÓRKA

Danuta Szyksznian „Sarenka” w mieszkaniu w Szczecinie

się przez dworzec, a następnie przynosili ją do kiosku. „Sarenka” natomiast zajmowała się dostarczaniem jej pod wskazany adres. Broń nosiła w torbie z podwójnym dnem – na wierzchu leżały niemieckie gazety, a pod spodem pistolet. „Niedaleko kiosku był budynek litewskiego gestapo”, opowiada pani Danuta. „Zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka. Gdyby doszło do wsypy, byłoby po nas”.

Pewnego razu, kiedy przenosiła broń na drugi koniec miasta, natrafiła na łapankę. Do zdenerwowanej dziewczyny podeszli okupanci. Kiedy spytali ją, co robi w tym miejscu, pokazała gazety i dodała: „Niosę wiadomości z frontu do dyrektora”. Żołnierze puścili Danę, ale dziewczyna ze stresu nie mogła ruszyć się z miejsca. „Tak trzęsły mi się kolana”, wspomina. Kiedyś zdenerwowała się, gdy w kwiatku stojącym na wyznaczonym oknie nie było zatkniętego dziecięcego wiatraczka, będącego sygnałem, że lokal jest bezpieczny. Okazało się jednak, że alarm jest fałszywy, bo do wskazanego mieszkania przyjechała babcia, która nie wiedziała nic o konspiracyjnych znakach i wiatraczek dała wnuczce do zabawy.

TWOJA KULA ŚWISZCZEĆ NIE BĘDZIE

„Tak to trwało do wybuchu powstania wileńskiego [7 lipca 1944 roku], kiedy dostałam rozkaz, żeby z posterunku na dworcu przenieść się do pracy w sztabie »Jana«”. Od tej pory „Sarenka” miała zająć się roznoszeniem meldunków i rozkazów ze sztabu do walczących oddziałów

i z powrotem. W ten sposób trafiła na pierwszą linię frontu. Pamięta, że wtedy powstańcy mówili jej: „Świszczących kul się już nie bój. Twoja świszczec nie będzie”. Świszczały na ul. Wielkiej, koło ratusza. Tam musiała przedostać się przez otwarty teren, gdzie Niemcy mieli wszystkich jak na widelcu. Poszła więc dookoła, przez park, gdzie nie tak dawno toczyły się ciężkie walki. Wszędzie leżały ciała poległych Niemców i Polaków. Napuchnięte, cuchnące. Przeskakiwała przez trupy. W końcu sama została ranna. W trakcie bombardowania, które rozpoczęło się w czasie akcji, odłamek trafił ją w nogę i tkwi w niej do dziś. Nie miała żadnego opatrunku, więc użyła chusteczki i tak dotarła do sztabu „Jana”.

„Niemcy w tym czasie twardo się bronili, ale powstańcom szybko udało się oczyścić miasto. Podczas pracy w sztabie widziałam niemieckich jeńców. Nagle z czystych, schludnych, pięknie ubranych zrobili się zarośnięci, brudni, wygłodzeni”, opowiada pani Danuta.

ZABIJĘ JAK SABAKĘ

Wilno było już wolne przed wkroczeniem Sowietów. Planowano zorganizowanie zwycięskiej defilady. Radość okazała się jednak przedwczesna, bo Sowietci, pod pretekstem spotkania, zebrali dowódców powstania i ich aresztowali. „Już wtedy było wiadomo, że miłości między nami nie będzie”, mówi Danuta Szyksznian. Ona uniknęła aresztowania i trafiła do dywersyjnego oddziału specjalnego →

rtm. Zygmunta Augustowskiego „Huberta”. Do 24 grudnia 1945 roku zajmowała się przenoszeniem rozkazów. Wtedy ktoś ją wsypał. „Jedna z zatrzymanych łączniczek nie wytrzymała bicia. Nie mam do niej pretensji. Mnie Bóg pozwolił, że nie sypnęłam, ale w obliczu potwornych tortur trudno tego wymagać od każdego”, mówi.

Sześciu funkcjonariuszy sowieckiego Ludowego Komisarjatu Bezpieczeństwa Państwowego weszło do jej domu w nocy przed Wigilią. Na szczęście prawie nic tam nie było, bo traf chciał, że dokumenty, broń i kontrabandę wyniesiono poprzedniego dnia. Stanęli przy oknie tak, że nie można było zdjąć z niego dziecinnego wiatraczka, który tradycyjnie oznaczał, że mieszkanie jest „czyste”. Sowietci przeprowadzili rewizję i znaleźli matrycę do powielacza. Los się jednak uśmiechnął do konspiratorów. Lejtnant był wściekły, że „przez swółocz nie śpi już któraś noc”, więc położył się na łóżku i zasnął. Sierżant, który znalazł matrycę, kazał ją rodzinie schować za piec. Polecił też spalić wszystkie zdjęcia żyjących kolegów. Kiedy spytali go, dlaczego im pomaga, odpowiedział: „Moja matka Polka. Chcę wam pomóc”. Poprosił tylko, by podarowali mu oprawionego pięknie w skórę „Pana Tadeusza”.

Denerwowali się, bo tego dnia o godzinie 10 rano miała się odbyć w tym mieszkaniu narada dowódców. Młodsza siostra Danuty wpadła jednak na pomysł, jak ich powiadomić o zagrożeniu. „Czy mogę się napić herbaty?”, zapytała Sowietów. Stwierdziła, że w rurach zamrzła woda i trzeba ją przynieść, więc w towarzystwie dwóch żołnierzy poszła nad rzeczkę. Tam upuściła wiadro, które z hukiem potoczyło się po skarpie. Wtedy nadchodzący dowódcy zauważyli ją w towarzystwie radzieckich żołnierzy.

W końcu Danutę i jej ojca Sowietci zabrali do budynku przy al. Słowackiego – tam było miejsce przesłuchań, takie jak gestapowski budynek przy al. Szucha w Warszawie. Ojca posadzono w jednym pokoju, a ją w drugim. Co chwilę kogoś dowozili. Siedzący naprzeciw niej mężczyzna bez słów wyjął z kieszeni opłatek i przełamał się z Danutą. Popatrzyli sobie tylko w oczy. „Danuta Janiak!”, wywołał ją nagle oficer, otwierając drzwi pokoju. Wstała. Kiedy usłyszała słowo „poproszę”, pomyślała, że chyba nie będzie tak źle. Złudzenia jednak straciła, kiedy poprowadzili ją korytarzem, którym wleki skatowanego człowieka. Dziś już wie, że to było celowe działanie – chcieli ją wystraszyć. Jak tylko weszła do pokoju przesłuchań, dostała w twarz. Upadła. Posadzili na krześle. I zaczęły się pytania, które zadawano jej w kółko przez siedem dni: „nazwisko, imię, kim jest ojciec?, co robi matka?, gdzie służyłaś?, co robiłaś?, do kogo chodziłaś?, od kogo dostawałaś rozkazy?”. „Jak się pomyliłam, od razu było bicie”, opowiada kobieta. Kazali jej położyć się na brzuchu na ławce. Kładli

na plecy mokrą szmatę i tłukli. „Nie wiem, czemu to robili. Może wtedy ślady są mniejsze”, zastanawia się do dzisiaj. „Nie chciałam krzyczeć, żeby ojciec nie słyszał. Zaciśkałam zęby”. Mdląła, kiedy bardzo bili. „Całe szczęście, bo wtedy polewali mnie wodą i nadchodził moment ulgi”, wspomina ze łzami w oczach Danuta Szyksznian. Wtedy oprawcy uszkodzili jej kręgosłup. W przerwach między biciem i pytaniami wyprowadzali ją na korytarz i sadzali na ławce. Pamięta, jak pewnego dnia oficer zaciągnął ją na górne piętro. „Módl się do Boga, bo zabiję jak sabakę”, powiedział. Usłyszała, jak repetuje broń. Zemdląła.

JAK JA PRZEŻYŁAM DWA TYFUSY?

Po siedmiu dniach torturowania wywieźli ją do więzienia na Łukiszkach. Tam trafiła do maleńkiej celi, w której musiało się zmieścić 11 osób. Później przeniesiono ją do większej, ale równie przepełnionej. W marcu przyszedł wyrok – została skazana na dziesięć lat łagru. Wtedy myślała, że to dobrze, bo przynajmniej spędzi ten czas na świeżym powietrzu. Nie miała jednak bladego pojęcia, co to jest łagier.

Przez wiele dni podróży w bydłych wagonach razem z innymi skazanymi dotarła do Saratowa nad Wołgą. Stamtąd ciężarówka zabrała ich do łagru w Jelszance. Na miejscu stały trzy drewniane baraki ogrodzone dwoma rzędami drutu kolczastego. Dookoła step, ani żywego ducha. Nikt nawet nie próbował stamtąd uciekać, bo nie było gdzie. Podobnie jak wcześniej w więzieniu, wszędzie roilo się od wszelkiego robactwa. Do jedzenia dostawali po kawałku suchego gliniastego chleba i zupę, czyli breję ugotowaną na ościach ryb i obierkach ziemniaków. Jedli ją ze starych puszek po konserwach. Nie dostawali też wody do mycia. Więźniowie z tego obozu pracowali przy budowie gazociągu Saratow – Moskwa.

Danuta zachorowała na tyfus już w czasie podróży w bydłych wagonach, a później trafiła do baraku dla chorych, na wykończenie. Mówi, że przeżyła wtedy śmierć kliniczną, bo od koleżanki zaraziła się tyfusem plamistym. „Jak ja przeżyłam w tych warunkach dwa tyfusy? Szczęście od Boga”, mówi.

Po roku komendant obozu przekazał więźniom, że ogłoszono amnestię dla najmłodszych i najstarszych. Objęła 30 osób w obozie, w tym Danutę Szyksznian. Po kilku tygodniach wsadzili wybranych więźniów do ciężarówek, wywieźli w step, wysadzili koło jakichś ziemianek i... odjechali. „Pewnie myśleli, że tam pomrzemy. Dlatego nas zostawili”, zastanawia się kobieta. Tymczasem przetrwali tam dwa tygodnie. Najpierw jedli trawę, a później znaleźli plantację słonecznika. W końcu przyjechała ciężarówka, żeby wyczerpanych, głodnych i brudnych ludzi zawieźć na dworzec w Saratowie.



Po siedmiu dniach torturowania
Danutę Szyksznian wywieziono
do więzienia na Łukiszkach.



ARCH. DANUTY SZYKSZNIAN

„MÓDL SIĘ DO BOGA, BO ZABIJĘ JAK SABAKĘ”, POWIEDZIAŁ RADZIECKI OFICER. USŁYSZAŁA, JAK REPETUJE BRONĀ. ZEMDLAŁA

Wydawało się, że to koniec problemów. Nikt nie chciał jednak zabrać tej wyniszczzonej gromadki do pociągu, aż w końcu pewien lekarz załatwił im koce i konserwy. Za te skarby udało im się dostać do pociągu do Moskwy. Na wagonie powieszono tabliczkę z napisem „Tyfus”. Kiedy dotarli do Moskwy, odnaleźli przedstawiciela polskiego rządu. „Jak nas zobaczył, zaniemówił z wrażenia. A ja sobie wtedy pomyślałam, że znowu będę żyć jak człowiek”. Umyli się, dostali jedzenie, a urzędnik pomógł im załatwić miejsca w pociągu do Wilna. Jej ukochane miasto było teraz sowieckie, więc nielegalnie przekroczyła polską granicę i zamieszkała w Drawnie.

W 1946 roku zaczęła w Darłowie pracę jako nauczycielka. Została jednak zwolniona za to, że walczyła w AK. Dopiero w 1970 roku skończyła zaocznie studia pedagogiczne i podjęła pracę w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Policach.

ODCHODZIMY PRZECIEŻ

„Sarenka” od 25 lat bierze udział w zjazdach Kresowych Żołnierzy Światowego Związku Żołnierzy AK. Do 1981 roku jego członkowie spotykali się nielegalnie w Wolinie, a potem już oficjalnie w Międzyzdrojach. W październiku 2016 roku tam właśnie odbył się XXV, ostatni już, zjazd. Z tej okazji mieszkańcy miasta uhonorowali żołnierzy pomnikiem – są to trzy krzyże symbolizujące ich walkę w rejonie Wileńszczyzny, Wołynia i Lwowa. „Kresowym Żołnierzom Armii Krajowej którzy, rozrzućeni po świecie, w Międzyzdrojach znaleźli swoją Małą Ojczyznę. Wśród grona przyjaciół, w okrucinach wspomnień pozostali wieni młodzieńczym ideałem obrońców Ziemi Kresowych i kresowym korzeniem”, brzmi napis na pomnikowej tablicy. „Marzyłam o tych krzyżach w Międzyzdrojach”, mówi

Danuta Szyksznian. „Tutaj osiedlali się żołnierze wygnani z ziemi wileńskiej. Na walizkach czekaliśmy na powrót w rodzinne strony. Nie doczekaliśmy się. Tu, w Międzyzdrojach, spotykamy się od 25 lat. To kawał czasu. Jeszcze parę lat temu byłam »podlotkiem pod dziewięćdziesiątkę«. Dziś jestem już »nastolatką«, tak sobie żartowała, mówiąc przez łzy, bo wiedziała, że to ostatni zjazd żołnierzy Armii Krajowej w tym miejscu. „Odchodzimy przecież”, mówi „Sarenka”. „Tu przyjeżdżało nawet tysiąc osób, a dziś jest nas garstka. To była piękna armia, przepiękne dziewczyny i dorodni chłopcy. A dzisiaj? Odchodzimy, ale jesteśmy radośni. Jeśli człowiek przejdzie na ziemi przez piekło, to wie, co to jest szczęście. Prawda?”

Dzień przed rozpoczęciem zjazdu „Sarenka” odebrała z rąk Adama Kwiatkowskiego, szefa gabinetu prezydenta RP, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla niepodległości RP, za działalność kombatancką i społeczną. „To podziękowanie za to, co pani robiła dla Polski, dla bliźnich i dla rodaków w różnych miejscach Polski i świata, gdzie życie Panią rzuciło, gdzie historia walki o wolną Polskę wyznaczała następne daty Pani życia”, mówił Adam Kwiatkowski, wręczając Danucie Szyksznian odznaczenie. Ona niechętnie opowiada o swoich odznaczeniach. A jest wśród nich także Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki czy Krzyż Zesłańców Sybiru. Została także honorową obywatelką Międzyzdrojów i szczecinianką roku. Pani Danuta woli opowiadać o książkach. Wydała ich już osiem. „Muszę pisać, dopóki sił wystarcza”, mówi. Śmieje się, że rodzina czeka, kiedy przestanie to robić, bo książki wydaje własnym sumptem, więc bierze na nie pożyczki. Spisała już biogramy ponad tysiąca żołnierzy Armii Krajowej. ■

Inicjatywa wydania wspomnieniowego albumu wyszła od rodzin poległych żołnierzy. Podjęliśmy się tego zadania, aby w ten sposób nie tylko uhonorować tych, którzy oddali życie podczas misji, lecz także sprawić, by dzięki tej publikacji zapisali się na trwałe w ludzkiej pamięci”, mówi ppłk Leszek Stępień, dyrektor Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa. Podkreśla, że upamiętnianie poległych w misjach to jedno z najważniejszych zadań placówki, którą kieruje.

„Mam nadzieję, że opowiadając tych 66 historii, kładziemy kolejną cegiełkę pod pomnik naszej zbiorowej pamięci, który wznosimy wśród szerokiego grona odbiorców wspólnie z rodzinami poległych. Nie można pozwolić, by za kilka lat stali się oni grupą bezimiennych bohaterów, którzy zginęli gdzieś tam na dalekiej misji”, mówi Jacek Matuszak, autor części albumu dotyczącej misji, na których zginęli Polacy.

NIEZWYKŁE OPOWIEŚCI

Pierwszym polskim żołnierzem poległym w Iraku był ppłk Hieronim Kupczyk. 6 listopada 2003 roku konwój, w którym jechał, wpadł w zasadzkę. Tragiczną listę zamyka st. chor. Rafał Celebudzki, 44. Polak, który nie wrócił z Afganistanu. Zginął 16 września 2014 roku, gdy obok wojskowej kolumny pojazdów zamachowiec samobójca zdetonował samochód pułapkę.

„Z opowieści rodzin, przyjaciół, znajomych, przełożonych i podwładnych wyłaniały się portrety bohaterów, niekoniecznie herosów, ale ludzi z krwi i kości. Nie tylko wojowników, ale, co ważne, dobrych ojców, mężów, przyjaciół, dbających o swoje środowisko. Ludzi, którzy stawiali sobie w życiu często ambitne cele i, pomimo wielu przeciwności, je realizowali. A przy tym wędkarzy, modelarzy, akwarystów, majsterkowiczów, kucharzy... Zwykłych, ale jednocześnie i niezwykłych”, mówi o swojej pracy nad albumem Marcin Górka, jeden z autorów. „Z tego długiego i trudnego czasu zbierania opowieści o poległych pozostanie mi wiele obrazów. Jak ten, gdy w Iraku poległ plut. Tomasz Krygier z 12 Brygady Zmechanizowanej, a jego koledzy, z którymi chodził na piwo do pubu w Szczecinie, w swojej »uroczystości« wynie-

śli z lokalu kufel, w którym pił zazwyczaj piwo. I rozbili o ziemię”, opowiada.

To były trudne i pełne emocji rozmowy. Ja sama prowadziłam je od wielu miesięcy na różnych spotkaniach z rodzinami poległych. Nie wszyscy potrafili mówić, bo mimo upływu lat ból po stracie nadal ścisnął gardło. Powoli z tych opowieści wyłaniały się oni. Bohaterowie. Mężowie i synowie, którzy ginęli z dala od domu. Wszyscy życiem zapłacili za swoją miłość do wojska.

Tacy jak sierż. Andrzej Filipek z 3 Brygady Zmechanizowanej w Lublinie, który przez trzy miesiące służby na IX zmianie PKW w Iraku był czterokrotnie wyróżniany za wzorowe wypełnianie zadań. Albo sierż. Szymon

Sitarczuk, ranny w ataku rebeliantów na polski patrol, który został pierwszym polskim żołnierzem uhonorowanym w Afganistanie tytułem Hero of the Battle (Bohater Pola Walki).

O poległych opowiadali także ich koledzy. Tak poznałam plut. Jana Kiepurę, o którym żołnierze z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich mówili: „Pasjonat, zawsze chciał służyć w wojsku. Wzór żołnierza. Każdy chciałby mieć takiego dowódcę”. O por. Robertcie Marczewskim z 6 Batalionu Desantowo-Szturmowego w Gliwicach usłyszałam, że „nie był żołnierzem w białych skarpetkach, który z daleka omija kałuże”. „Całe życie chciałem pomagać i bronić”,

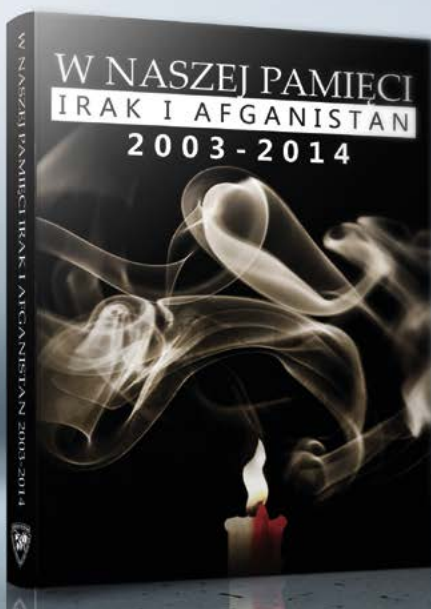
powiedział sierż. Marcin Pastusiak, gdy przyszło wezwanie do wojska. Służył w Oddziale Specjalnym Żandarmarii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim.

„Mamy diament”, mówili dowódcy o por. Łukaszu Kurowskim z 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie. Zginął jako pierwszy polski żołnierz na misji w Afganistanie. Śmierć kpt. Daniela Ambrozińskiego z 1 Batalionu Kawalerii Powietrznej w Leźnicy Wielkiej poruszyła całą Polskę. Dowódcy opowiadali, że potrafił pociągnąć za sobą ludzi. Żołnierze z plutonu czuli jego siłę i szli za nim jak w ogień. Pożegnali go słowami: „Najlepsi odchodzą pierwsi”. Kpt. Krzysztof Woźniak, który zginął, stojąc na czele grupy szturmowej GROM-u, miał powiedzieć krótko przed akcją pojmania groźnego terrorysty: „Pamiętaj-

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

HONOROWE ZOBOWIĄZANIE

W jednostkach, w których służyli, mają ulice swojego imienia, tablice i obeliski. Teraz pamięć o nich utrwalił na kartach książki. Powstał album zawierający 66 sylwetek tych, którzy polegli w Iraku i Afganistanie: 65 żołnierzy i jednego cywila – ratownika medycznego z Lublina. Wspominają ich rodziny i koledzy.



W pracę nad albumem było zaangażowanych kilka osób:

dziennikarka „Polski Zbrojnej” Małgorzata Schwarzgruber, współpracujący z redakcją Marcin Górka (m.in. autor książki „Karbala”), Marcin Ogdowski, reporter wojenny i wydawca portalu Interia.pl, oraz Jacek Matuszak, który jako pracownik wojska sześć razy był na misjach w Iraku i Afganistanie. Wydawcą albumu są Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa oraz Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej. Patronat medialny nad wydawnictwem objęła „Polska Zbrojna”.

PIOTR LISOWSKI

ALBUM DOSTANĄ NIE TYLKO NAJBLIŻSI POLEGŁYCH MISJONARZY. TRAFI ON TAKŻE DO SAL TRADYCJI W JEDNOSTKACH, BIBLIOTEK, ŚRODOWISK AKADEMICKICH CZY SZKÓŁ Z KLASAMI MUNDUROWYMI

cie, że jakby co, Bóg formuje też oddział po tamtej stronie życia i potrzebuje najlepszych”.

„Wgryzając się w życiorysy poległych, wielokrotnie miałem wrażenie, że te historie zasługują nie tylko na spisanie. Część z nich to gotowe scenariusze wspianych filmów”, opowiada Marcin Ogdowski, współautor albumu. I wspomina: „To wóz ze mną w składzie miał jechać na czele. Jednak dowódca patrolu podjął inną decyzję – »naszego« Rosomaka przesunął na czwarte miejsce. W nowej jedynce jechał Marcin Poręba. Zginął na miejscu, gdy pod transporterem eksplodował IED [improvizowany ładunek wybuchowy]. Podatny na fatalizm myślałem wówczas: „Miał zginąć jakiś Marcin. No i zginął”.

Gdy podczas pracy nad albumem Marcin Ogdowski zadzwonił do matki poległego żołnierza, usłyszał: „Od prawie sześciu lat czekam na pański telefon”. „Tu nie chodziło o dokończenie pewnej historii. To było honorowe zobowiązanie wobec chłopaków, ich rodzin oraz przyjaciół. Tak po prostu”, mówi.

PAMIĄTKA DLA RODZIN

Dla rodzin tych, którzy polegli, album będzie szczególną pamiątką. „Myśli są ulotne, a obrazy zacierają się w pamięci. Słowo pozostanie. To będzie dla naszych dzieci wspomnienie ojca. Czasem pamięć o nim przeka-

zują dziadkowie, bo maluchy nie zdążyły poznać taty”, mówi Jolanta Janik, sekretarz Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość”, mama sześciolatniego Gerarda i wdowa po st. chor. Sylwesterze Janiku, który zmarł w 2013 roku na skutek ciężkich ran odniesionych podczas ataku rebeliantów na bazę w Ghazni.

Album dostaną nie tylko najbliżsi poległych misjonarzy. Trafi on także do sal tradycji w jednostkach, bibliotek, środowisk akademickich czy szkół z klasami mundurowymi. „Jeżeli rodziny wyrażą zgodę, opublikujemy album na naszych stronach internetowych. Chciałbym, aby była to wersja rozszerzona o kolejne sylwetki, bo od 1953 roku, gdy po raz pierwszy polscy żołnierze wzięli udział w zagranicznej operacji wojskowej, 120 z nich nie wróciło do domu”, mówi płk Stępień.

Małgorzata Wilczyńska, wiceprezes Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość”, zwraca uwagę, że żołnierze tracili życie nie tylko na misjach, lecz także podczas służby w kraju. Jej mąż, ppłk Mirosław Wilczyński, zginął w 2008 roku w katastrofie Casy pod Mirosławcem. „To ważne dla rodzin, aby ich bliscy pozostali we wspomnieniach – czy to na kartach albumu, czy na stronie internetowej. Taka pamięć jest szczególnie potrzebna dzieciom, aby wiedziały, że ich ojcowie służyli ojczyźnie”, podkreśla. ■



DARIUSZ SZYMANOWSKI

Tajemnica Hubala

Niebawem dowiemy się, czy na cmentarzu w Inowłodzu w kwietniu 2015 roku odnaleziono szczątki mjr. Henryka Dobrzańskiego.

W lutym 2016 roku, podczas nagrywania kolejnego odcinka programu „Było... nie minęło”, Paweł Beuth, zięć Jana Kowalskiego, którego ojciec, Stanisław, miał brać udział w złożeniu ciała Henryka Dobrzańskiego „Hubala” do grobowca rodziny Kowalskich na terenie cmentarza w Inowłodzu, po raz pierwszy publicznie opowiedział o historii prawdopodobnego pochówku majora. Szczątkowe informacje o tej sprawie dotarły do twórców programu trochę wcześniej, nie ujawniano ich jednak, zanim nie poznano pełnego opisu wydarzeń. Według Pawła Beutha, w 1940 roku czterech mężczyzn, w tym ówczesny proboszcz parafii Inowłódz, ks. Stanisław Kowalski, potajemnie ukryło ciało „Hubala” w jednym z grobowców na terenie cmentarza rzymskokatolickiego w Inowłodzu. Ale jak udało się niepostrzeżenie przewieźć ciało z Tomaszowa Mazowieckiego do odległego około 15 km Inowłodza? Ta kwestia budzi wątpliwości i na razie pozostaje tajemnicą.

TO JEST JEGO BARANICA

Rankiem 30 kwietnia 1940 roku Niemcy atakowali nocujący w zagajniku pod Anielinem (obecnie pow. opoczyński, woj. łódzkie) mocno okrojony oddział mjr. Henryka Dobrzańskiego

„Hubala”. W tej potyczce zginął dowódca, a jego ciało przeniesiono do zagrody rodziny Laskowskich. Stamtąd Niemcy zabrali je na furmankę i powieźli w kierunku odległego o 4 km Poświętnego. Obok miejsca, gdzie wiejska droga z Anielina łączy się z szosą Odrzywół – Inowłódz, czekała już wojskowa ciężarówka. Przełożono na nią zwłoki „Hubala” i zawieziono je na plac znajdujący się naprzeciwko kaplicy św. Anny w Poświętnem. Tam zebrano mieszkańców i pytano ich, czy rozpoznają ciało dowódcy.

W godzinach przedpołudniowych ciężarówka z ciałem „Hubala” odjechała w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego przez Inowłódz i Spałę. W Inowłodzu ciało majora widział m.in. Jan Wojtatowicz, wówczas 10-letni chłopiec. Z kolei Szczepan Wilk, pracujący w Naczelnym Dowództwie na Wschodzie (Oberkommando Ost) w Spale, 30 kwietnia 1940 roku widział kolumnę jednostek niemieckich powracających z akcji pod Anielinem, podążającą w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego: „Nadchodzi oddział piechoty i wozy konne. [...] Na jednym wozie leży płaszcz podbity kożuchem z czarnym kołnierzem, za wozem kilka szarych koni. Tak, to są konie hubalczyków i jego płaszcz [Dobrzańskiego], baranica, która mu służyła za okrycie i pierzynę”.



Organizacją prac ekshumacyjnych na cmentarzu w Inowłodzu zajęła się Fundacja „Honor, Ojczyzna” im. mjr. Władysława Raginisa, a prace fizyczne zostały wykonane głównie siłami Stowarzyszenia „Wizna 1939”.

Z relacji kilku osób wiadomo, że 30 kwietnia zwłoki „Hubala” przywieziono do Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie planowano pochówek na tamtejszym cmentarzu wojskowym położonym naprzeciw koszar, wówczas zajętych przez niemieckie jednostki (obecnie siedziba 25 Brygady Kawalerii Powietrznej). Informacja o tym szybko się rozniosła wśród mieszkańców, więc wielu z nich przyszło na pogrzeb. Jedną z obecnych tam osób tak to wspominała: „Na chłopskiej baranicy leżały zwłoki mężczyzny w wojskowym mundurze, długich butach i z brodą okalającą twarz. Widocznie w tym miejscu zdjęto je z samochodu. Niemcy nie rozpędzali gromadzących się ludzi. Zależało im widocznie, aby mieszkańcy Tomaszowa przekonali się naocznie, że mjr »Hubal« nie żyje”.

BĘDĄ CHOWAĆ DOBRZAŃSKIEGO

W jednym z odcinków programu TVP Historia „Było... nie minęło” zamiar pochowania „Hubala” w Tomaszowie Mazowieckim potwierdził świadek, Stefan Malczewski, który widział z bliska twarz zmarłego oficera z rudą brodą, choć nie był wówczas świadomy, kto to jest. Na cmentarz wysłała go matka, bo dowiedziała się, że „będą chować Dobrzańskiego”, i była przekonana, że chodziło o ich sąsiada, który nosił takie nazwisko.

Ciało „Hubala” było ułożone na wozie konnym na żelaznych kołach, znajdującym się na szosie naprzeciwko bramy cmentarnej. Przy głównej alejce został już wykopany dół, a obok stała grupka niemieckich oficerów. Malczewski dowiedział się od jednej ze stojących przed bramą osób, że wszyscy czekali, bo pojechano po trumnę dla oficera. Potem jednak najwyraźniej Niemcy zmienili decyzję i zrezygnowali z tego pogrzebu.

Jak wynika z relacji Heinricha Schreihagego, byłego oficera wydziału rozpoznawczego I C w sztabie 372 Dywizji Piechoty Wehrmachtu, ciało „Hubala” przeniesiono na teren koszar do garażu (działowni). 1 maja 1940 roku gen. kawalerii Curt Ludwig von Gienanth, nowy dowódca Oberkommando Ost, udał się do Tomaszowa Mazowieckiego, by zobaczyć trumnę, do której włożono „Hubala”. Według Schreihagego, generał w działowni oddał hołd poległemu. I jest to ostatnia informacja na temat zwłok majora. Nie wiadomo, co później się z nimi stało, a liczne próby odnalezienia szczątków Dobrzańskiego zakończyły się niepowodzeniem.

POGRZEBOWY STOS?

Czy Niemcy spalili ciało „Hubala”? Taka hipoteza pojawiła się w kilku publikacjach, a jej źródłem była przypadkowo odnaleziona w 2002 roku w Austrii fotografia, przedstawiająca obłożone gałązkami sosny zwłoki „Hubala” i leżący obok zwój pogniecionych gazet. Zdjęcie zna-

łazł Roman Szlaczan w czasie robienia porządków na strychu jednej z wiedeńskich kamienic i przekazał je w Polsce swojemu nauczycielowi Konstantemu Ostrowskiemu.

Ostrowski w zamieszczonym w tamtym czasie w „Tygodniku Opoczyńskim” artykule stwierdził: „Na fotografii dokładnie widać, że ciało majora zostało obsypane dookoła wałem z piachu, a zwłoki obłożono gałęziami i gazetami. W tle widać też nogi żołnierzy i, jak twierdzą historycy, coś na kształt kanistra”. Z kolei autor artykułu wyciągnął jeszcze dalej idący wniosek, że, jeśli przypuszczenia historyków się potwierdzą, mogłoby to oznaczać, że ciało majora zostało spalone.

Wkrótce artykuł o podobnej treści został opublikowany w „Życiu Warszawy”, gdzie na temat zdjęcia wypowiedział się hubalczyk Romuald Rodziewicz. Według niego, widać stos przygotowany do podpalenia, więc „ta fotografia potwierdza najgorsze”. Stwierdził ponadto, że wkrótce po śmierci „Hubala” do żołnierzy dotarła informacja o tym, że Niemcy spalili jego ciało – podobno widział to pewien chłopiec.

Więcej ostrożności w ocenie fotografii wykazał płk Leszek Grot, historyk wojskowości, kierujący wówczas działem historycznym w tygodniku „Polska Zbrojna”. Stwierdził, że spotykał się już w przeszłości ze zwyczajem obkładania zmarłego gałązkami sosnowymi i świerkowymi, co miało pomagać w przechowywaniu ciała. Tyle że w tym wypadku, jak sam zauważył, ze względu na zimno nie było takiej potrzeby.

ZNALAZIONE SZCZĄTKI

Opowiedziana przez Pawła Beutha historia wydała się wiarygodna chociażby dlatego, że kilku członków rodziny Kowalskich potwierdziło, iż w ich grobowcu był pochowany jakiś oficer, którego szczątki przeniesiono potem w inne miejsce, pod mur cmentarny. Zdecydowano zatem o podjęciu prac. Ich organizacją zajęła się Fundacja „Honor, Ojczyzna” im. mjr. Władysława Raginisa, a prace fizyczne zostały wykonane głównie siłami Stowarzyszenia „Wizna 1939”. Dopiero przy trzecim podejściu, w połowie kwietnia 2015 roku, znaleziono szczątki ludzkie. Ze wstępnej oceny antropologicznej wynika m.in., że należały one do mężczyzny w wieku 40–50 lat. Kilka innych szczegółów również może wskazywać na to, że mogło to być ciało „Hubala”. Ostatecznie jednak o wszystkim zdecydują badania genetyczne, wykonywane w Zakładzie Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. ■

DARIUSZ SZYMANOWSKI jest założycielem Stowarzyszenia „Wizna 1939” oraz Fundacji „Honor, Ojczyzna” im. mjr. Władysława Raginisa.

Powrót do kraju

Do Polski sprowadzono prochy zasłużonych oficerów.

Rzeczpospolita spłaca dzisiaj dług, jakimi my Polacy zaciągnęliśmy u tych dwóch wielkich naszych rodaków”, powiedział minister Antoni Macierewicz 23 listopada podczas powitania szczątków płk. Ignacego Matuszewskiego i mjr. Henryka Rajchmana w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego na warszawskim Okęcie. „Dziełem ich obu jest polska myśl niepodległościowa. Nie byłoby Polski niepodległej bez ich walki, pracy, trudu i cierpienia”, dodał szef MON. Minister przypomniał, że Ignacy Matuszewski był współtwórcą polskiego wywiadu i kontrwywiadu. Jego praca przyczyniła się do największego zwycięstwa w najnowszych dziejach Polski, jakim była Bitwa Warszawska. „Z kolei bez uratowanego przez obu oficerów złota nie byłby możliwy wysiłek zbrojny armii Rzeczypospolitej podczas II wojny światowej”, zaznaczył minister. Antoni Macierewicz dodał, że płk Matuszewski na powrót do Polski czekał 70 lat. „Przekazywał w testamencie, że chce wrócić, ale do Polski niepodległej. Dzisiaj z dumą i wdzięcznością możemy go w takiej Polsce przywitać”.

Jak podkreślił dr hab. Sławomir Cenckiewicz, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, jest to dzień, o którym marzyli polscy emigranci, kiedy w 1946 roku składali do grobu w dalekim Nowym Jorku płk. Matuszewskiego, a pięć lat później, w 1951 roku, jego przyjaciela, mjr. Rajchmana. „Oficerowie byli ważnymi postaciami, zwłaszcza w okresie II wojny, kiedy wzięli na siebie ciężar prowadzenia walki o sprawy Polski na terenie Stanów Zjednoczonych”, mówił dr Cenckiewicz.



UROCZYSTY POGRZEB SZCZĄTKÓW PŁK. IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO I MJR. HENRYKA RAJCHMANA ODBĘDZIE SIĘ 10 GRUDNIA NA CMENTARZU WOJSKOWYM NA POWĄZKACH. BOHATEROWIE SPOCZNĄ W KWATERZE ŻOŁNIERZY WOJSKA POLSKIEGO 1920 ROKU. UROCZYSTOŚĆ POPRZEDZI MSZA ŻAŁOBNA W KATEDRZE POŁOWEJ WP

Płk Matuszewski służył w armii rosyjskiej w czasie I wojny światowej, następnie walczył w I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Po odzyskaniu nie-

podległości został szefem Oddziału II Naczelnego Dowództwa, odpowiedzialnym za wywiad wojskowy także podczas wojny z bolszewikami. Później był m.in. attaché wojskowym w Rzymie oraz ministrem skarbu. Mjr Rajchman w czasie I wojny był żołnierzem 5 Pułku Piechoty Legionów Polskich. Wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej jako kapitan w sztabie I Dywizji Piechoty Legionów, potem służył m.in. jako attaché wojskowy w Tokio oraz w Biurze Inspekcji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w Warszawie. Był też ministrem przemysłu i handlu II RP.

Obaj oficerowie, na polecenie polskiego rządu, we wrześniu 1939 roku nadzorowali ewakuację do Francji 75 t złota Banku Polskiego. Kruszec o wartości 400 mln zł wywieziono z Polski przez Rumunię do Stambułu, a następnie na terytorium podległego wówczas Francuzom Bejrutu. W październiku skarb II Rzeczypospolitej trafił do Never nad Loarą. Majątek ten pomógł w budowaniu polskiej armii i działalności rządu emigracyjnego gen. Władysława Sikorskiego. Oficerowie w 1941 roku przedostali się do USA, gdzie organizowali Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia oraz Instytut Józefa Piłsudskiego. Obaj zmarli na emigracji w Stanach Zjednoczonych.

O przewiezienie do kraju prochów Polaków zabiegał komitet honorowy powołany przez ministra Antoniego Macierewicza. Jesienią 2016 roku sąd stanu Nowy Jork wydał zgodę na ekshumację i przewóz do Polski szczątków oficerów. AD, MM ■



Kuratela na Monte Cassino

Włoskie ministerstwo kultury objęło ochroną polski cmentarz wojenny.

Decyzja o nadaniu terenom walk na Monte Cassino statusu miejsca o szczególnym znaczeniu historycznym powoduje, że każda prowadzona tam działalność podlega kontroli i musi się odbywać z poszanowaniem historyczno-wojskowego charakteru tego miejsca oraz

pamięci poległych. Starania o ochronę cmentarza i miejsca bitwy podjęła polska ambasada we Włoszech, aby zapobiec inicjatywom niezgodnym z powagą tego miejsca. Za takie zdarzenie strona polska uznała zorganizowanie w grudniu 2015 roku „wioski świę-

tego Mikołaja”, czyli świątecznego jarmarku w pobliżu polskiej nekropolii wojennej. Po protestach naszej ambasady i Polonii targ zamknięto. Na cmentarzu na Monte Cassino spoczywa około 1050 żołnierzy 2 Korpusu Polskiego, którzy zginęli podczas walk o wzgórze. AD ■



Wojna na ekranie

Po raz siódmy rozdano nagrody na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Historycznych i Wojskowych.

Onajwyższy laur walczyło 75 obrazów z 18 państw świata. Złotą Szablę w kategorii film fabularny zdobył obraz „Karbala” w reżyserii Krzysztofa Łukaszewicza, opowiadający o epizodzie z misji w Iraku, w którym wzięli udział polscy żołnierze. Z kolei o walce wojsk fran-

cuskich przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu w Mali opowiada francuski film „Serval. Brygada w boju” w reż. Nicolasa Conorta, który dostał najwyższy laur za film wojskowy. Za najlepszy dokument jury uznało „Karski i władcy ludzkości” w reż. Sławomira Grundberga,

o kurierze Polskiego Państwa Podziemnego, który ujawnił przed aliantami okrucieństwa i masowe zbrodnie, jakich hitlerowcy dopuszczali się na terenie Polski. Najlepsi twórcy filmowi otrzymali podczas finałowej gali repliki polskich szabel wojskowych. AD ■



Patriotyczny jubileusz

Rzeczpospolita szykuje się do obchodów stulecia odzyskania niepodległości.

Przygotowanie oraz przeprowadzenie obchodów stulecia odzyskania niepodległości, upamiętniających wydarzenia związane z odradzeniem się państwa polskiego, reguluje rządowy wieloletni program „Niepodległa”. Jego nadrzędnym celem ma być wzmocnienie poczucia wspólnoty obywatelskiej Polaków. Wśród projektów przygotowanych na stulecie państwa znalazły się m.in. uzupełnie-

nie listy pomników historii, nagranie i wydanie partytur stu najwybitniejszych utworów muzycznych z lat 1918–2018 oraz budowa sieci muzeów, w tym Muzeum Historii Polski. Program ma potrwać cztery lata – od 2017 do 2021 roku, a na jego realizację w przyszłym roku przeznaczono 12 mln zł. Przygotowanie oraz wdrożenie programu powierzono ministrowi kultury. AD ■

Kartka dla bohatera

Około 100 tys. pocztówek wysłano do powstańców warszawskich.

Podczas trwającej od sierpnia do października akcji „BohaterON – włącz historię” każdy, kto chciał podziękować kombatantom za udział w powstaniu warszawskim, mógł wysłać im pocztówkę – przez internet, ze strony Bohateron.pl, albo pobrać bezpłatne kartki na pocztę, w pociągach Express InterCity czy w Muzeum Powstania Warszawskiego. Można było je zaadresować do konkretnego powstańca lub w ogóle nie podawać nazwiska. Polacy napisali 97 359 kartek pocztowych, które trafią do weteranów walk. AD ■

Wybuchowa niespodzianka

Mieszkaneczka francuskiego miasteczka Claix w okolicach Grenoble w worku ziemniaków przyniesionym z pobliskiego supermarketu znalazła ciężki przedmiot oblepiony gliną. Uznała go za kamień i odłożyła na bok. Po powrocie do domu razem z mężem oczyścili i jeszcze raz obejrzelili przedmiot. Okazało się, że jest to ręczny granat, pochodzący z 1917 roku. Małżonkowie zanieśli niewypał do ogrodu i wezwali policję, ta zaś saperów. Jak podaje portal Ledauphine.com, okazało się, że ziemniaki pochodziły z uprawy w regionie Pas de Calais. Podczas I wojny światowej toczyły się tam ciężkie walki i w ziemi zostało jeszcze wiele pamiątek z tego okresu. AD ■

Goście z kosmosu

Hiszpański resort obrony odtajnił materiały dotyczące UFO.

Archiwum zawiera niemal 80 opisów i liczy 1900 stron. Najstarsze dokumenty pochodzą z początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Jak z nich wynika, od połowy lat siedemdziesiątych do połowy lat dziewięćdziesiątych niezidentyfikowane obiekty latające były widywane nad Hiszpanią regularnie. **Najwięcej niewyjaśnionych spotkań zgłosili hiszpańscy lotnicy wojskowi,** w tym należący do Eskadry Obro-

ny Powietrznej, stacjonujący na Wyspach Kanaryjskich. Tylko w 1968 roku złożyli oni 16 meldunków o zauważeniu podczas lotów obiektów, a także świateł, które nie pochodziły od innych samolotów. UFO widzieli również cywile, m.in. w 1980 roku zaobserwował je podczas lotu z Madrytu do Berlina ówczesny premier Adolfo Suarez. Raporty można przeczytać na stronie internetowej hiszpańskiego ministerstwa obrony. AD ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Krowa na warcie

Stanisław W., który służbę zawodową skończył ponad 30 lat temu jako starszy sierżant, jeszcze niedawno, kiedy był zapraszany na święto jednostki, mówił żołnierzom, że ich największą radością wcale nie powinny być samonaprowadzające się na cel rakiety i klimatyzowane rosomaki, ale to, że nie muszą chodzić na wartę.

Według niego, popularność powiedzenia, iż nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu, to także jego zasługa. Ilekroć je słyszał, zawsze czuł się tak, jakby odnosiło się właśnie do niego.

Po przeszkoleniu podstawowym, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, został skierowany do jednostki w Jasionce koło Rzeszowa, gdzie żołnierze budowali lotnisko. Był z Warszawy, dlatego w tamtych latach miał niejako z obowiązku przypisaną służbę daleko od stolicy. Niemal z marszu, bo już następnego dnia po przybyciu, „warszawiaka”, bo tak go szybko nazwali żołnierze, wyznaczono na wartę.

Dowódca nie owijał w bawełnę: „teren wciąż niebezpieczny, wszystko się zdarzyć może. Jeśli krzykniecie »stój, służba wartownicza« i nikt się nie odezwie, strzelać od razu, potem pytać”.

To była paskudna warta. Niebo pochmurne, wyjątkowo ciemno, puste pole. W takich warunkach adrenalina skacze na maksa. Nie ma mowy o żadnym spaniu, jak to później bywało na warcie w parku samochodowym, w szoferce.

W pewnej chwili usłyszał wyraźne kroki. Ktoś, przez łąkę, maszerował w jego kierunku. Stanisław W. zrobił, jak kazał dowódca. Na okrzyk nikt się nie odezwał. Po chwili znowu usłyszał, że ktoś zbliża się do niego.

Nacisnął spust, celując w stronę intruza. Przerwał ogień, kiedy pepesza, bo takie mieli wówczas w uzbrojeniu, wypuła wszystkie 72 naboje. Raban oczywiście powstał niesłychany. Najpierw zjawił się dowódca warty ze zmianą czuwającą, potem szef sztabu i jego oficerowie.

Ściągnięto reflektory do oświetlenia pola i wszczęto akcję poszukiwania napastników, którzy próbowali, bo tak powiedział „warszawiak”, podejść wartownika.

Atmosfera szybko jednak siadła. Okazało się, że cały magazynek pepeszy wpakował w krowę, która pasła się tam od dawna. Jak to załatwiono? Pewnie zabita krowę zwrócono gospodarzowi, a może poszła do żołnierskiego kotła. W każdym razie do żołnierza nikt nie miał pretensji, a na najbliższym apelu został wskazany jako przykład właściwego pełnienia służby wartowniczej, dzięki czemu uniemożliwił wrogi napad na jednostkę.

To jednak jeszcze nie puenta tej historii. Kiedy „warszawiaka” przeniesiono do szkoły oficerskiej, pozwalał sobie na nocne wypadki, poza koszary, bez przepustek. Dziewczyny lubiły warszawiaków. Kiedy przechodził przez płot, młody wartownik, tak samo przerażony jak wcześniej on, pociągnął za spust. Gdy do Stanisława W. dotarło, że ocalał, zbluzgał strasznie wartownika, wrócił do kompanii i potem już nigdy nielegalnie nie opuścił jednostki.

Ppłk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.



KRZYSZTOF GONERA / 10 BK PANC

ANNA DĄBROWSKA

Pancerne mogiły

Wielu polskich żołnierzy zostało pochowanych na holenderskich cmentarzach.

Sformowana w lutym 1942 roku w Szkocji 1 Polska Dywizja Pancerna pod koniec lipca 1944 roku została przerzucona do Normandii, gdzie weszła w skład 1 Armii Kanadyjskiej. Polscy żołnierze dowodzeni przez gen. broni Stanisława Maczka, po zwycięskiej bitwie pod Falaise, ruszyli w pościg za wycofującymi się Niemcami.

POLSKIE GROBY

Opanowywali kolejne miasta Francji, Belgii i Holandii. 26 października Polacy dostali rozkaz zdobycia holenderskich miejscowości Oosterhout, Haansberg i Gilze oraz wyzwolenia Bredy – miasta leżącego niedaleko granicy z Belgią i stanowiącego ważny węzeł komunikacyjny w tym rejonie.

Rankiem 29 października polskie oddziały pancerne ruszyły do natarcia. Miasta broniły trzy niemieckie dywizje piechoty i jednostka pancerna. Gen. Maczek przeprowadził jednak udany manewr, oskrzydłający otaczające niemieckie oddziały od północy i południa.

„Podhalanie z 2 pułku pancernego poszli przez południowe skraje Ginneken na Oranienboom-Princenhage, 9 baon miał oczyścić z nieprzyjaciela całe Ginneken, 8 batalion strzelców uderzył na park Wilhelminy, 1 pułk

pancerny obszedł Bredę od północy i zaatakował stację kolejową”, opisywał we wspomnieniach „Narwik i Falaise” płk Władysław Dec, żołnierz 1 Dywizji.

Ciężkie walki toczyły się cały dzień. 3 Brygada Strzelców zdobyła Ginneken, wdarła się na przedmieścia miasta i opanowała jego południowo-zachodnią część. 10 Brygada Kawalerii Pancernej zajęła północno-wschodni rejon Bredy i zdobyła most w rejonie Oranjeboom. Wieczorem miasto było wolne.

W walkach trwających od 3 do 29 października, czyli od wyzwolenia holenderskiego Alphen do zdobycia Bredy, 1 Dywizja Pancerna straciła 151 żołnierzy. Spoczęli oni na holenderskich cmentarzach, głównie na największej w tym kraju polskiej nekropolii w Bredzie.

Polski Cmentarz Honorowy przy ulicy Ettensebaan otwarto 24 czerwca 1963 roku dzięki wysiłkowi Polonii oraz holenderskich społeczników. W zamyśle miał się stać centralną polską nekropolią wojenną w Holandii, na której spoczną szczątki wszystkich poległych w tym kraju Polaków, również tych pochowanych na innych holenderskich cmentarzach.

Jednak wiele miejscowości, takich jak m.in. Alphen, Axel, Ginneken czy Oosterhout, nie zgodziło się na eks-humacje i przeniesienie ze swoich cmentarzy grobów

WŚRÓD SWOICH ŻOŁNIERZY SPOCZYWA TUTAJ ZMARŁY W 1994 ROKU GEN. MACZEK

polskich żołnierzy. W rezultacie w chwili otwierania nekropolia liczyła 151 grobów, dziś są 163.

Spoczywają tutaj głównie polegli podczas walk z Niemcami żołnierze 1 Polskiej Dywizji Pancerniej. Zgodnie ze swoim życzeniem wśród nich został też pochowany, zmarły w Edynburgu w wieku 102 lat, dowódca 1 Dywizji gen. Maczek. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 23 grudnia 1994 roku.

POGRZEB PO LATACH

Obok pancerniaków na cmentarzu pochowano także żołnierzy 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, polskich jeńców oraz 25 lotników Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie. Ekshumowano ich i przeniesiono z kilkunastu holenderskich cmentarzy, m.in. w Abbekerk, Borger, Heusden i Oostermeer.

W Bredzie spoczywa też dwóch pilotów myśliwskich: sierż. Tadeusz Jankowski z 315 Dywizjonu Myśliwskiego „Dęblińskiego”, zestrzelony 20 września 1944 roku podczas udziału w operacji „Market Garden”, oraz plut. Józef Prętkowski z 317 Dywizjonu Myśliwskiego „Wileńskiego”. Podoficer zginął 12 kwietnia 1945 roku trafiony przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą.

Leży tutaj też cała ośmioosobowa załoga lancastera z 300 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Mazowieckiej”. Ich bombowiec został zestrzelony przez niemiecką obronę przeciwlotniczą nocą z 27 na 28 maja 1944 roku w trakcie nalotu na Akwizgran.

Ostatni wojenny pogrzeb na cmentarzu odbył się 25 października 2003 roku. Wówczas pochowano tutaj pięciu lotników z 300 Dywizjonu Bombowego. Ich lancaster III BH-C nocą z 12 na 13 czerwca 1944 roku brał udział, razem z 286 innymi bombowcami, w nalocie na fabrykę benzyny syntetycznej w Gelsenkirchen w Zagłębiu Ruhry.

Po udanym ataku maszyna wracała do Anglii, kiedy została trafiona przez nocny myśliwiec u wybrzeża Holandii i spadła do jeziora IJselmeer. „Tej nocy polski dywizjon bombowy stracił trzy z dziewięciu lancasterów i 20 ludzi”, opowiadał w wywiadzie dla nowojorskiego „Nowego Dziennika” w 1996 roku jedyny ocalały członek załogi ppor. w st. spocz. Bogusław Morski. Jak wspominał bombardier, po trafieniu kabinę maszyny wypełnił dym, a gdy lotnik był już na spadochronie, dostrzegł samolot pikujący do wody.

Z siedmioosobowej załogi uratował się tylko on. Oficera wyłowili z wody holenderscy rybacy i przekazali Niemcom. Resztę wojny spędził w obozie jenieckim w Żaganiu. Z samolotu udało się też wyskoczyć mechanikowi pokładowemu sierż. Feliksowi Bładowskiemu.

Nie przeżył jednak skoku i jego ciało woda wyrzuciła na brzeg po kilku dniach. Spoczywa na cmentarzu w Bredzie.

Szczątki pięciu pozostałych członków załogi pozostały w samolocie: plut. pil. Franciszka Rembeckiego, ppor. nawig. Józefa Isaaka Feila, kpr. radiooperatora Jana Bokrosia i dwóch kaprali strzelców – Władysława Lepperta i Stanisława Miszturaka.

Wrak pozostawał na dnie jeziora przez 54 lata, zanim natrafili na niego holenderscy nurkowie. Okazało się, że leżał zaledwie 2–3 m pod powierzchnią wody, przewrócony na plecy i zakopany w głębokim mule. Por. Morski wraz z polskimi dyplomatami i Polonią zabiegał przez kilka lat o wydobycie z bombowca szczątków kolegów. Ich starania zostały uwieńczone powodzeniem dopiero w 2003 roku.

PAMIĘĆ I HONOR

W Bredzie polscy żołnierze spoczywają jeszcze na dwóch innych cmentarzach. Pierwszy z nich mieści się w dzielnicy Ginneken. Znajdują się tam kwatery 80 żołnierzy z 9 Batalionu Strzelców 3 Brygady Strzelców, poległych w 1944 roku w walkach o tę część miasta.

Po wyzwoleniu Bredy kapelan batalionu ks. Bronisław Chrostowski poprosił miejscowego pastora o pozwolenie na pogrzebanie żołnierzy na cmentarzu parafialnym. Kiedy powstała nekropolia przy Ettensebaan, mieszkańcy Ginneken odmówili przeniesienia tam polskich grobów.

Z kolei na cmentarzu komunalnym w Haagweg jest tylko jedna polska mogiła. Pochowano w niej bombardiera Jana Mikołajczyka z 1 Dywizji Pancerniej. Żołnierz zmarł w 1947 roku na gruźlicę w jednym z niemieckich szpitali.

O wszystkich trzech nekropoliach pamiętają mieszkańcy miasta i Polonia. Co roku w rocznicę wyzwolenia Bredy odbywają się tam uroczystości, które uświetniają żołnierze 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancerniej, dziedziczącej tradycje 1 Polskiej Dywizji Pancerniej.

W tegorocznych obchodach wzięły udział delegacja Czarnej Dywizji z dowódcą gen. dyw. Jarosławem Miką na czele, kompania honorowa i poczet sztandarowy 10 Brygady Kawalerii Pancerniej ze Świątoszowa oraz zagańska orkiestra wojskowa.

Na cmentarzach odbył się apel pamięci, oddano salwę honorową, a dzieci z miejscowej szkoły złożyły wiązanki kwiatów na każdej z mogił poległych polskich pancerniaków. „Kultywujemy tradycje 1 Dywizji i oddanie hołdu jej żołnierzom oraz ich znakomitemu dowódcy gen. Maczkowi jest dla nas honorem”, mówił mjr Artur Pinkowski, oficer prasowy dywizji. ■

Panu mjr. Rafałowi Dąbrowskiemu,
specjaliście Wydziału Mobilizacji i Uzpełnień
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Gdańsku,
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Matki
składają kadra zawodowa i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Gdańsku.

Panu dr. Wiesławowi Krzeszowskiemu
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają dziekan, żołnierze i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

Najszczersze kondolencje i wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
Panu gen. bryg. Maciejowi Jabłońskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
składają rada sołecka i radni,
a także mieszkańcy Świątoszowa.

Panu pułkownikowi Andrzejowi Jagielskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Matki
składają kadra i pracownicy
Ośrodka Monitorowania i Analiz
Ministra Obrony Narodowej.

Panu mjr. Jackowi Pomiecińskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Matki
składa Dowództwo
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Panu st. chor. sztab. Jacentemu Bębnowi
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Brata
składają żołnierze i pracownicy
Wydziału Materiałowego
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci”.
Wisława Szymborska

Panu ppłk. Dariuszowi Machuli
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
Dowództwa 12 Szczecińskiej Dywizji
Zmechanizowanej.

Głębokie wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca
Panu mjr. Romanowi Rutkowskiemu
oraz Rodzinie
składają polscy żołnierze i pracownicy wojska
z SHAPE.

**Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227**

Panu st. szer. Markowi Beblot

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Panu ppłk. Pawłowi Banemu**oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu, szczerego współczucia
i słowa wsparcia z powodu śmierci

Ojca

składają oficerowie i pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli w Warszawie.

Panu kmdr. Waldemarowi Walka

w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Córki

składają dowódca Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego.

Panom kpt. Piotrowi Stojanowskiemu,**kpt. Mariuszowi Stojanowskiemu****oraz Ich Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
Dowództwa 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

Panu kmdr. Waldemarowi Walka

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Córki

składają kadra i pracownicy
Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego.

Panu mjr. Markowi Tomaszewskiemu**oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Ojca

składają szef płk Waldemar Bartłomiejczak,
żołnierze oraz pracownicy wojska
WSzW we Wrocławiu.

Naszemu Drogiemu Koledze

Panu kmdr. Arturowi Pierzyńskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają kierownictwo,
kadra zawodowa i pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.

Pani Marzenie Staniszewskiej**i Jej Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerą kondolencję z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Biura Audytu Wewnętrznego
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Panu podpułkownikowi Jackowi Chodkowskiemu**oraz Jego Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Mamy

składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego WP.

Panu ppłk. Robertowi Majdeckiemu**i Pani Małgorzacie Majdeckiej**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Brata i Szwagra

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii.

**Naszemu koledze
płk. Krzysztofowi Jarudze
i całej Rodzinie**

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnych chwilach po stracie
Taty
składają żołnierze zawodowi i pracownicy
Szefostwa Dowodzenia i Łączności Inspektoratu
Uzbrojenia.

Pani Marioli Żołnierowicz
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej
składają dowódca, kadra i pracownicy RON
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

„Jak trudno żegnać kogoś kto mógł
jeszcze być z nami”.

Z głębokim żalem żegnamy
Pana pułkownika Dariusza Klajdę.
Rodzinie Zmarłego
wyrazy szczerego współczucia składają
dyrektor, kadra i pracownicy
Centrum Operacyjnego
Ministra Obrony Narodowej.

Panu plut. Jaromirowi Bargiel
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

**Panu kmdr. Mirosławowi Jurkowląncowi
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu,
słowa wsparcia w trudnych chwilach
oraz szczerze kondolencje z powodu śmierci
Matki
składają kadra i pracownicy wojska
Inspektoratu Marynarki Wojennej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

**Panu Zbigniewowi Wirowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci
syna Macieja
składają pracownicy
Sekcji Badań i Metodyki Nauczania
wraz z komendantem
Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej
w Mińsku Mazowieckim.



Pamiętamy

szer. Dariusz Wagner
6 grudnia 2009 r.,
EUFOR Bośnia i Hercegowina

ppłk Zbigniew Wydrych
11 grudnia 1999 r., KFOR Kosowo

plut. Krzysztof Wysocki
12 grudnia 2005 r., UNDOF Syria

st. chor. Paweł Jelonek
15 grudnia 2004 r., PKW Irak

mjr Jacek Kostecki
15 grudnia 2004 r., PKW Irak

chor. Karol Szlżak
15 grudnia 2004 r., PKW Irak

kpr. Michał Kólek
19 grudnia 2009 r., PKW Afganistan

mł. chor. Piotr Ciesielski
21 grudnia 2011 r.,
PKW Afganistan

sierz. Łukasz Krawiec
21 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

sierz. Marcin Szczurowski
21 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

sierz. Marek Tomala
21 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

sierz. Krystian Banach
21 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

kpr. Gerard Wasielewski
22 grudnia 2003 r., PKW Irak

sierz. Zbigniew Biskup
22 grudnia 2011 r., PKW Afganistan

chor. Stefan Sekuła
24 grudnia 1992 r.,
UNTAC Kambodża

Panu majorowi Romanowi Owczarkowi
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina.

Z głębokim żalem i wielkim smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

komandora

doktora habilitowanego inżyniera

Ignacego Głozy,

profesora AMW,

prorektora ds. nauki

Akademii Marynarki Wojennej,

byłego dziekana Wydziału Nawigacji

i Uzbrojenia Okrętowego,

oficera szczerze oddanego służbie i wielce

zasłużonego dla uczelni,

wykładowcy i wychowawcy wielu pokoleń

podchorążych i studentów cywilnych.

W zmarłym straciliśmy przyjaciela, wspaniałego
kolegę, człowieka wielkiego serca i skromności,

życzliwego ludziom.

Niestety, nie ma go już wśród nas, ale pamięć

o nim nie zginie.

Rodzinie i Najbliższym Zmarłego

przekazujemy wyrazy szczerego i serdecznego
współczucia.

Rektor-komendant, senat, kadra,

pracownicy wojska, podchorążowie i studenci

Akademii Marynarki Wojennej

im. Bohaterów Westerplatte w Gdyni

Pani Lucynie Kowalskiej

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Męża

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Pani dr Danucie Krawiec

wyrazy głębokiego współczucia

oraz słowa otuchy i wsparcia z powodu śmierci

Mamy

składają dyrekcja i współpracownicy
ze Specjalistycznej Przychodni Lekarskiej
dla Pracowników Wojska w Warszawie.

Panu ppłk. Adamowi Góreckiemu,
szefowi Sztabu 7 BOW,
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze

oraz pracownicy wojska

7 Brygady Obrony Wybrzeża

Słupsk – Lębork – Trzebiatów.

**Panu ppłk. Henrykowi Świderskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze i pracownicy Delegatury
Departamentu Kontroli we Wrocławiu.

Pani Renacie Kaniewskiej

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Matki

składają dyrekcja, żołnierze i pracownicy
Departamentu Nauki i Szkolnictwa Wojskowego
MON.

St. sierż Bartoszowi Tobiaszowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra i pracownicy RON
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia

Panu pułkownikowi Wiesławowi Tyrce,

zastępcy komendanta do spraw Obwodu

Profilaktyczno-Leczniczego

1 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
SPZOZ w Lublinie,

z powodu śmierci

Mamy

składają komenda, żołnierze i pracownicy
1 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
SPZOZ w Lublinie.

KSIĄŻKA

Zdychajcie Lachy...

**Możemy się pojednać,
nie możemy tego zapomnieć.**

Wołyniu mówi się i pisze w ostatnim czasie wiele. Wśród licznych publikacji na ten temat warto zwrócić uwagę na jedną, bardzo szczególną. „Wołyń bez komentarza” to zbiór niepublikowanych wcześniej drukiem relacji Polaków, którzy przeżyli wołyńską rzeź w 1943 roku. Zgromadzono tu zapisy reportaży radiowych, relacje i wspomnienia ocalałych z pogromu mieszkańców Kresów, a także liczne polskie i ukraińskie

dokumenty źródłowe, m.in. odezwy oraz protokoły z miejsc zbrodni i przesłuchań banderowców. Te ostatnie mają bez wątpienia ogromną wartość historyczną, jednak to relacje ocalałych – dziś już często wiekowych osób, a wówczas jeszcze dzieci – sprawiają, że czytelnik nie może się otrząsnąć po lekturze tej książki. Ogrom okrucieństwa, jakiego z rąk Ukraińców doznali Polacy – mieszkańcy województwa wołyńskiego – jest nie do pojęcia (szacunkowa liczba osób zamordowanych przez UPA i policjantów ukraińskich na całym Wołyniu wynosi około 60 tys.). Czytelnik – podobnie jak świadkowie wydarzeń – nie przestaje sobie zadawać pytania: dlaczego? Jak to możliwe, że polskie dzieci, które latami bawią się ze swoimi ukraińskimi kolegami, pewnego dnia słyszą od nich „zdychajcie Lachy”? A potem rusza lawina

śmierci, której już nikt nie może zatrzymać... Przerazające obrazy bestialsko mordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci, opisane w tej książce, na długo zostają w pamięci.

Świadkowie tych wydarzeń często opowiadają o nich po raz pierwszy – wcześniej było to nie tylko zbyt trudne dla nich, lecz także często zakazane. Potomkowie ofiar nie mają jednak wątpliwości, że rzeź wołyńska to „taka sama część historii i tożsamości naszego narodu, jak bitwa pod Grunwaldem, rozbiory, powstania [...] czy Katyń”. I jak podkreśla inny rozmówca, odpowiadając na pytanie o wybaczenie i pojednanie z Ukraińcami: „możemy się pojednać, ale nie możemy tego zapomnieć”.

MARTA SACHAJKO

„Wołyń bez komentarza”, opracowanie zbiorowe, Zona Zero, 2016



KSIĄŻKA

Makabryczny spektakl

Przemysław Semczuk w reportażu

„Wampir z Zagłębia” nie tylko pokazuje proces Zdzisława Marchwickiego, oskarżonego o zamordowanie 14 kobiet (w tym bratanicy Edwarda Gierka) i usiłowanie zabójstwa sześciu kolejnych, lecz także przybliża powody skazania jego dwóch braci, siostry i jej syna. Autor stara się też ujawnić wszystkie błędy oraz nieścisłości pojawiające się w tym procesie.

W czasie lektury nie sposób nie zadać sobie pytań: czy Zdzisław Marchwicki był mordercą? A może

oskarżony stał się ofiarą dobrze przygotowanej prowokacji ówczesnych władz? **Z każdą przeczytaną stroną czytelnikiem targają coraz większe, skrajne emocje.** Z jednej strony, dowiaduje się bowiem, że Marchwicki cieszył się dobrą opinią wśród pracowników kopalni „Siemianowice”, był skrzywdzonym przez los i nieporadnym życiowo człowiekiem. Z drugiej jednak, widzi alkoholika, sadystę znęcającego się nad żoną i dziećmi.

Sprawa wampira przyciągnęła w latach siedemdziesiątych XX wieku uwagę opinii publicznej i wywołała sporo emocji. Aby zademonstrować doskonałość działania milicji

i jej przewagę nad zachodnimi służbami policyjnymi, proces odbył się w sali widowiskowej Domu Kultury przy Zakładach Cynkowych „Silesia”. Ta rozprawa była niczym spektakl. Na sali pojawił się sprzęt nagłośnieniowy, obecni byli kamerzyści, a sędzia Władysław Ochman nakazał wydawać karty wstępu w różnych kolorach (białym, czerwonym i zielonym), aby widownia zapełniła się dziennikarzami, cywilami oraz naukowcami. „Wampir z Zagłębia” to doskonała lektura dla osób interesujących się historią, lubiących sensację, poszukujących prawdy i chcących na przykład odnaleźć nieoznakowany grób braci Marchwickich na cmentarzu w Katowicach.

NATALIA EKIERT

Przemysław Semczuk, „Wampir z Zagłębia”, Znak, 2016

KSIĄŻKA

Wojenne dygresje

Polskiego czytelnika niewiele
jest tu w stanie zaskoczyć.

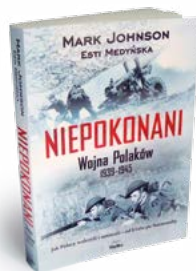
Znane przysłowie mówi, że nie należy sądzić książki po okładce. Niby racja, czasem jednak do sięgnięcia po jakąś nową publikację skłania nas właśnie krótki opis jej zawartości umieszczony na ostatniej stronie. Tak właśnie było w przypadku książki „Niepokonani. Wojna Polaków 1939–1945” autorstwa Marka Johnsona i Esti Medyńskiej. Zachęcona zamieszczonymi na okładce zapewnieniami o tym, jak wyjątkowa pozycja trafia do moich rąk, bez wahania zabrałam się do lektury. Niestety, mój zapał bardzo szybko ostygł, kiedy okazało się, że zamiast rzetelnego opracowania historycznego na temat „zawiłych wojennych losów Polaków” mam do czynienia z zawiłą – owszem – ale narracją, w której czasem naprawdę trudno nie stracić wątku. Z pozoru prowadzona chronologicznie, pełna jest dygresji, nagłych zmian miejsca i czasu akcji, przez co sprawia wrażenie chaotycznej i niespójnej. Autorzy nie wywiązują się również z obietnicy „opisania prawdziwych ludzkich przeżyć i emocji oraz motywów działania ujętych w szerszym kontekście wydarzeń historycznych”. Rzeczywiście w książce zostały pokazane losy konkretnych Polaków, jednak sposób opowiadania, przerywanego co rusz, dygresją na inny temat, powoduje, że trudno się wciągnąć w przedstawiane historie. Autorzy stosują wiele uproszczeń, a pewne kwestie traktują wybiórczo i powierzchownie. Polskiego czytelnika – mającego choćby podstawową wiedzę wyniesioną z lekcji

historii – niewiele jest tu w stanie zaskoczyć.

Na domiar złego publikacja jest bardzo kiepska pod względem językowym. Liczne błędy składniowe, logiczne, a także literówki sprawiają, że mimo deklaracji przystępności języka bardzo źle się ją czyta. Dla niektórych czytelników jest to bariera nie do pokonania, nawet gdyby treść była najciekawsza.

Czy zatem książka ma jakieś atuty, o których warto wspomnieć? Na szczęście tak. Po pierwsze, zawiera wiele ciekawych fotografii, często wcześniej niepublikowanych, które pozyskano od bohaterów opowieści oraz z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Po drugie, jest hołdem oddanym Polakom walczącym w czasie II wojny światowej. Autor, który mieszka w Wielkiej Brytanii, pisze o nich z wielkim szacunkiem i uznaniem, i gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że książka została wydana również za granicą, to właśnie za to możemy być mu wdzięczni. Być może na tym właśnie polega problem – publikacja zdecydowanie traci na tłumaczeniu, a jej treść nie zawsze satysfakcjonuje polskiego czytelnika, dla którego temat II wojny światowej nie jest niczym nowym. ■

MARTA SACHAJKO



Mark Johnson, Esti Medyńska, „Niepokonani. Wojna Polaków 1939–1945”, Replika, 2016

KSIĄŻKA

Album z przeszłości

Na rynku wydawniczym pojawił się smaczek dla miłośników historii wojskowości – dwa tomy przedwojennego „Albumu wyposażenia Wojska Polskiego”. Bellona przygotowała bowiem reprint wydawnictwa, którego oryginał z 1933 roku znajduje się w Centralnej Bibliotece Wojskowej. W albumie w formie graficznej przedstawiono nie tylko umundurowanie i wyposażenie osobiste żołnierza piechoty czy kawalerzysty, lecz także wykorzystywany dawniej sprzęt, m.in. haubice i armaty. Szczegółowo zaprezentowano również mniej znane dziedziny sztuki wojennej – łączność, transport czy służbę zdrowia. Możemy zatem zobaczyć, jak wyglądały wszelkiego rodzaju siodła, zaprzęgi, zestawy telefoniczne, gołębniki polowe, balony obserwacyjne czy torby saperskie lub sanitarne. W opozycji do tego trochę archaicznego wyposażenia uwzględniono też ówczesne nowinki techniczne, czyli sprzęt aeronautyczny, pancerny i samochodowy. Album jest cennym źródłem historycznym pokazującym, czym dysponowali polscy żołnierze w 1933 roku, a na dodatek przybliży sposoby używania pewnych przedmiotów czy kompletowania niektórych części uzbrojenia. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

„Album wyposażenia Wojska Polskiego”, reprint książki wydanej w 1933 roku przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, Bellona 2016

KSIĄŻKA

Wzorowy zły człowiek

Ci, którzy zabijają, są ludźmi tak samo, jak ci, którzy są zabijani, i to jest straszna prawda”. Ten cytat z „Łaskawych” Jonathana Littella stał się mottem książki Johanna Sachslehnera o Odilo Globocniku. I nie bez powodu. Ten, kto zna dzieło Littella, bez większego trudu odnajdzie w jego bohaterze, Maximilianie Aue, Globocnika, chociaż nie był on pierwowzorem tej postaci. Jest taki fragment, w którym Aue z matematyczną precyzją wylicza ofiary wojny. Jeden zabity Niemiec co 40,8 s, Żyd co 24 s, bolszewik co 6,12 s. Statystyka. Ten właśnie fragment, oczywiście nie dosłownie, jest kwintesencją wojennej działalności Globocnika. „Zabiłem dwa miliony”, stwierdza on po prostu w rozmowie z przyjacielem, gdy ukrywa się już przed Amerykanami. Kim był człowiek, który zostawił po sobie tak krwawą spuściznę? Ambitnym austriackim faszystą, który chciał zagrać główną rolę, ale na zawsze pozostał na drugim planie. Wiernym żołnierzem Himmlera, fanatykiem czystości rasowej i zagorzałym antysemitą, który wyłożył taras żydowskimi nagrobkami. Alkoholikiem i dorobkiewiczem, który okradał własną partię i wzbogacił się na żydowskim mieniu. Od wczesnej młodości wykazywał duże zaangażowanie polityczne. W 1931 roku wstąpił do austriackiego NSDAP, a trzy lata później został funkcjonariuszem SS. Odegrał niepoślednią

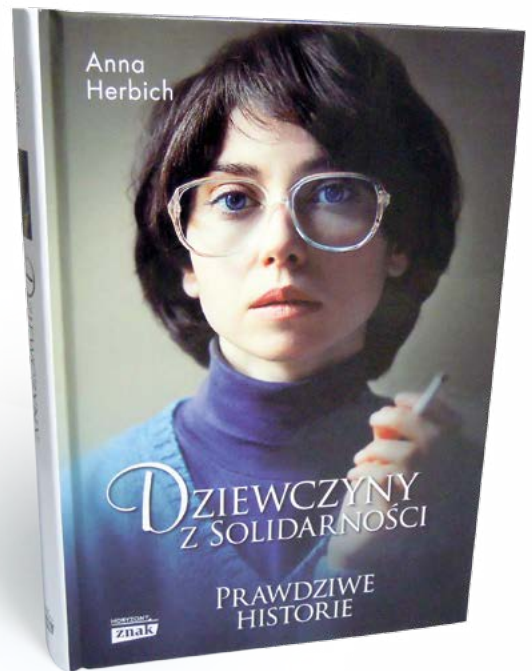
rolę w Anslussie, po którym został gauleiterem Wiednia. Usunięty z tego stanowiska, wstąpił do Waffen-SS. Po wybuchu wojny mianowany komendantem SS i policji w dystrykcie lubelskim Generalnego Gubernatorstwa. Nadzorował operację Reinhard, będącą częścią tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Brał udział w opracowaniu metod eksterminacji. Jednocześnie kierował akcją pacyfikacyjno-wysiedleńczą Polaków na Zamojszczyźnie. Przez współpracowników wspomniany jako miły, pogodny, ambitny, ale i leniwy. Lubił pożartować, bardzo dbał o swoich podwładnych. Do swoich obowiązków podchodził z niebywałą precyzją, szczególnie jeśli chodziło o likwidację gett. Nienawiść do Żydów nie przeszkadzała mu jednak w robieniu z nimi interesów. Życiorys w telegraficznym skrócie. „Statystyka”, ale stoi za nią tragedia milionów ofiar. Globocnik, opisywany przez Sachslehnera, nie jest jednostką nadzwyczajną, wybitną.

I może dlatego jego biografia robi takie wrażenie. Bo potwierdza ograną już tezę Hanny Arendt, że zło w gruncie rzeczy jest banalne. ■

JOANNA
ROCHOWICZ



Johannes Sachslehner „Zarządca do spraw śmierci. Odilo Globocnik, eksterminacja i obozy zagłady”, Prószyński i S-ka, 2016.



Anna Herbich, „Dziewczyny z Solidarności”, Znak, 2016

Dziennikarka Anna Herbich od dwóch lat dobrze znana jest miłośnikom książek. Po tym, jak już poznali losy kobiet walczących w powstaniu warszawskim i zesłanych przez władze radzieckie na Syberię, teraz mogą postuchać głosu

KSIĄŻKA

Postapokaliptyczna powieść drogi

W życiu nie chodzi tylko o przetrwanie...

Daniła Dobrynin jest przedstawicielem pierwszego pokolenia, które dorastało już w czasach Początku. Urodził się w Schronie, który stał się domem dla ocalałej po wybuchu nuklearnym grupy ludzi. Tam, wychowywany przez dziadka, przeżywał pierwsze młodzieńcze fascynacje, dojrzewał, założył rodzinę. Przeszedł też trudne szkolenie i stworzył wraz z kolegami oddział stalkerów – łowców, którzy

KSIĄŻKA

Gdzie diabeł nie może...

Posłuchajmy opowieści kobiet z Solidarności.

opozycjonistek zaangażowanych w walkę z władzami PRL. Autorka zastosowała sprawdzoną formułę z dwóch poprzednich tomów – spisała w pierwszej osobie opowieści jedenastu kobiet. I chociaż często mówią one o tych samych zdarzeniach i postaciach, to ich oceny są bardzo różne. Bohaterki książki odmiennie postrzegają też efekty działania Solidarności, szczególnie wydarzeń po 1989 roku. Wszystkie natomiast zgadzają się co do jednego – przekonane są o wyjątkowej roli kobiet w antykomunistycznym podziemiu. One bowiem organizowały demonstracje i strajki, urządziły

głódówki, redagowały podziemne gazety, wygłaszały wykłady, kolportowały bibułę, organizowały pomoc dla ofiar systemu. Często płaciły za to wysoką cenę – były więzione, bite, zastraszane. Odbierano im dzieci i wyrzucano je z pracy. Anna Herbich twierdzi jednak, że ciągle niewiele się o nich mówi, często są pomijane w czasie rocznicowych uroczystości i pozostają w cieniu mężczyzn. A jak twierdzi Joanna Gwiazda, jedna z bohaterek książki, „władze komunistyczne jak ognia bały się kobiet Solidarności. Byłyśmy bowiem pewne siebie, nie dawałyśmy sobie w kaszę dmuchać”.

W „Dziewczynach z Solidarności” nie ma jednak ani patosu, ani gloryfikacji działaczek. W opowieściach Joanny Wojciechowicz, Jadwigi Staniszkis, Izabeli Cywińskiej czy Hanny Grabińskiej nie brakuje pełnych ciepła i humoru sytuacji, choć spisane tu relacje odnoszą się do przełomowych, często dramatycznych wydarzeń z naszej historii.

Cykl „Prawdziwe historie” to już marka sama w sobie i w ciemno można sięgać po kolejne części. Mam zatem nadzieję, że „Dziewczyny z Solidarności” to nie jest ostatnie słowo Anny Herbich. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

patrolowali okolice Schronu i bronili jego mikrosocjety. Daniła żyje według jednej, nadrzędnej zasady: „albo ty ich, albo oni ciebie”. „Prawo do życia i prawo do użycia siły zawsze idą w parze”. Kto nie potrafi się im podporządkować, szybko ginie.

Druga część trylogii Denisa Szabałowa, wydanej w serii Uniwersum Metro, to typowa powieść drogi. Odział Daniły wyrusza z karawaną do składu roszerwy. To ważna misja, a od jej powodzenia zależy przetrwanie schronowej społeczności. Dla stalkerów zamienia się ona w podróż życia. Odkrywanie kolejnych osad, które mijają po drodze, jest jak wyprawa podróżnika do egzotycznych krajów. Wizyty w miejscach, w których się zatrzymują, przypominają klimatem odcinki

z serii Alfred Hitchcock przedstawia. Każda osada jest inna, każda ma swoją odrębną historię, swoje legendy i swoje koszmary. Daniła i jego towarzysze wkraczają w świat, w którym zagina się czasoprzestrzeń, a rzeczywistość czasami trudno odróżnić od halucynacji.

Szabałow na gruzach starej rzeczywistości, która dla bohaterów jest już tylko sennymi zwiadami, buduje od początku zupełnie nowy świat. Wydaje się, że jest mroczny i tajemniczy, taki, w którym liczą się brutalna siła i instynkt przetrwania. Jednak dzięki głównym bohaterom nie stracił on zupełnie uroku niewinności. Mimo że Daniła i jego przyjaciele od pierwszej części dojrżeli, nabrali hardości i doświadczenia, wciąż drzemie w nich chłopięca ciekawość świata. Z równie wielkim

zapałem stają do walki i siadają później przy ognisku, by słuchać opowieści bazarza o mutantach i duchach. Prawo do życia, którym się kierują, nabiera stopniowo w powieści Szabałowa zupełnie nowego znaczenia. Bo w końcu w życiu nie chodzi tylko o przetrwanie. ■

JOANNA ROCHOWICZ



Denis Szabałow, „Prawo do życia”, Insignis, 2016

KSIĄŻKA

Drugie życie

**Ofiara, kat i dobroczyńca
to trzy bohaterki tej
powieści.**

Królikami nazwano młode kobiety, na których przeprowadzano eksperymenty medyczne w nazistowskim obozie w Ravensbrück. Żeby sprawdzić działanie sulfonamidów, wszczepiano im pod skórę kawałki szkła, zardzewiałego metalu lub usuwano fragmenty mięśni i kości. Wiele z „pacjentek” zmarło zaraz po operacji, a pozostałe władze obozu postanowiły zgładzić, żeby zatrzeć ślady po nieludzkich eksperymentach. Niektórym kobietom udało się jednak uratować. Po wojnie próbowały wrócić do normalnego życia, ale już sam widok zniekształconych nóg wywoływał na ulicy sensację. Nie mówiąc już o nieustającym bólu po makabrycznych zabiegach. W niewielkim stopniu mogła też



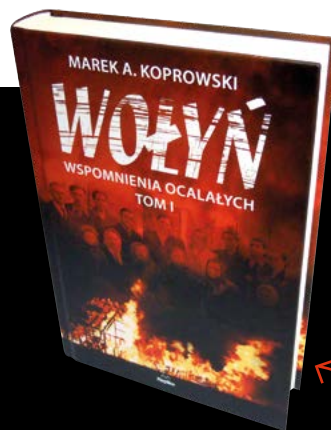
Martha Hall Kelly, „Liliowe dziewczyny”, Prószyński i ska, 2016

pomóc tym kobietom medycyna w peerelowskiej Polsce. Życie „królików” odmieniło się jednak, kiedy o ich cierpieniu dowiedziała się pewna Amerykanka. Caroline Ferriday, znana z działalności charytatywnej, sprowadziła Polki do Stanów Zjednoczonych, gdzie nie tylko przeszły serię zabiegów medycznych, lecz także mogły odpocząć i zwiedzić kraj.

„Liliowe dziewczyny” to pewnego rodzaju hołd oddany kobiecie, której energia i determinacja pozwoliły ofiarom z Ravensbrück rozpocząć nowe życie. Martha Hall Kelly nie skupiła się jednak w swojej powieści na jednej bohaterce, lecz zderzyła ze sobą losy trzech kobiet. Drugą z postaci jest Herta Oberheuser, lekarka, która przeprowadzała operacje na „królikach”. Choć Niemka została osądzona w Norymberdze, przedwcześnie wyszła z więzienia i, co gorsze, nadal prowadziła praktykę lekarską. Trzecią z bohaterek jest natomiast wymyślona przez autorkę dziewczyna pochodząca z Lublina – ofiara eksperymentów.

Martha Hall Kelly zastrzega jednak, że chociaż opisała prawdziwe osoby, to niektóre fakty z ich życia wymyśliła lub trochę nagięła. Nie odbiera to jednak tej powieści autentyczności. Autorka bowiem dokładnie zbadała materiały źródłowe. Odwiedziła też Polskę i Niemcy, żeby poznać miejsca, które opisała w „Liliowych dziewczynach”. Dzięki jej dociekliwości powstała powieść, którą czyta się jednym tchem. ■

ANETA WIŚNIEWSKA



KSIĄŻKA

Świadkowie prawdy

**To już kolejna odsłona
zebranych i spisanych
wspomnień ludzi, którzy
przeżyli piekło.**

Marek Koprowski od lat zajmuje się dziejami Polaków na Kresach Wschodnich. Niczym tropiciel zbiera informacje i popularyzuje historię mieszkańców tego regionu, a szczególnie jednej jego części. Wołyń był rajem. Ostatnim nieskażonym przez postępującą globalizację zakątkiem świata, gdzie ludzie mieli znaleźć spokój i życie zgodnie z naturą. Historia pokazała, że te ziemie, w wyniku obłąkanej ideologii ukraińskich nacjonalistów, spłynęły polską krwią, a do dziś nie zachowały się tam prawie żadne ślady istnienia naszych rodaków. Najnowsza książka Koprowskiego to zbiór relacji ludzi, którym udało się przeżyć rzeź wołyńską i szalejącą pożogę II wojny światowej. Opowiadania ocalałych są porażające, pełne cierpienia i strachu. ■

JAKUB NAWROCKI

Marek A. Koprowski,
„Wołyń. Wspomnienia ocalałych”,
tom I, Replika, 2016

KSIĄŻKA

Kulisy pracy Ancelottiego

**On nie stawia się w roli generała,
który wydaje rozkazy.**

Carlo Ancelotti to jeden z najbardziej doświadczonych i utytułowanych trenerów drużyn piłkarskich na świecie. Zwycięzał w Lidze Mistrzów, Pucharze UEFA, Superpucharze Europy, Klubowych Mistrzostwach Świata oraz święcił tryumfy w ligach: włoskiej – z Milanem, francuskiej – z Paris Saint-Germain i angielskiej – z Chelsea. Porażkę poniósł jedynie w lidze hiszpańskiej. Teraz Carlo Ancelotti szkoli piłkarzy największego klubu niemieckiej Bundesligi – Bayernu Monachium. Czy doprowadzi ich do zwycięstwa? Jest to wielce prawdopodobne.

Jego książka „Dyskretne przywództwo. Zdobywając serca, inspi-

rując umysły, wygrywając mecze” nie jest typową autobiografią trenera, jakich sporo pojawiło się w ostatnich latach. Publikacja, której współautorami są prof. Chris Brady, kierownik Centre for Sports Business na Salford University, oraz Mike Forde, były dyrektor ds. sportowych Chelsea FC, bardziej przypomina zbiór opowiadań o kluczowych momentach życia Ancelottiego. Taką formułą jest efektem **50 godzin wywiadów** z utytułowanym trenerem oraz kilkunastu godzin rozmów z jego współpracownikami i najwybitniejszymi zawodnikami – Cristianem Ronaldem, Zlatanem Ibrahimowiciem, Alessandrem Nestą, Paolem

Maldinim, Johnem Terryem czy Davidem Beckhamem.

Uważam, że to właśnie wypowiedzi osób współpracujących z Ancelottim są najciekawszą częścią książki, która chyba niepotrzebnie jest reklamowana jako „lektura obowiązkowa nie tylko dla miłośników piłki nożnej, ale również dla menedżerów i liderów grup”. Osobiste opowieści ludzi, którzy na co dzień pracowali z włoskim szkoleniowcem, pozwalają zajrzeć za kulisy trenerskiego fachu, przybliżając wyjątkowe metody Ancelottiego. Nie stawia się bowiem w roli generała, którego słowo jest jak rozkaz. On widzi się raczej w roli dyskretnego przywódcy, który cele osiąga przez delikatny nacisk – głównie rozmowę i tworzenie atmosfery wzajemnego zaufania. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Carlo Ancelotti, „Dyskretne przywództwo. Zdobywając serca, inspirowanie umysły, wygrywając mecze”, Insignis, 2016

KSIĄŻKA

Trening czyni mistrza

Poradnik dla tych, którzy chcą nauczyć się perfekcyjnie strzelać.

Jak trudno jest nauczyć się celnego prowadzenia ognia z pistoletu, wiedzą ci, którzy służyli w wojsku lub policji. Tam bronią krótką trzeba umieć posługiwać się z wielką wprawą, bo od tego często zależy czyjeś życie. Jak zatem dojść do perfekcji w tej dziedzinie? Najlepszą drogą

jest żmudny, systematyczny trening i doskonalenie znajomości budowy broni, a szczególnie poznanie tajników prowadzenia ognia z wykorzystaniem różnych postaw strzeleckich. Przydatna może okazać się tu publikacja Sebastiana Nowaka. Autor w przystępny sposób pokazuje budowę pistoletu, przybliża zasady jego użycia oraz tłumaczy, na czym polega zjawisko strzału.

Opisuje też postawy strzeleckie, informując czytelników o tym, że w nauczaniu początkowym dominuje strzelanie jednoręcz, czyli takie jak w strzelaniu sportowym. Jeśli bowiem zawodnik opanuje zasady celowania

i ściągania języka spustowego, to strzelanie z chwytem broni oburęcz nie będzie problemem. Sebastian Nowak uczy również bezpiecznego posługiwania się bronią i udziela rad osobom zainteresowanym zakupem pistoletu.

Książka adresowana jest zarówno do osób dopiero rozpoczynających przygodę ze strzelaniem z broni krótkiej, jak i wszystkich, którzy chcą udoskonalić swoje umiejętności w tej dziedzinie. ■

JAN BRZOZOWSKI

Sebastian Nowak, „Broń krótka. Strzelanie bojowe i sportowe z pistoletu”, Wiedza Powszechna, 2016





ANDRZEJ
FĄFARA

Niepoczytalna ręka



Osiem dni przed świętami Bożego Narodzenia w 1922 roku zamordowany został pierwszy prezydent niepodległej Polski Gabriel Narutowicz. W obwieszczeniu, które władze skierowały do mieszkańców kraju, napisano: „Niepoczytalna ręka dokonała ohydneho mordu na osobie Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej”.

Doszło do tego w sposób tak banalny, że aż trudno uwierzyć. Malarz Eligiusz Niewiadomski bez najmniejszych problemów zbliżył się do prezydenta podczas otwarcia wystawy w Zachęcie, strzelił trzy razy z rewolweru i zabił. Nikt go nie powstrzymał, ale też nikt wcześniej nie sprawdził, czy ktoś wniósł do gmachu broń.

Wiem, był rok 1922. Nie stosowano bramek bezpieczeństwa, czujników, kamer i innych podobnych urządzeń. Ale zdrowy rozsądek można było zastosować. Nie użył tego prostego sposobu sam Gabriel Narutowicz, rezygnując stanowczo z ochrony. Nie użyli ludzie z jego najbliższego otoczenia, dając się prezydentowi przekonać. Nie użyło też kierownictwo Zachęty, wysyłając zaproszenie Niewiadomskiemu, o którym wiadano, że jest człowiekiem gwałtownym i nie zrównoważonym. No i zdecydowanym przeciwnikiem wyboru Narutowicza na prezydenta.

Ten wybór – głosami Zgromadzenia Narodowego – nastąpił tydzień przed tragicznym wydarzeniem. Wywołał gwałtowne protesty prawicy i jej zwolenników. Były wyzwiska, były groźby („Dosięże pana kara śmierci, o ile pan natychmiast nie złoży godności prezydenta. Podpisano: patriota”), a nawet bezpośrednia agresja. Jadącego na zaprzysiężenie Narutowicza obrzucono grudkami śniegu i kamieniami. Nieszczęście wręcz wisiało w powietrzu.

Opisała je poetka Kazimiera Hłakowiczówna, która pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i była tego dnia w Zachęcie. W chwili gdy padły strzały, rozmawiała z malarzem Janem Henrykiem Rosenem. „Mówiliśmy, że tłoczyć się razem z socjetą na pierwsze miejsca nie ma sensu. Z drugiej strony, wśród nas prezydent na pewno byłby bezpieczniejszy. Powiedziałam Rosenowi, że chciałabym stać tuż przy nim, żeby go w razie czego zasłonić”.

Hłakowiczówna opisuje, że zabójca, któremu jakiś oficer wykręcił ręce do tyłu, siedział na krześle u stóp leżącego na podłodze Narutowicza. „Niewiadomski miał twarz kamienną, nie patrzył na zabitego. Wydawało mi się okropne, aby prezydent, o ile jeszcze coś widział, musiał ciągle na niego patrzeć. Błagałam kogoś, żeby go zabrali. Wyprowadzono Niewiadomskiego do sali, gdzie wisi Grunwald”.

Proces zabójcy rozpoczął się dokładnie dwa tygodnie po tragedii. Niewiadomski został skazany na karę śmierci. Wyrok (przez rozstrzelanie) wykonano 31 stycznia 1923 roku. Warto zwrócić uwagę na niewiarygodną szybkość działania wymiaru sprawiedliwości. Wrażenie robi też informacja, że w pogrzebie mordercy na Powązkach wzięło udział około 10 tys. osób.



PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH

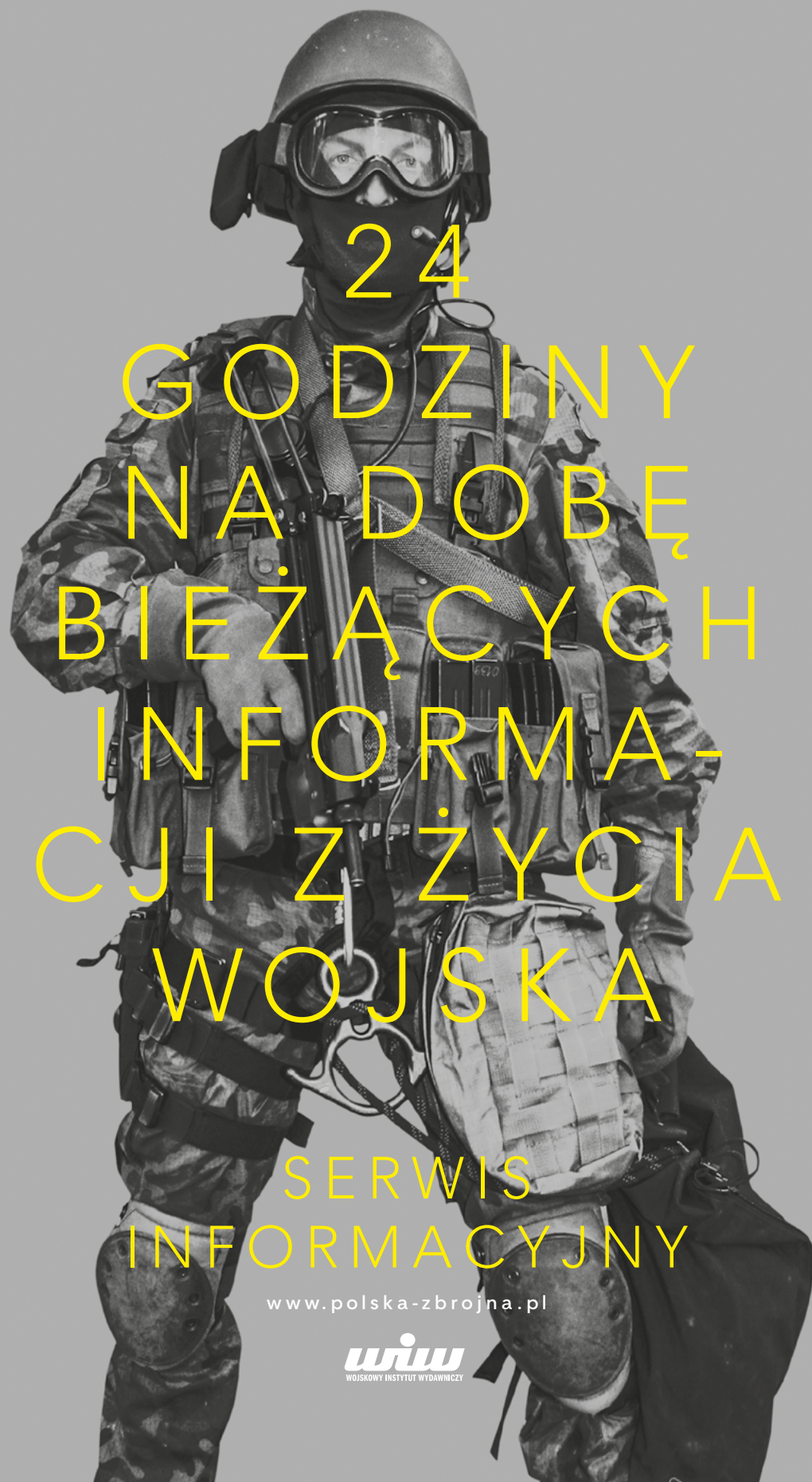
10
DZIAŁÓW
O SZKOLE-
NIU I TAK-
TYCENĄ
WSPÓŁCZE-
SNYM POLU
WALKI

PISMO SZKOLENIOWE

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

POLSKA-ZBROJNA.PL



24

GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY